GRZEGORZ BRAUN W ROZMOWIE Z „DO RZECZY":

„Jeśli Polska pójdzie na wojnę, to nie wróci w jednym kawałku"



Warzecha o śledztwie w sprawie wysadzenia gazociągów Nord Stream

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 42/651 13–19 PAŹDZIERNIKA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



GIERTYCHOWIE NA TROPIE TEORII SPISKOWYCH: OD JĘDRZEJA, PRZEZ MACIEJA, DO ROMANA

Zabójstwo ks. Popiełuszki – kulisy rozmowy ks. Orszulika z gen. Kiszczakiem

Czy w tym szaleństwie jest metoda?

ZAGADKA DONALDA TRUMPA



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 8e76e32ead

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 8e76e32ead



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kiedy wypowiedzieliśmy tę wojnę

Po serii ostatnich komentarzy różnych polskich polityków – zarówno tych reprezentujących rząd, jak i opozycję – trzeba sobie zadać pytanie, czy Polska pozostaje w stanie wojny z Rosją, a jeśli tak, to kiedy została ona wypowiedziana, przez kogo i w oparciu o co.

Według Donalda Tuska „musimy mieć świadomość, że to jest nasza wojna […]. Wojna »w Ukrainie« jest tylko częścią tego upiornego projektu, który raz na jakiś czas pojawia się na świecie". I dalej: „Nie dlatego, że to jest emocjonalne, że to jest takie ładne, sentymentalne, tylko (dlatego) że jak będziemy solidarni, tak jak mówi slogan, hasło naszego spotkania dzisiejszego, to nie przegramy, to Ukraina wygra tę wojnę, to ocalimy niepodległość Ukrainy, ocalimy przyszłość naszych pokoleń. Gorąco w to wierzę". Warto zauważyć, że wszędzie podmiotem jest pierwsza osoba liczby mnogiej. Proste rozumienie tego tekstu nie budzi wątpliwości: my, Polska, bo premier reprezentuje polskie państwo, a nie siebie, jesteśmy w stanie wojny z Rosją. Nasza wojna, to znaczy, że w niej uczestniczymy.

Co ciekawe, premier Tusk wspomniał też, że toczymy tę wojnę po to, by „nie tylko przetrwać, ale także żeby pokonać tych, którzy atakują fundamenty naszej cywilizacji". Nie jest to zatem zwykła wojna, ale wojna o przetrwanie i o ocalenie fundamentów naszej cywilizacji.

Niemal to samo i w tym samym czasie powtarzają politycy drugiego obozu politycznego. Krytykując dokument Strategia Bezpieczeństwa Narodowego, przyjęty przez rząd, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Sławomir Cenckiewicz, stwierdził: „Nie może być tak, że w 2025 r. w dokumencie opowiada się o Rosji w zasadzie w kategoriach zagrożeń, a nie realnie istniejącego stanu wojny między światem cywilizowanym a Federacją Rosyjską".

A zatem tak Donald Tusk, jak Sławomir Cenckiewicz, mimo wszelkich różnic politycznych, twierdzą, że mamy do czynienia z realną wojną Polski z Rosją. Podobny wniosek można wyciągnąć z innych słów szefa BBN: „Oficjalnie powiem w ten sposób: Polska nie powinna do żadnej operacji wydania człowieka, który zaszkodził Rosji, swojej ręki przykładać". Z dalszej części jego wypowiedzi wynika, że kryterium oceny jest to, czy „ktoś szkodził rosyjskiej machinie wojennej", z czego jasno wynika, że przynajmniej w jego świadomości Polska toczy z Rosją wojnę.

Takich wypowiedzi mógłbym przytaczać znacznie więcej, ale wniosek, który z nich wypływa, jest taki sam. Polska walczy obecnie z Rosją, a to, że walki toczą się chwilowo na terenie Donbasu, a nie gdzie indziej, jest tylko kwestią przypadku. Ale jeśli tak jest, to wracam do postawionego na początku pytania.

Kto i kiedy wypowiedział tę wojnę? Czy odbyła się na ten temat w Polsce odpowiednia debata polityczna? Czy ktoś przedstawił Polakom scenariusz tej wojny? Inaczej: Kiedy, w którym momencie i na jakich warunkach Polska gotowa jest tę wojnę zakończyć? Jakie są jej cele taktyczne i strategiczne? Co Polska chce, stojąc w tej wojnie po stronie Ukrainy, osiągnąć? Czy np. uda jej się doprowadzić do zgody na ekshumacje ciał polskich ofiar zbrodni na Wołyniu? Czy uczestnicząc w tej wojnie po stronie dobrej cywilizacji, będziemy w stanie nie dopuścić do kultu masowych morderców na Polakach, takich jak Stepan Bandera czy Roman Szuchewycz? No, chyba że obaj ukraińscy przywódcy też byli po dobrej stronie mocy.

Dalej chciałbym się dowiedzieć: jeśli polscy politycy mówią o obronie cywilizacji zachodniej, to które konkretnie zasady tej cywilizacji zostały zagrożone przez obecną wojnę? Czy mają na myśli unijny globalizm, genderyzm, klimatyzm czy aborcjonizm?

Czy polska opinia publiczna dowie się też, jakie mogą być potencjalne straty wynikające z uczestniczenia w tej „naszej" wojnie? Bo jeśli „każdy, kto szkodzi rosyjskiej machinie wojennej", jest dobry, to logiczne jest, że owa „rosyjska machina wojenna" będzie się bronić i atakować tych, którzy jej szkodzą. Wojna ma to do siebie, że nie da się jej prowadzić bez ofiar.

Chciałbym się dodatkowo dowiedzieć, kto poza Polską (i Ukrainą) w tej wojnie konkretnie uczestniczy. Sądząc z wielu wypowiedzi Donalda Trumpa, nie bierze w niej udziału Ameryka, która jedynie dostarcza broń Unii Europejskiej i NATO. W równie radykalnym tonie jak polscy politycy nie wypowiadają się ani kanclerz Friedrich Merz („Ani wojna, ani pokój"), ani prezydent Francji, Emmanuel Macron (skądinąd sam walczący o przeżycie). Czyżby Polska toczyła tę wojnę na własną rękę?

A może tu chodzi wyłącznie o metaforę? Cóż, byłaby to w takim razie najbardziej ryzykowna i niebezpieczna metafora, o jakiej słyszałem. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



TEMAT TYGODNIA

12 MICHAŁ KRUPA
CZY W TYM SZALEŃSTWIE JEST METODA?
Zagadka Donalda Trumpa

KRAJ

18 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
JEŚLI POLSKA PÓJDZIE NA WOJNĘ, TO NIE WRÓCI W JEDNYM KAWAŁKU
Obawiam się prowokacji pod fałszywą flagą

22 ŁUKASZ WARZECHA
POLSKA WSPIERA TERRORYZM? SPRAWA WYSADZENIA GAZOCIĄGU NORD STREAM

26 RADOSŁAW WOJTAS
CZY WOJSKO POLSKIE POTRZEBUJE POLSKIEGO PETE'A HEGSETHA

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MICHNIK – PRÓBA REANIMACJI

31 PIOTR SEMKA
„COŚ PĘKŁO, COŚ SIĘ SKOŃCZYŁO"

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
RYZYKOWNE ZAKUPY

KULTURA

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
AGENT, PRZEMYTNIK, PISARZ
Powrót Sergiusza Piaseckiego

40 PIOTR GOCIEK
POTRZĄSNĄĆ, OTRZEŹWIĆ, PRZERAZIĆ

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 JAN FIEDORCZUK
TRAGIZM I KOMIZM LOSÓW GIERTYCHÓW
Rodzina na tropie teorii spiskowych

50 FILIP MEMCHES
WYKASTROWANA CYWILIZACJA

HISTORIA

52 PIOTR SEMKA
500 LAT PO REWOLUCJI KŁONIC I WIDEŁ
Wystawy w rocznicę plebejskiej rewolty

56 SŁAWOMIR SIWEK
ZABÓJSTWO KS. POPIEŁUSZKI – TAJEMNICE GENERAŁA KISZCZAKA

58 ROZMOWA Z BOGDANEM MUSIAŁEM
NAPASTNICZE WOJNY OBRONNE KREMLA

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
GILOTYNA NAD MACRONEM
Polityczna farsa pogrąża V Republikę

64 MACIEJ SZYMANOWSKI
BABIŠ PRZEJMUJE STERY

66 TERESA STYLIŃSKA
CZY TONY BLAIR ODMIENI LOSY STREFY GAZY?

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
SZORSTKA MIŁOŚĆ CICHANOUSKICH

EKONOMIA

72 ROZMOWA Z PIOTREM MAZURKIEM
OPAKOWANIOWA KOMUNA
Opłaty dla konsumentów mogą być dużo wyższe

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (70), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 8e76e32ead

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **UNPO/Zuma Press/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Zawłaszczone Virtuti Militari", Maciej Korkuć, „DRz" nr 39/2025

Bardzo, bardzo dziękuję p. Maciejowi Korkuciowi za artykuł „Zawłaszczone Virtuti Militari" („Do Rzeczy" nr 39/2025). Chciałoby się powiedzieć – nareszcie! Bo to wreszcie jednoznaczna wypowiedź, podsumowana znakomitym rysunkiem obnażającym, czym w istocie było owo PRL-owskie VM.

A Wojciech Jaruzelski, były I sekretarz KC PZPR, ostatecznie nie odebrał Orderu Virtuti Militari nieżyjącemu już sekretarzowi generalnemu KC KPZR Leonidowi Breżniewowi. Nie wypadało. Uchwałę o nadaniu Krzyża Wielkiego PRL-owskiego Orderu Virtuti Militari tylko uchylił...

Serdecznie pozdrawiam Autora i całą „Rzecz"

Tadeusz Jeziorowski

Od autora

Wyrazy uznania ze strony tak wybitnego znawcy heraldyki i polityki orderowej przyjmuję z wielką wdzięcznością. Sądzę, że to tylko potwierdza wagę tej problematyki i to, że Polska ma w tej sprawie naprawdę poważną lekcję do odrobienia.

Pozdrawiam serdecznie

M. Korkuć

Małpa w kąpieli

Szanowni Państwo,
bodaj jeszcze w latach 90. śp. prof. Bogusław Wolniewicz przestrzegał Polaków przed postrzeganiem Zachodu wyłącznie poprzez wystawy sklepów. Rozumiał naturę ludzką i wiedział, że posiadanie wąskich levisów czy sweterka z Benettona niejednemu może zamącić w głowie i utrwalić w przeświadczeniu, że po takim zakupie z automatu staje się zachodnim Europejczykiem.

Żeby zatem czym prędzej doszusować do Zachodu, zaczęliśmy stopniowo pozbywać się wszystkiego, co polskie: od małych sklepików do przemysłu stoczniowego. Jogurty z Carrefoura czy stocznia zarządzana przez Szwedów po prostu muszą być lepsze.

O ile obawy profesora można by wówczas uznać za przesadzone – wiadomo, globalizacja, koniec historii itd. – o tyle obecnie mają one wymiar egzystencjalny. Na teren Polski wlatują sobie bowiem jakieś niezidentyfikowane obiekty, które zestrzeliwane są przez pociski nieznanego pochodzenia, już to polskie, już to norweskie. Tymczasem Polska dysponuje gotowymi narzędziami do rozpoznawania i neutralizacji zagrożeń z powietrza, opracowanymi przez polską firmę APS, która ogłasza swoje usługi na platformach internetowych. My zaś stawiamy na niedokończony system Skyranger, zapewne z banalnego powodu: jest niemiecki!

Można się założyć, że sparzymy się na tym, owa Fredrowska małpa!

Z poważaniem ***Ewa Kowynia***



eprasa.pl 8e76e32ead



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Z kamerą w celi głodu

Reklam tego filmu nie widać na billboardach. Rzadko można przeczytać o nim w gazetach. W Warszawie film pt. „Triumf serca" pokazują raptem dwa kina. Obraz nie wzbudził żadnego zainteresowania u szefów multipleksów. A przecież to poruszający zapis ostatnich dni życia św. Maksymiliana Marii Kolbego. Zakonnika, więźnia Auschwitz, zamkniętego w jednej celi z dziewięcioma innymi więźniami skazanymi na śmierć głodową. Już sama postać reżysera, amerykańskiego Włocha – Anthony'ego D'Ambrosia (rocznik 1971) – powinna zaciekawiać. Był autorem filmów o historii punk rocka czy widowiska o brytyjskiej grupie The Clash: „Revolution rock".

Coś musiało się jednak zdarzyć w sercu D'Ambrosia, że sięgnął po temat religijny i stworzył film wybitny. Owszem, śmierć franciszkanina w celi głodowej była już poruszana przez filmowców. W 1991 r. Krzysztof Zanussi poświęcił świętemu film pt. „Życie za życie. Maksymilian Kolbe", ale obraz ten wielu rozczarował. W 2017 r. pojawił się film „Dwie korony" w reżyserii Michała Kondrata. Na tle tych dwóch produkcji film D'Ambrosia jest dziełem najbardziej wybitnym.

To swoisty reportaż z bunkra głodowego, w którym zamknięto 10 więźniów ukaranych za ucieczkę swojego współtowarzysza niedoli z jednego baraku. Gdy niemieccy strażnicy zamykają więźniów, zakładają się, czy przetrwają więcej niż cztery dni. Osobiście zainteresowany jest tym też komendant obozu w Oświęcimiu SS-Hauptsturmführer Karl Fritzsch. To on zgodził się na propozycję o. Maksymiliana Kolbego, który zdecydował się pójść na śmierć głodową, aby ocalić ojca dwojga dzieci. Fritzsch nie robi tego bez powodu. Chce skompromitowania polskiego zakonnika. Ojciec Kolbe jednak znakomicie potrafi odwrócić logikę sytuacji. To on staje się postacią, która uczy pozostałych współwięźniów, jak zachować ludzką godność. A razem z nim w głodowej celi zamknięto m.in. komunistów i Żydów. Ludzi, dla których autorytet zakonnika katolickiego nie jest wcale oczywisty.

Ojciec Kolbe zachęca, by nie dać się sprowadzić z powodu głodu do rangi oszalałych ludzkich zwierząt, walczących między sobą o przetrwanie. Ich poprzednicy zamknięci w podobnych warunkach wyroku głodowego potrafili rzucać się na siebie w amoku. Pod wpływem zakonnika skazańcy potrafią zdobywać się na demonstrację wobec Niemców, np. śpiewając wspólnie „Rotę". I o. Kolbe uzyskuje swój zamierzony cel. Konający więźniowie umierają przytuleni jak bracia. Komendant obozu traci w końcu nadzieję na złamanie o. Kolbego i każe zamordować go zastrzykiem w serce z fenolu. Ale to już tylko akt odreagowania klęski esesmana. Cały obóz wie, że SS-Hauptsturmführer Fritzsch przegrał. Wiedzą to też zwierzchnicy Fritzscha, który dostaje przeniesienie na front wschodni.

Marcin Kwaśny w roli o. Kolbego nie jest ani zbyt patetyczny, ani zbyt sztuczny. Jest poruszająco autentyczny. Trwający grubo ponad dwie godziny film ogląda się ze ściśniętym gardłem. Zadajcie sobie trud, aby odnaleźć te nieliczne kina, które wyświetlają ten wspaniały obraz. Naprawdę warto. ©℗

NIE ŻYJE PROF. ADAM STRZEMBOSZ

W nocy z 9 na 10 października zmarł prof. Adam Strzembosz, wybitny prawnik, naukowiec, sędzia i Kawaler Orderu Orła Białego. Absolwent prawa na Uniwersytecie Warszawskim tytuł doktora uzyskał w 1969 r., a habilitację w roku 1979. W latach 80. aktywnie działał w opozycji, m.in. współtworząc struktury Solidarności w Ministerstwie Sprawiedliwości. W latach 1989–1990 był wiceministrem sprawiedliwości w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Od 1990 do 1998 r. był pierwszym prezesem Sądu Najwyższego i przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa. Miał 95 lat. ***(jap)*** ©℗

DONALD TRUMP BEZ NAGRODY NOBLA

Tegoroczną laureatką Pokojowej Nagrody Nobla została liderka demokratycznej opozycji w Wenezueli Maria Corina Machado – ogłosił w piątek Norweski Komitet Noblowski. Nagroda została jej przyznana za „niestrudzoną pracę na rzecz praw demokratycznych narodu wenezuelskiego i za jej walkę o sprawiedliwe i pokojowe przejście od dyktatury do demokracji". Do tegorocznej nagrody zgłoszono 338 kandydatów. Na to wyróżnienie liczył m.in. prezydent USA Donald Trump. O tym, że powinien ją otrzymać, przekonywała również rzeczniczka Białego Domu. ***(jap)***

PLAN POKOJOWY DLA STREFY GAZY

Rząd Izraela zatwierdził pierwszy etap porozumienia Donalda Trumpa w sprawie zawieszenia broni w Strefie Gazy i uwolnienia przetrzymywanych przez Hamas zakładników. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", wojska izraelskie rozpoczęły wycofywanie się na uzgodnione pozycje, a tysiące Palestyńczyków maszerowały na północ z nadzieją na trwały pokój. ***(jap)*** ©℗

CZYTAJ TAKŻE „CZY TONY BLAIR ODMIENI LOS STREFY GAZY?" NA STR. 66

eprasa.pl 8e76e32ead

Ciekawa rzecz, od pewnego czasu, kiedy tylko rozmawiamy z czytelnikami, okazuje się, że dużo bardziej niż wieści z opozycji lub koalicji interesują ich wiadomości o tym, co u prezydenta Karola Tadeusza. Niniejszym spełniamy więc oczekiwania: choć nie zostało to jeszcze ogłoszone, to jest więcej niż pewne, że niebawem osoba głowy państwa uda się do Brazylii.

Oczywiście uspokajamy, nie na emigrację. Pierwsza dama nie wystąpi na Sambodromie ani nie będzie dokazywać na plaży Copacabana. A Karol Tadeusz nie będzie grał na Maracanie. Chociaż kto go wie, bo lubi robić niespodzianki. Prezydent RP zaszczyci natomiast swoją obecnością szczyt COP. Nie wiecie, co to takiego? To impreza wielce klimatyczna. Jej katowicka edycja swojego czasu wylansowała samą Gretę Thunbergównę.

Od razu uprzedźmy – osoba głowy państwa nie zamierza swoją osobą zaszczycać tamtejszego kierplaca w randze szarża, pilnującego tamtejszej polskiej placówki dyplomatycznej pod nieobecność prawowitego ambasadora. Bowiem tamtejszy szarż to taki pomniejszy Schnepf. Dość powiedzieć, że absolwent osławionej sowieckiej (a potem rosyjskiej) szkoły dyplomacji, czyli MGIMO. A studiował tam już po upadku komuny, kiedy to ludzie raczej wybierali inne kierunki.

Pozostając w Brazylii, choć tamtejszy kierplac nie jest pełnoprawnym ambasadorem, to zażyczył sobie wypasionej rezydencji (podobnie zresztą jak Schnepf w Rzymie). Zasadniczo kierplacom takie rezydencje nie przysługują, ale szef resortu może w wyjątkowych przypadkach zadecydować inaczej. No i wyobraźcie sobie, cóż za zaskoczenie, zdecydował.

Tymczasem w kraju. Czytelnicy naszej rubryki są od nas lepiej poinformowani, bo wiedzą już, jak przebiegał wielki marsz PiS w sobotę 11 października. My nie wiemy, gdyż piszemy te słowa w piątek. Ale jednego jesteśmy pewni: jak przyjedzie milion ludzi, to policja poda, że 100 tys., a „GazWyb" zamieści zdjęcie trzech emerytów z flagą i rowerem.

W kwestii marszu najbardziej ciekawi nas, czy w jego ramach doszło do jakże oczekiwanej debaty Mateusz Morawiecki kontra Zbigniew Ziobro. Uważamy, że imprezy masowe są najlepsze do debatowania, choć niekoniecznie marszowe. Być może obaj panowie mogliby debatować, stepując.

Bardzo nas też ciekawi, czy na marszu rozmaite inne frakcje kroczyły równym krokiem obok siebie i z równą radością. Bo trochę nie nadążamy za aktualną sytuacją. Na przykład ostatnio miało miejsce spotkanie w Sędziszowie Małopolskim. W PiS niektórzy ze zdumieniem relacjonują jego przebieg.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zorganizował je słynny senator Zdzisław Pupa, a gościli m.in. Daniel Obajtek, Bogdan Rzońca tudzież Przemysław Czarnek. No i okazało się, że Obajtek wychwalał Czarnka pod niebiosa, a Czarnek Obajtka. I my już nie wiemy w związku z tym, czy Obajtek jest z Morawieckim czy przeciw Morawieckiemu, i w ogóle, o co chodzi.

Jednocześnie płyną do nas z wnętrza Konfederacji sygnały o tamtejszych zawiłościach polityki frakcyjnej. Zawiłości są dosyć proste, gdyż chodzi o to, że aktualnie występuje tam zero zaufania między Nową Nadzieją Mentzena a Ruchem Narodowym Bosaka. Jak słyszymy, Sławek Mentzen włączył tryb „Konfederacja to ja", argumentując, że to on wygrał wybory prezydenckie Nawrockiemu, a jak komuś to nie pasuje, to wypad. Elementem wypadu miałoby być odpowiednie ułożenie list wyborczych: sami politycy Nowej Nadziei i tylko kilku posłów Ruchu Narodowego na doczepkę.

Tymczasem nasze wiewiórki w służbach donoszą, że zdecydowano o kupnie nowego Pegasusa. Nazywa się co prawda inaczej, ale potrafi to samo. Innymi słowy, są pegasusy złe i nieprawworządne, ale są też praworządne oraz, jakżeby inaczej, uśmiechnięte.

Na zakończenie info z europarlamentu. Zapraszamy do pogłębionej refleksji, byście mogli śmiać się równie głęboko jak my. Otóż na ostatniej sesji w Strasburgu przyjmowano z honorami premiera Grenlandii. Wygłosił on nawet płomienne przemówienie antytrumpowe, gdyż to Trump, a nie jakiś Putin czy Xi, jest największym wrogiem Unii Europejskiej (a w każdym razie europarlamentu). Widzicie, nie ma takiego państwa jak Grenlandia. Jest to de facto kolonia duńska, której zmieniono tylko nazwę na „terytorium zależne" Królestwa Danii. Równie dobrze w europarlamencie mógłby przemawiać premier Podkarpacia. Gdybyśmy nazwali je „terytorium zależnym".

Od razu odpowiadamy tym, którzy pytają, czy uważamy, że Podkarpacie jest kolonią. Otóż aktualnie tak. Żyjący tam bogobojni, ciężko pracujący polscy patrioci muszą żyć pod jarzmem kosmopolitycznego rządu liberałów z Warszawy, który dba o interes Podkarpacia mniej więcej tak jak rząd w Kopenhadze. Czy to oznacza, że chcemy zmiany statusu Podkarpacia? Absolutnie nie. Chcemy zmiany statusu rządu.

Na koniec zapraszamy do innej pogłębionej refleksji, byście mogli być zniesmaczeni równie głęboko jak my. Otóż europarlament ogłosił pomoc finansową dla Grenlandii, by mogła bronić się przed Trumpem. Drobne 530 mln euro. Dlaczego nas to zniesmacza? Cóż, jakiś czas temu tenże europarlament przyznał pomoc finansową Ukrainie, by mogła bronić się przed Putinem: na szpitale, pielęgniarki, lekarzy itp. Było to 500 mln euro. Są informacje, które komentują się same. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zero nadchodzi

Koncesja telewizyjna dla Kanału Zero Krzysztofa Stanowskiego, przyznana w ostatnich dniach przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, to prawdziwy cios dla lewicowo-liberalnego „salonu". Środowiska, które umowa z Magdalenki uczyniła „grupą trzymającą debatę publiczną", w ostatnich latach zmuszone są ciągle się cofać. Najpierw rozpanoszył się Internet – duże portale można było jeszcze utrzymać pod kontrolą tradycyjnymi metodami, ale pojawiły się też media społecznościowe, gdzie może wygłaszać swe nieuzgodnione za światłymi elitami opinie dosłownie każdy, byle kto, i – o zgrozo – okazało się, że wiele z tych opinii jest podzielanych szerzej niż nauczanie jaśnie oświeconych. Potem w Internecie pojawił się YouTube, a na nim filmiki, również propagujące treści nieuzgodnione i niezaaprobowane. A w końcu populizm rozhulał się tak, że wielu ludzi w ogóle przestało oglądać telewizję, której opanowanie koncesjami i układami kapitałowymi kosztowało klasę panującą III RP tyle wysiłku.

„Salon" musiał się pogodzić z istnieniem mediów pozostających poza jego kontrolą – cudowne lata 90., kiedy to poranne kolegia w mediach elektronicznych zaczynały się i kończyły przeniesieniem wyznaczonej przez nią agendy na antenę, od dawna mógł już tylko wspominać. Ale wypracował metodę zachowywania wpływów, nauczył się alternatywne przekazy zamykać w „bańce" i etykietować jako „pisowskie", „populistyczne" czy zgoła „faszystowskie". Tym samym zachował wpływ nieograniczony przynajmniej na część odbiorców, przyuczonych, że „swoich" jedynie słusznych mediów nigdy się nie przełącza, a wszystko, czego one nie podają, „ode złego pochodzi".

Problem, który ma establishment ze Stanowskim, polega na tym, że jego się skutecznie zaetykietować i zamknąć w bańce „pisowskiej" nie dało. Stare sposoby „cancelingu" zawiodły, pozostała jedynie pociecha, że najwierniejszy elektorat panującego układu, ten powyżej czterdziestki, pozostaje poza jego wpływem. I masz, teraz telewizja?! ©℗



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Wielka Wojna Polska

Zafascynowany Imperium Brytyjskim Dmowski pisał na początku XX w., że prawdziwa solidarność z losem i interesami narodu powinna w równym stopniu przejawiać się we wszelkich warunkach, niezależnie od tego, czy Ojczyzny trzeba „bronić czy w jej imieniu napadać", bo na „takim tylko patriotyzmie można budować narodową przyszłość".

Wydaje się, że w tym miejscu poniosła go retoryka, chęć prowokowania, agere contra naiwnym wizjom wiecznotrwałego sprawiedliwego ładu międzynarodowego. Tym niemniej każdy Polak, który ze czcią myśli o odzyskanej w 1918 r. niepodległości, powinien poczuwać się do równej satysfakcji zarówno z posiadania granic niepodważalnych, jak i z walki o granice kwestionowane. Praktycznie mieliśmy tylko te drugie.

O ile podczas pierwszej wojny światowej politykę polską z roku na rok coraz bardziej dominował „pasywizm", o tyle potem, w latach 1918–1921, stoczyliśmy naszą Wielką Wojnę, w której zbrojnie wykreśliliśmy wszystkie granice. W zgodzie z sąsiadami mogła powstać (ale czy się ostać?) jedynie Polska bez Poznania i Bydgoszczy, bez Katowic i Cieszyna, bez Suwałk i Przemyśla. Taka Polska po drugiej wojnie światowej nie otrzymałaby żadnych rekompensat terytorialnych, bo nie byłoby czego rekompensować. Bez Lwowa i Wilna przed wojną nie byłoby dzisiejszej Polski ze Szczecinem i Wrocławiem.

Tymczasem o Lwów, Stanisławów (a nominalnie i Wołyń) stoczyliśmy ciężką wojnę z Ukrainą w latach 1918–1919. Walczyliśmy o bezpieczne granice, o dziedzictwo historyczne, o żyjących tam Polaków. Racje etniczne („samostanowienie narodów") nie przemawiały na naszą korzyść. W Galicji Wschodniej żyło dwa razy więcej Ukraińców niż Polaków, na Wołyniu – cztery razy więcej. Ale to Polska ochroniła ich przed ludobójstwem, które przeżyli Ukraińcy za Zbruczem kilkanaście lat później. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

Wygrać na tragedii Palestyńczyków



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Trudno inaczej opisać cyniczną strategię i taktykę włoskiej postępowej opozycji. W sobotę, dzień po strajku generalnym proklamowanym przez lewicowe związki zawodowe, który sparaliżował kraj, w Rzymie odbyła się kolejna masowa manifestacja propalestyńska. Frekwencja była imponująca (250 tys. według policji, dwa miliony według organizatorów). Pokazała, że Włosi nie pozostali obojętni na porażające obrazki z Gazy, która dziś przypomina Warszawę ze stycznia 1945 r.

Naturalnie nie zabrakło haniebnych haseł. Na wielu transparentach wypisano: „Niech żyje 7 października i palestyński ruch oporu" [tego dnia dwa lata temu Hamas bestialsko wymordował ponad tysiąc Izraelczyków i gości festiwalu muzycznego – dop. P.K.].

Wszystko jak zwykle zakończyło się poważnymi zamieszkami wywołanymi przez zawodowych zadymiarzy. Kilkudziesięciu policjantów odniosło rany. Drugi dziennik Włoch, „La Repubblica", z którego postępowcy dowiadują się, jak mają myśleć i co robić, najwidoczniej uznał, że trzeba i tak wysoką frekwencję podretuszować. W niedzielę na pierwszej stronie wywalił wielkie zdjęcie nieprzebranych tłumów na wiecu przed bazyliką św. Jana na Lateranie. Tyle że pochodziło sprzed 11 lat.

Nie zmienia to faktu, że w przytłaczającej większości w manifestacji uczestniczyli spokojni Włosi, nierzadko z dziećmi, z potrzeby serca, poruszeni tragedią Palestyńczyków w Gazie. Jednak z wypowiedzi polityków opozycji i kibicujących jej komentatorów wynikało, że de facto była to demonstracja przeciwko reżimowi Giorgii Meloni i odradzającemu się w Italii faszyzmowi, a zadymiarze reprezentowali tych, o których rząd zapomniał i których skazał na beznadziejną wegetację. Ba! Ogłosili, że w Italii właśnie doszło do dramatycznej zmiany preferencji wyborczych.

Bolesne otrzeźwienie przyszło już w poniedziałek. Obóz postępu poniósł klęskę w wyborach w Kalabrii, a sondaże wskazały, że koalicja rządząca ma o 4 punkty procentowe więcej zwolenników, niż miała w zwycięskich wyborach trzy lata temu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 8e76e32ead



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

BIEDNI MY

Aktorkopiosenkarka Julia Wieniawa nie lubi, jak zbyt długo jest o niej cicho. Postanowiła to zmienić i w wywiadzie u Kuby Wojewódzkiego podzieliła się przemyśleniami na temat „biedy umysłowej". Celebrytka przyznała, że jest pracoholiczką, jednak jest to jej świadomy wybór, który pozwala realizować marzenia i cele. „Jestem niestety tego twarzą. To jest każdego wybór. Ja



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

lubię z.....ć" – wskazała. Pytana, czy sukces wymaga poświęceń, odparła: „Ja czasami mówię takie bardzo ładne motta, że sukces to decyzja [...]. Mój sukces to moja decyzja. Bo chcę być tu, gdzie dzisiaj jestem". Prowadzący chciał wiedzieć, „jak 26-latka poradzi sobie ze stwierdzeniem, że bieda to stan umysłu". „Niestety, ale też tak uważam. Wiem, że to jest kontrowersyjne" – przyznała. Gwiazda zapewniła, że nie pochodzi z bogatej rodziny, jak mogą myśleć o niej ludzie. „Ale jako dziecko już wiedziałam, co mnie w życiu czeka. Nieświadomie afirmowałam to swoje życie. Zawsze wiedziałam, że na wszystko będzie mnie stać, co będę chciała. Czułam to w trzewiach. Ale to nie wystarczy chcieć, tylko ciężko na to pracować. Mieć obrany cel i nie porównywać się do innych i robić swoje, nawet kiedy ktoś podcina ci skrzydła. Trzeba otrzepać się i poprawić koronę, jest to namacalne w moim przypadku" – stwierdziła Julia. Warto do tej historii dodać istotny wątek – matka Wieniawy jest jednocześnie jej menedżerką, która od małego szykowała córkę do wielkiej kariery. Może więc było Julce nieco łatwiej? Czy to zbyt śmiała teza?

WKRĘCONA PRZEZ KUBĘ

W obronie Wieniawy stanęła Hanna Lis. Uważa, że młoda artystka stała się ofiarą medialnej nagonki, a złe języki dokonały nadinterpretacji jej słów. „Słowa głupie, haniebne, zgoda. Drobny szczegół: tych słów nie wypowiedziała Julka, zrobił to Kuba Wojewódzki. Nie znam Julii, ale wiem, jak wygląda nagranie »show« u KW. Been there, done that. Specyficzna tam panuje atmosfera. Atmosfera show właśnie. Ma być zabawnie, kontrowersyjnie, ostro, publiczność ma oklaskiwać albo buczeć, ma się nieść. No i się poniosło" – zauważyła Lis. Jej zdaniem odpowiedzialność za słowa powinien ponieść autor, czyli Wojewódzki, który ma zdecydowanie większe doświadczenie. „To Kuba, doświadczony życiem i żarłocznością mediów 60+ latek, wypowiedział słowa, za które lanie dostaje teraz młoda kobieta. Nie wiem, czy miał to być w zamyśle (idiotyczny) bon mot czy rzeczywisty ogląd rzeczywistości Kuby. Julia przytaknęła. Przy włączonych ośmiu kamerach, kilkuset osobach w publiczności, przy perkusji werblami podbijającej bon moty gospodarza, w medialnym cyrku, krótko mówiąc. Dziewczyna nie zachowała refleksu, dała się wkręcić w »show«" – stwierdziła Lis. Zwróciła uwagę, że Julia Wieniawa starała się rozwinąć myśl, ale nie miała na to czasu. „Mówiła potem o tym, że nie pochodzi z bogatej rodziny, że doszła do punktu, w którym jest, własną pracą, ale to już nie miało/nie ma żadnego znaczenia. Może powinna teraz oświadczyć, że urodziła się w rodzinie alkoholików, czy przemocowców, żeby jej wybaczono? Nazwisko Julii, jak wiele nazwisk innych przed nią, i wiele innych po niej, jest tu zupełnie nieistotne. Zasięgi, ratingi, słupki. Ona przeprosiła już za nie swoje słowa. A on? Cisza" – oburza się Lis na Wojewódzkiego. Prezenterka uważa, że showman powinien wydać oświadczenie i zaapelować o niehejtowanie Wieniawy. „Nie, bieda NIE JEST STANEM UMYSŁU. Bywa, że można się z niej wydostać siłą woli, bywa inaczej. Nie jest to na pewno temat na »show«" – zakończyła swój wpis Hanna Lis. Ponadto Julia też mogłaby wydać oświadczenie, w którym dokładnie tłumaczy, co miała na myśli. Z jakiegoś powodu tego nie zrobiła.

UKRÓCIĆ PLOTKARZY

Nastoletnia piosenkarka Viki Gabor, choć talentu nie sposób jej odmówić, ze względu na specyficzny styl bycia (m.in. częste wplatanie w wypowiedź zwrotów w języku angielskim) jest częstym tematem internetowych memów i przeróbek. Dodatkowo w Internecie regularnie pojawiają się plotki na jej temat. Gabor postanowiła odpowiedzieć plotkarzom. W rozmowie z Radiem Eska zdementowała np. rewelację na temat rzekomego powiększenia ust. Zapewniła, że pełne wargi to zasługa genów, a ingerencja w naturę nie była potrzebna. Inna z plotek głosi, że artystka miałaby być w ciąży. Tego już dla Viki za wiele. Wokalistka wprost zwróciła się do hejterów. „Myślę, że każdy powinien po prostu pilnować swojej dupy, no i to powinno być normalne, bo tak naprawdę, wiesz, każdy z nas jest inny, każdy z nas ma swoje marzenia do spełnienia. Pilnujmy siebie, no co ja będę oceniać kogoś przez to, jak ktoś się ubrał czy no nie wiem... Ja obrywam za to, że mam duże usta – no co ja mam sobie zmienić w tych ustach, bo ja nie rozumiem? I oni w wieku, ja miałam 15–16 lat, pisali, że sobie powiększyłam usta. Dla mnie to jest chore" – podsumowała. Dobrze Viki! Jazda z plotkarzami. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, są dobre wiadomości. Pamiętacie tę atmosferę niezdrowego podjarania Kosmosem, kiedy to polski astronauta poleciał na ISS? Otósh mówiliśmy: nie ma sensu inwestować w eksplorację Kosmosu, iż wszystkiego, czego mogliśmy się o Kosmosie dowiedzieć, to już wiemy, iż to obszar zainteresowań stary, niemodny i już ponadsześćdziesięcioletni (trzy razy próbowaliśmy napisać to słowo).

Sorry za przydługi wstęp, ale chcieliśmy dać kontekst. A zadowoleni jesteśmy z tego, iż rząd podobno wstrzymał środki na finansowanie radioteleskopu – największego takiego w Europie Środkowej, ulokowanego w Piwnicach pod Toruniem. Dlaczego tak wielki sprzęt jest trzymany gdzieś w toruńskiej piwnicy zamiast w bardziej eksponowanym miejscu – nie wiemy. Ale tym bardziej pozwala to myśleć, iż dobrze się stało, że więcej środków na to nie będzie.

No bo na logikę – co taki radioteleskop miałby odkryć, czego nie odkryją misje kosmiczne na ISS? O ile się dobrze orientujemy, to ISS jest bliżej Kosmosu niż Toruń i stamtąd jest lepszy widok nie tylko na wszechświat, lecz także na Unię Europejską na przykład.

Oczywiście już się rozległy jęki prawaków, których ostatni kontakt z nauką to matura na Podlasiu albo obrona jakiejś objętościowo nieuposażonej pracy z fizyki na polibudzie (nasza z politologii miała ze 150 stron, a z tego pewnie dwie trzecie to były cytaty – to jest poważna nauka), że olaboga, radioteleskop Tusk im zabiera. A jakby co do czego przyszło, to żaden z nich by pewnie takiego radioteleskopu nie umiał obsłużyć, hipokryci.



Rząd tymczasem inwestuje w prawdziwą wiedzę wbrew temu podkarpackiemu lamentowi i otwiera w kolebce naszej innowacji i nauki (no czyli na Uniwersytecie Warszawskim, a gdzie?) kierunek pod nazwą „płeć i seksualność" – i to na studiach magisterskich.

Jest to naprawdę fantastyczna wiadomość, iż wreszcie w jakimś obszarze próbujemy nadgonić lata zaniedbań, które narosły po stuleciach rządów mniej lub bardziej pobożnej prawicy. Niestety, nie widzieliśmy jeszcze planu zajęć i kursów, na które można się zapisać – nie wątpimy natomiast, iż dzięki tym studiom wiele młodych osób będzie się mogło pochwalić ekskluzywnym i innowacyjnym (nareszcie, w tym kraju!) tytułem magistra.

Boimy się tylko trochę o to, iż rynek pracy może nie być na nich jeszcze tak do końca gotowy, a wydaje się, że z finansowaniem międzynarodowych postępowych organizacji może być teraz nieco gorzej niż jeszcze dwa lata temu z powodu fashysmu, jaki zapadł w USA.

Liczymy więc na to, iż na UW będzie się rozwijała katedra czy tam wydział, czy jak też inaczej staroświecko nazywają się te komórki, w których dumni absolwenci „płci i seksualności" będą mogli prowadzić badania naukowe i kształcić kolejne pokolenia studentów, a może potem nawet wysyłać ich dalej w świat, aż wreszcie – kto wie, kto wie – zdobyć Nagrodę Nobla! Marzenia... ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wadim!

Wadim, musisz tę swoją partię rozruszać, bo nie zdążysz jej inaczej rozkręcić przed wyborami. I skąd ja wtedy wezmę koalicjanta?

No ale co ja mam, Donald, według ciebie robić?

To ja mam ci mówić? Nie wiem, młodych jakichś weź.
Mam już. Wczoraj taką parę przyjąłem, oboje ledwo po pięćdziesiątce.

Na litość... Biznes jakiś, przecież to ma być partia biznesu.

Też mam. Przecież dwóch wiceprezesów ze spółek Skarbu Państwa mam.

**Za siebie się weź!
Dżinsy załóż, biegać zacznij,
na mnie popatrz...
Wadim! Wadim,
do cholery, obudź się!** ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jesteśmy na najlepszej drodze do wygrania następnych wyborów".

ROMAN GIERTYCH, *poseł KO, w programie „Pytanie dnia" (TVP Info)*

eprasa.pl 8e76e32ead



FOT. EVELYN HOCKSTEIN/REUTERS/FORUM

Polityka zagraniczna Donalda Trumpa bywa opisywana na dwa sprzeczne sposoby: albo jako lekkomyślny chaos, albo jako przebiegła nieprzewidywalność. Oba ujęcia zawierają część prawdy. To, co czyni jego styl tak osobliwym, to połączenie pozorów nieporządku z faktyczną ciągłością polityki. Jego podejście do wojny na Ukrainie jest tego najlepszym przykładem. Dla wielu jego niedawne uwagi na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ sprawiały wrażenie nagłego zwrotu, przyjęcia maksymalistycznej retoryki proukraińskiej, wręcz ruchu w stronę eskalacji, włącznie z pozwoleniem sobie na określenie Rosji mianem „papierowego tygrysa". Jednak po odarciu z ironii przekaz Trumpa pozostaje całkowicie spójny: Stany Zjednoczone będą sprzedawać broń Europie, ciężar poniesie europejski filar NATO, ale Waszyngton nie zobowiąże się do decydującej konfrontacji z Rosją z wiadomych względów.

Ten wzór „strategicznego chaosu" nie jest u Trumpa nowością. To zasadniczy element jego politycznego stylu. Nieustannie zmieniając ton, przecząc samemu sobie i wykonując pozorne zwroty, tworzy mgłę, w której może swobodnie manewrować. Obserwatorzy gonią za kolejnymi wybuchami retoryki, podczas gdy głębsza linia polityki – utrzymanie dominacji USA w ramach NATO, przerzucenie odpowiedzialności za wojnę na Ukrainie na Europę, unikanie bezpośredniego uwikłania Ameryki – pozostaje niezmienna. To sprytna, choć cyniczna metoda sprawowania władzy, która pozwala trzymać sojuszników w niepewności, a przeciwników w stanie dezorientacji.

Wojna na Ukrainie obnażyła zarówno ograniczenia, jak i użyteczność takiego podejścia. Trump obejmował urząd z obietnicą, że osiągnie sukces tam, gdzie jego poprzednicy zawiedli – miał skłonić Władimira Putina do negocjacji i wymusić zakończenie konfliktu, w pewnym momencie twierdził, że zakończy konflikt w przeciągu 24 godzin. Ambicja ta legła w gruzach. Nie tylko nie udało mu się zapewnić pokoju, lecz także jeszcze mocniej postawił na pośrednie dozbrajanie Ukrainy. Sprzedając broń i przekazując informacje wywiadowcze, jednocześnie odmawiając wysłania amerykańskich żołnierzy czy zezwolenia na ataki w głąb Rosji (na razie), Trump podtrzymuje fasadę dystansu. USA mogą twierdzić, że nie „prowadzą" wojny, podczas gdy w praktyce nadal zachowują centralną rolę.

Nawet „The New York Times" z opóźnieniem przyznał, że słowa Trumpa o Ukrainie i Rosji – wypowiedziane 23 września br. w trakcie wystąpienia w ONZ, po spotkaniu z Wołodymyrem Zełenskim, i opublikowane we wpisie na portalu Truth Social – nie były rzeczywistą zmianą polityki. To, co wyglądało na chaos, w istocie okazało się ciągłością. Wygląda na to, że Trump nigdy nie zamierzał radykalnie zmieniać kursu wobec Rosji czy Ukrainy. Sarkazm posłużył

eprasa.pl 8e76e32ead



Czy w tym szaleństwie jest metoda?



Michał Krupa

Styl rządzenia Donalda Trumpa bywa błędnie brany za czysty chaos. W rzeczywistości to połączenie widowiska i ciągłości. Różnica między widowiskiem a strategią może przesądzić nie tylko o losach Ukrainy, lecz także o wiarygodności amerykańskiego przywództwa w XXI w.

mu do umycia rąk od odpowiedzialności, uspokojenia krajowej opinii publicznej, że nie wciągnie Ameryki w kolejną „wieczną wojnę", oraz uwolnienia się od presji prowadzenia rozmów z Moskwą, które i tak nie rokowały powodzenia, m.in dlatego – jak twierdzi wielu analityków – że ciągle ma do czynienia z takimi doradcami jak Keith Kellogg, który ostatnio stwierdził bez mrugnięcia okiem, że Rosja przegrywa wojnę na Ukrainie.

Trump jedynie potwierdził wcześniejsze deklaracje członków swojej administracji. Jak jasno stwierdził sekretarz obrony Pete Hegseth w Brukseli 12 lutego br.: Europa ma ponosić „przytłaczającą część" kosztów wsparcia dla Ukrainy. Tak więc Ameryka dostarczy broń, Europa zapłaci rachunek, a Ukraina pozostanie narzędziem w szerszej geopolitycznej rozgrywce.

Ten balans ujawnia głębszy instynkt Trumpa: sprawiać wrażenie nieprzewidywalnego, zachowując jednocześnie kontrolę. Jego pełna furii retoryka wobec Rosji jest często jedynie taktyką negocjacyjną. Sarkazm służy mu do

eprasa.pl 8e76e32ead

odpychania odpowiedzialności. To, co prezentowane jest jako gwałtowny zwrot w polityce, okazuje się powtarzaniem tego samego motywu: rola Ameryki polega na dominowaniu w konflikcie pośrednio, a nie na jego bezpośrednim rozwiązywaniu.

Rosjanie zdają się rozumieć to lepiej niż zachodnie media. Kpiące komentarze byłego prezydenta Dmitrija Miedwiedie-

Stany Zjednoczone nadal dysponują ogromnym potencjałem – militarnym, technologicznym i finansowym – ale nie są już arbitrem bezalternatywnym. To rodzi naturalną frustrację u człowieka, który całą swoją karierę budował na „wygrywaniu"

wa poczynione na Telegramie na temat nowojorskich wystąpień Trumpa były bardziej wyrazem rozbawienia niż oburzenia. Przedstawił on Trumpa jako kuglarza fantazji – jednego dnia ogłaszającego zwycięstwo Ukrainy, następnego grożącego kapitulacją, jeszcze innego zapowiadającego coś „historycznego". Pod powierzchnią szyderstwa kryje się jednak cel: Trump nie dąży do zakończenia wojny, a jedynie do kształtowania jej warunków. Moskwa wie, że polityka USA w najbliższym czasie nie ulegnie zasadniczej zmianie, niezależnie od teatralnych zmian tonu.

WIELOBIEGUNOWY DYLEMAT

Warto także spojrzeć na „chaos" Trumpa z jeszcze jednej perspektywy – tej, która dotyczy zmian w samym układzie sił międzynarodowych. Jego pozornie bezładny styl zarządzania może być nie tylko zabiegiem politycznym czy próbą ucieczki od odpowiedzialności, lecz także wyrazem głębszej bezradności wobec świata, w którym Stany Zjednoczone nie są już jedynym centrum decyzyjnym. Epoka jednobiegunowej dominacji Ameryki, która nastała po zakończeniu zimnej wojny, nieodwracalnie się kończy. Rosja, mimo sankcji i kosztów wojny, nadal utrzymuje zdolność do kształtowania regionalnego i globalnego porządku bezpieczeństwa, dysponuje potencjałem odstraszania nuklearnego i potężnym przemysłem zbrojeniowym. Chiny, które jeszcze w latach 90. były postrzegane jako mocarstwo rozwijające się, dziś stały się równorzędnym graczem gospodarczym, technologicznym i militarnym. Indie natomiast coraz odważniej budują własną pozycję – jako państwo, które nie chce być ani w pełni sojusznikiem Zachodu, ani satelitą Moskwy czy Pekinu. Istnieje również grupa tzw. mocarstw regionalnych, takich jak Iran, Brazylia, Turcja czy Arabia Saudyjska, które z sukcesem kształtują swoją autonomiczną politykę zagraniczną bez oglądania się na Waszyngton.

Trump, który zbudował swoją narrację polityczną na hasłach „America First", zdaje się nie przyjmować do wiadomości tej wielobiegunowej rzeczywistości. Jego strategia – jeżeli można ją tak nazwać – często opiera się na założeniu, że USA wciąż są w stanie wymusić na innych aktorach polityki międzynarodowej posłuszeństwo i podporządkowanie. Tymczasem coraz więcej państw nie tylko odrzuca takie podejście, lecz także aktywnie współkształtuje alternatywne układy i formaty współpracy. BRICS, Szanghajska Organizacja Współpracy czy nowe porozumienia energetyczne na linii Moskwa – Pekin – Delhi wskazują, że globalny ład rozwija się poza orbitą Waszyngtonu. Nic dziwnego, że Trump niejednokrotnie groził państwom BRICS konsekwencjami za próby odejścia od dolara jako waluty rozliczeniowej, ostrzegając, że USA „odpowiedzą twardo" na takie działania. Tego rodzaju ostre i często chaotyczne wypowiedzi nie były przejawem realnej strategii odstraszania, ale raczej nerwową reakcją na fakt, że świat finansowy wymyka się spod pełnej kontroli Waszyngtonu.

W tym sensie chaos Trumpa może być po części przejawem zderzenia ze światem, którego nie rozumie lub nie akceptuje. Stany Zjednoczone nadal dysponują ogromnym potencjałem – militarnym, technologicznym i finansowym – ale nie są już arbitrem bezalternatywnym. To rodzi naturalną frustrację u człowieka, który całą swoją karierę budował na „wygrywaniu". Kiedy Trump mówi o „rezygnacji z dalszej odpowiedzialności za Ukrainę" i spycha ciężar wojny na Europę, to nie tylko retoryczny unik. To również świadectwo, że USA nie są w stanie – ani finansowo, ani politycznie – samodzielnie narzucać rozwiązań na globalną skalę, jak miało to miejsce w latach 90. i na początku XXI w. Panowanie, które dawniej można było wyrazić w prostym równaniu: decyzja w Białym Domu = nowy porządek na świecie, dziś uległo erozji.

Trump, zamiast zmierzyć się z tym multipolarnym układem, używa chaosu i ironii, aby maskować bezsilność wobec rzeczywistości, w której Pekin, Moskwa i Delhi nie pytają już Waszyngtonu o zgodę. Jego polityka wobec Ukrainy – ciągła gra pozorów i negocjacyjnych forteli – może być interpretowana właśnie jako sposób unikania konfrontacji z faktem, że Ameryka nie ma już monopolu na kształtowanie ładu światowego. W ten sposób chaos nie jest tylko narzędziem wewnętrznej polityki, lecz także symptomem głębszego kryzysu hegemonii.

NIXON I TRUMP: DWA MODELE NIEPRZEWIDYWALNOŚCI

Aby lepiej zrozumieć styl Trumpa, warto porównać go z Richardem Nixonem. Nixon również pielęgnował aurę nieprzewidywalności. Jego „teoria szaleńca" zakładała, że może działać irracjonalnie, wręcz niebezpiecznie, by wymusić na przeciwnikach ustępstwa. Ta nieprzewidywalność była jednak częścią szerszej strategii. Polityka zagraniczna Nixona miała jasne cele: wyprowadzić USA z Wietnamu bez upokorzenia, otworzyć relacje z Chinami i implementować odprężenie z ZSRS. Jego chaos był wyrachowany, a groźby osadzone w wielkim planie.

Nieprzewidywalność Trumpa jest inna. Nie wpisuje się w całościową wizję strategiczną, lecz stanowi polityczną taktykę permanentnej elastyczności. Tam, gdzie Nixon stosował nieprzewidywalność, by wspierać spójne cele, Trump używa jej, by unikać odpowiedzialności. Nixon chciał wstrząsnąć przeciwnikami, zmuszając ich do ustępstw. Trump chce utrzymać w niepewności zarówno sojuszników, jak i przeciwników, aby nie można go było przyprzeć do muru. Chaos Nixona był ograniczony przez strategię;

eprasa.pl 8e76e32ead

chaos Trumpa ogranicza jedynie jego własna potrzeba swobody manewru.

Trump używa nieprzewidywalności do destabilizowania samych sojuszników. Jego powtarzane żądania, by Europa ponosiła większy ciężar wojny na Ukrainie, w mniejszym stopniu są próbą wzmocnienia NATO, a w większym – podkreślaniem amerykańskiego dystansu. Trump zdaje się wręcz czerpać satysfakcję z przypominania sojusznikom, że USA nie zawsze będą obecne – wydobywając w ten sposób ustępstwa, ale równocześnie siejąc wątpliwości.

Nieprzewidywalność Nixona służyła zaś nie tylko jako taktyka negocjacyjna, lecz także jako sposób redefiniowania potęgi USA w okresie względnego osłabienia. Wojna w Wietnamie podkopała prestiż Ameryki, ZSRS poszerzał swoje wpływy, a Chiny pozostawały niewykorzystaną kartą. Nieprzewidywalność Nixona działała, bo była sprzężona z dalekowzrocznością strategiczną.

W Wietnamie Nixon dawał sygnały Hanoi, że może dramatycznie eskalować, jeśli odmówią negocjacji. Choć brutalne w wykonaniu, to jego „taktyki szaleńca" miały na celu wymuszenie rozwiązania dyplomatycznego, a nie pozostawienie konfliktu w dryfie.

Jego otwarcie na Pekin w 1972 r. zszokowało świat, ale było mistrzowskim posunięciem realizmu. Wykorzystując rozłam chińsko-sowiecki, Nixon zrównoważył zimną wojnę na korzyść USA. To, co wyglądało na chaos, było w istocie strategią.

Co do głównego rywala, Moskwy, Nixon zdołał negocjować porozumienia w sprawie kontroli zbrojeń, jednocześnie utrzymując przewagę dzięki nowym systemom broni, przy jednoczesnym kultywowaniu dobrych osobistych relacji z Leonidem Breżniewem. Nieprzewidywalność Nixona była obliczona tak, by utrzymywać w niepewności zarówno Moskwę, jak i Pekin, podczas gdy Waszyngton realizował konkretne cele, utrzymując otwarte linie komunikacji.

Nieprzewidywalność Trumpa przeciwnie – nie prowadzi do takiego „réalignement". Jego komentarze o Ukrainie nie wskazują na wielką strategię zmiany układu sił w Europie, chęć budowy nowej architektury bezpieczeństwa czy redefinicji roli Ameryki w Eurazji. To taktyczne uniki, by zrzucać winę, omijać koszty i zachować manewrowość. Ciągłość pod powierzchnią chaosu to nie realizm w stylu Nixona, lecz inercja obecnej polityki USA.

Mimo tych różnic nieprzewidywalność Trumpa nie jest pozbawiona funkcji. Dzięki nieustannym zmianom retoryki odsuwa od siebie presję krajowych krytyków, którzy domagają się albo eskalacji, albo wycofania. Jastrzębie mogą wskazywać na jego ostre słowa wobec Rosji, podczas gdy realiści znajdują pociechę w jego odmowie intensyfikacji działań prowojennych. Niezależnie od stanowiska każdy znajdzie w wypowiedziach Trumpa coś dla siebie. Ta dwoistość chroni jego elastyczność polityczną, ale pozostawia politykę USA w impasie – bardziej zależną od improwizacji niż od strategii.

Warto też zauważyć, że nieprzewidywalność Trumpa nie jest tak radykalna, jak się czasem wydaje. W praktyce jego podejście do Ukrainy stanowi kontynuację długotrwałej polityki USA: dozbrajać Ukraińców, unikać bezpośredniego uwikłania, wywierać presję na Europę, by przejęła większą odpowiedzialność, i utrzymywać amerykańską dominację w ramach NATO. Jego chaos maskuje ciągłość. Różnica tkwi w stylu – sarkazm zamiast dyplomacji, groźby zamiast cichej presji, media społecznościowe zamiast gabinetowych układów. Ale istota zmieniła się mniej, niż często twierdzą zarówno krytycy, jak i zwolennicy.

NIEBEZPIECZEŃSTWA CHAOSU

Ten styl jednak niesie ze sobą ryzyko. Nieprzewidywalność Nixona, mimo wszystkich zagrożeń, była ograniczona przez jasne cele, które uspokajały sojuszników i powściągały przeciwników. Nieprzewidywalność Trumpa grozi błędną kalkulacją. Sojusznicy mogą zwątpić w zobowiązania Ameryki i zacząć zabezpieczać się na własną rękę. Przeciwnicy mogą odczytać jego sarkazm jako szczerość albo jego groźby jako realne zamiary. W kraju z kolei brak spójnej strategii utrudnia podtrzymywanie poparcia dla polityki, która wygląda na dryf, co widać po krytycznych wobec Trumpa komentarzach jego często żarliwych wręcz zwolenników, którzy uważają, że prezydent powinien był dawno zmusić Kijów do ustępstw, zamrażając pomoc wojskową i finansową i przywołując do porządku europejskich „wasali".

Trump odważnie twierdził, że potrafi rozwiązać konflikt „w ciągu 24 godzin", jednak do dziś negocjacje utknęły w martwym punkcie, a dalsze zaangażowanie USA poprzez sprzedaż broni za pośrednictwem NATO wywołało krytykę ze strony zagorzałych sojuszników, takich jak Tucker Carlson, Steve Bannon, Marjorie Taylor Greene, Alex Marlow czy zamordowany niedawno Charlie Kirk. Głosy te, nagłaśniane na wpływowych

REKLAMA



eprasa.pl 8e76e32ead

platformach – od podcastów, przez media społecznościowe, do konserwatywnych redakcji – podkreślają pogłębiające się napięcie wewnątrz ruchu MAGA między jego nacjonalistycznymi korzeniami a geopolitycznymi machinacjami.

W jednym ze swoich programów z lipca 2025 r. Carlson gościł emerytowanego pułkownika Daniela Davisa, który stwierdził, że czarnorynkowa sprzedaż amerykańskiej broni przez Ukrainę kartelom „zabija Stany Zjednoczone" finansowo i strategicznie. Carlson wzmocnił ten przekaz, pytając, dlaczego Trump po sześciu miesiącach nie odciął całkowicie pomocy, ostrzegając, że konflikt grozi przerodzeniem się w „niekończące się bagno", które zdradza antywojenną linię MAGA sprzeciwiającą się „wojnom bez końca". Podobnie Steve Bannon, w swoim podcaście War Room z 14 lipca 2025 r., określił zatwierdzenie przez Trumpa sprzedaży broni przez NATO mianem „zdrady" jego wyborczej obietnicy, nazywając konflikt potencjalnym „Wietnamem Trumpa", jeśli zaangażowanie USA się utrzyma. W odcinku z 19 sierpnia Bannon poszedł dalej, krytykując gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy jako „zapalniki wojen światowych" i wzywając Trumpa, by priorytetowo traktował kwestie wewnętrzne, takie jak bezpieczeństwo granic, ponad zagraniczne uwikłania.

Marjorie Taylor Greene, głośna sojuszniczka Trumpa w Kongresie, 15 lipca 2025 r. opublikowała wpis na X, w którym potępiła umowę NATO jako „tylne drzwi" zmuszające amerykańskich podatników do finansowania „niekończącej się wojny". Argumentowała, że po pół roku takie działania stoją w sprzeczności z obietnicą Trumpa, iż Ameryka nie zostanie uwikłana w zagraniczne konflikty, niosąc ryzyko eskalacji „nieleżącej w interesie USA". Alex Marlow, redaktor naczelny portalu Breitbart, powtórzył te obawy w wywiadzie dla Axios z 19 sierpnia 2025 r., ostrzegając, że gwarancje bezpieczeństwa mogą „szybko eskalować" bez audytów ponad 200 mld dol. wydanych na Ukrainę, apelując do Trumpa, by opierał się naciskom jastrzębi. Z kolei Charlie Kirk, założyciel Turning Point USA, wystąpił 21 lipca 2025 r. w programie Carlsona, ubolewając, że drenowanie amerykańskich zasobów przez wojnę napędza wśród pokolenia Z „rewolucję" wobec rosnącego zadłużenia narodowego, nazywając opóźnienia „finansowym oszustwem zniewalającym" młodych Amerykanów.

Krytyka ta odbiła się szerokim echem – odcinek Carlsona obejrzano ponad 5 mln razy, podcasty Bannona osiągały po 100 tys. pobrań każdy, a wpis Greene na X został udostępniony 10 tys. razy. Niezadowolenie odzwierciedla szerszy niepokój w bazie elektoralnej Trumpa, która oczekiwała szybkiego wycofania się z globalnych konfliktów na rzecz priorytetów „America First", takich jak bezpieczeństwo granic i reforma gospodarcza. Do września 2025 r. Trump zmodyfikował retorykę, nazywając Rosję „papierowym tygrysem", lecz brak konkretnego rozwiązania wciąż podsycał narzekania lojalistów. Trwałość wojny, w połączeniu z nieustępliwością Rosji i wewnętrznymi debatami w Partii Republikańskiej wokół polityki zagranicznej, obnażyła rzadkie pęknięcie w koalicji Trumpa. W miarę, jak administracja stara się balansować pod tymi naciskami, cierpliwość ruchu MAGA wyraźnie się wyczerpuje, a postacie takie jak Bannon i Greene pozycjonują się jako strażnicy oryginalnej wizji Trumpa przeciwko wpływom „głębokiego państwa" i wciąż walczących o oddziaływanie polityczne amerykańskich neokonserwatystów.

Czy Trump będzie w stanie spełnić swoją obietnicę, pozostaje niepewne, ale głośna krytyka z jego własnego otoczenia podkreśla ogromną stawkę jego drugiej kadencji, szczególnie w kontekście przyszłorocznych wyborów środka kadencji do Izby Reprezentantów oraz części Senatu. James Carden, były doradca do spraw rosyjskich w amerykańskim Departamencie Stanu, celnie podsumował dotychczasowe stanowisko Trumpa: „Trumpowska doktryna America First przypomina raczej zabieg marketingowy – realistyczna retoryka służy tu jedynie zamaskowaniu i wybieleniu tego, co w rzeczywistości jest polityką neokonserwatywną".

W wojnie na Ukrainie to ryzyko jest szczególnie dotkliwe. Umywając ręce od bezpośredniej odpowiedzialności, a jednocześnie kontynuując dozbrajanie Kijowa, Trump gwarantuje przedłużanie się konfliktu. Europa, zmuszana do ponoszenia kosztów, może w końcu się znużyć, co stworzy pęknięcia w NATO. Rosja, dostrzegając esencję postawy Trumpa, może podwoić swój wysiłek militarny, zadając Ukraińcom jeszcze boleśniejsze straty. Rezultat to przedłużony konflikt, w którym nieprzewidywalność Trumpa służy nie jako dźwignia pokoju, lecz jako maska paraliżu.

Umywając ręce od bezpośredniej odpowiedzialności, a jednocześnie kontynuując dozbrajanie Kijowa, Trump gwarantuje przedłużanie się konfliktu. Europa, zmuszana do ponoszenia kosztów, może w końcu się znużyć, co stworzy pęknięcia w NATO

Styl rządzenia Donalda Trumpa bywa błędnie brany za czysty chaos. W rzeczywistości to połączenie widowiska i ciągłości. Trwająca wojna jednak obnaża mocne i słabe strony tego stylu. Z jednej strony pozwala Trumpowi utrzymać poparcie krajowe („wojna Bidena, nie moja") i trzymać przeciwników w niepewności. Z drugiej, grozi podważeniem sojuszy, przedłużaniem konfliktu i stwarzaniem okazji do błędnej kalkulacji. Ostatecznie chaos Trumpa może okazać się nie tyle narzędziem strategii, ile symptomem szerszego bezładu – sposobem na sprawianie wrażenia zdecydowanego i twardego przywódcy, przy jednoczesnym unikaniu najtrudniejszych pytań.

Chaos Nixona, pomimo wszystkich wad, był zakorzeniony w realizmie i prowadzony strategicznym kompasem. Chaos Trumpa, choć może wyglądać spójnie, często donikąd nie prowadzi – poza powrotem do tych samych politycznych schematów, które udaje mu się tylko pozornie obalać. Różnica między widowiskiem a strategią może przesądzić nie tylko o losach Ukrainy, lecz także o wiarygodności amerykańskiego przywództwa w XXI w. oraz statusu Stanów Zjednoczonych jako supermocarstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

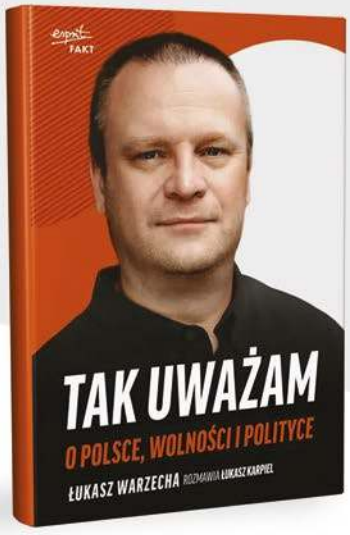

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<s>1003 ZŁ</s>

466,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 537 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8e76e32ead



Z Grzegorzem Braunem, prezesem Konfederacji Korony Polskiej, posłem do Parlamentu Europejskiego

rozmawia Ryszard Gromadzki

Jeśli Polska pójdzie na wojnę, to nie wróci z niej w jednym kawałku

FOT. TOMASZ CZELL/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Będzie wielka wojna z Rosją?

GRZEGORZ BRAUN: Już jest. Przecież tę wojnę wypowiedziały najważniejsze osoby w państwie. Wypowiedzieli ją urzędujący premier i przywódcy wszystkich partii tworzących koalicję podżegaczy wojennych. Większościową, niestety, koalicję w naszym Sejmie. To wypowiedzenie wojny miało miejsce już w 2022 r. Od tego czasu jesteśmy na wojnie propagandowej, choć nie tylko, bo Polska została oddana do użytku jako zaplecze frontu ukraińskiego. Bezpieczeństwo Polski zostało zepchnięte na drugi, a nawet trzeci plan.

Pytałem o ostrą fazę wojny. O to, czy polscy żołnierze pójdą bić się i umierać na ukraińskich stepach, a na nasze głowy spadną rosyjskie rakiety i bomby. Taka jest stawka gry, w której Polska uczestniczy?

Ważne jest, żeby przypomnieć dłuższą historię tej choroby. Choćby umowę jeszcze z 2016 r., na mocy której Ukrainie mają być przekazywane zasoby i środki wojska polskiego. Dodajmy do tego pakiet ustaw „Ukrainiec+" oraz inne akty prawne, które moim zdaniem są dowodem zdradzieckiego i przestępczego dysponowania zasobami, funduszami, kadrami państwa i wojska polskiego na użytek Ukrainy. Uważam, że jest to przestępstwo. Proszę wyobrazić sobie, że jakiś zarząd gminy zaczyna budować drogę w innej gminie, a marszałek jakiegoś województwa zaczyna inwestować w oświatę czy lecznictwo w sąsiednim województwie albo zarząd jakiejś firmy zaczął przekazywać swoje środki i zasoby innej firmie.

W normalnym państwie wszyscy poszliby siedzieć...

Byłoby to przestępstwo jasno zdefiniowane kodeksowo, czyli działanie na szkodę własnej firmy, a w wypadku urzędników przekroczenie uprawnień. Na tych oczywistych przykładach, które przytaczam, widać cały przestępczy charakter procederu, w którym od prawie czterech lat pieniądze Polaków na wszystkich poziomach, ze wszystkich budżetów – centralnego, funduszy regionalnych i lokalnych – są wydatkowane na potrzeby nienależące do zakresów ustawowo przypisanych tych instancjom. W ostatnich tygodniach, od czasu „wojny dronowej", sprawa weszła w nową fazę. Wojna z Rosją i niestety również z Białorusią została podniesiona na wyższy poziom wzmożenia propagandowego.

Czy tylko wzmożenia propagandowego? Czy to preludiom do prawdziwej wojny, która wiązać się będzie ze śmiercią i cierpieniem ludzi i zniszczeniem tego, co w Polsce udało się osiągnąć?

Nie należy mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. Premier Tusk wygłosił kolejną „mowę wojenną" i po raz kolejny stara się wmówić Polakom, że to jest nasza wojna. Po to była też cała ta „wojna dronowa", którą zdefiniowałbym jako propagandową napaść na naród polski.

Napaść z czyjej strony?

Eurokołochozowej „koalicji chętnych", której prymusem stara się być rząd warszawski. Przypomniałem wcześniej o wszystkich zaszłościach w sprawie wojny na Ukrainie, żeby pokazać, że Donald Tusk nie jest jedynym, który gotów

eprasa.pl 8e76e32ead



jest sprowadzać powszechne niebezpieczeństwo na naród polski. Notabene to też kategoria z Kodeksu karnego. On działa przy pełnej aprobacie większości parlamentarnej.

„[...] nawołuję od samego początku, aby być gotowym do potencjalnej wojny. Tylko w ten sposób możemy wygrać pokój". To nie słowa Tuska, lecz fragment niedawnego wywiadu prezydenta Nawrockiego dla Radia Zet...

Niestety, ośrodek prezydencki dołączył w tej sprawie do premiera Tuska w charakterze żyranta. Rozum polityczny nie może się nadziwić, że wysocy urzędnicy Kancelarii Prezydenta, np. szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, wygłaszają zdania o charakterze wypowiedzenia wojny. Gdzie tu jest polski interes? Gdzie tu jest polska racja stanu?

Jest pan zawiedziony działaniami prezydenta w kwestii ukraińskiej?

Muszę powiedzieć, że nie mogę się nadziwić temu, jak galopujące tempo przybrała w ostatnich tygodniach wyprzedaż autorytetu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Tę wyprzedaż prowadzi nie tylko on sam, chociaż niewątpliwie oddaje sobie niedźwiedzie przysługi, tłumacząc np., dlaczego podpisał kolejną ustawę z cyklu „Ukrainiec+".

Prezydent zarzekał się, że zrobił to ostatni raz...

Tłumacząc, że alternatywą byłby chaos w państwie wywołany przez szturm Ukraińców na polskie urzędy. Pan prezydent najwyraźniej sam nie rozumie, że to jest właśnie najmocniejsze oskarżenie, jakie można sformułować wobec autorów tej dotychczasowej polityki wobec Ukrainy. Prezydent Nawrocki sam potwierdza nasze diagnozy stawiane w programie „Stop ukrainizacji Polski", że polityka otwarcia Polski na przestrzał i udostępnienia jako rezerwuaru sił oraz środków, kadr i finansów na potrzeby reżimu Zełenskiego, że to jest niebezpieczne dla państwa, że to je głęboko destabilizuje.

Nie przekonują pana argumenty, że Ukraina walczy z Rosją w imieniu całej Europy za wolność swoją i naszą?

Nie. Te argumenty są w oczywisty sposób bałamutne. To jest polityka szantażu i prowokacji stosowana wobec Polaków. Dominował szantaż moralny w pierwszych kwartałach wojny w 2022 r., teraz akcent przesunął się z rzekomych powinności moralnych na straszenie wojną. Mówię „rzekomych", bo to oczywiście nie odpowiada cywilizowanej, katolickiej hierarchii obowiązków stanu, żeby przedkładać interesy obcych nad potrzeby własnych obywateli. Wizja, że jeżeli Zełenskiemu i jego ludziom nie ułatwi się prolongaty w tej wojny, to wkrótce Moskal napoi konie w Wiśle, ma sparaliżować Polskę strachem.

Ale jak Moskal ma napoić konie w Wiśle, skoro Rosja to „papierowy tygrys", jak powiedział prezydent Trump, i tylko patrzeć, jak Ukraina, wsparta przez Europę, nie tylko odbije Donbas i Krym, lecz także może pójdzie dalej. Jednak codziennie słyszymy nie tylko ze strony premiera Tuska, kanclerza Niemiec czy prezydenta Francji ostrzeżenia, że w każdej chwili Rosja może ruszyć na kraje bałtyckie, Polskę i Skandynawię. Jak wyjaśnić tę sprzeczność?

To nie sprzeczność, ale sieć sprzeczności ze strony podżegaczy wojennych,

eprasa.pl 8e76e32ead

panie redaktorze. Logika nie ma tu nic do rzeczy. Ich celem nie jest przecież argumentowanie zgodne z rzeczywistością. Ich celem jest rozemocjonowanie opinii publicznej. Temu służyły „wojna dronowa" i związany z nią atak propagandowy. To była prowokacja mająca na celu wyegzekwowanie przyzwolenia Polaków na głębsze i bezpośrednie zaangażowanie wojenne.

Głębsze i bezpośrednie zaangażowanie oznacza użycie wojska polskiego w wojnie na Ukrainie?

Koncepcja wysłania polskich żołnierzy na Ukrainę pojawiła się natychmiast po „nocy dronów" pod pretekstem jakichś szkoleń. Jednak rakiem się z tego wycofano, dlatego że opinia publiczna nie kupiła tego w stopniu oczekiwanym przez autorów tej prowokacji. To, że będą kolejne prowokacje, to już nie kwestia ryzyka, to gwarantowane. Donald Tusk wygłasza mowy wojenne i bije w wojenne tam-tamy. Czyni to przy pełnym wsparciu, powiedzieć można zabezpieczeniu propagandowym ze strony opozycji i Kancelarii Prezydenta. Obawiam się prowokacji na polskim terytorium pod fałszywą flagą. Rysy prawdopodobieństwa nadać może jej ożywiona aktywność pani Cichanouskiej czy innych osób działających w Polsce od lat pod patronatem obcych służb.

Premier Węgier Viktor Orbán, podsumowując nieformalny szczyt liderów Unii Europejskiej, który na początku tego miesiąca miał miejsce w Kopenhadze, powiedział, że na stole leżą „jednoznacznie prowojenne propozycje". Według Orbána, jeśli sprawy pójdą w tym kierunku, to w ciągu kilku miesięcy w naszych domach pojawią się trumny z ciałami młodych ludzi.

Cieszę się, że Konfederacja Korony Polskiej i ja osobiście nie jesteśmy osamotnieni w naszym sprzeciwie wobec wpychania Polski w wojnę. Cieszę się, że jest pewna, wątła, ale jednak międzynarodowa koalicja za pokojem. To są Węgrzy Orbána, to są Słowacy Ficy i chwała Bogu także w innych państwach europejskich nie wszyscy chcą iść na wojnę. Ale nasz kłopot polega na tym, że nawet jeśli w Niemczech czy we Francji nie wszyscy są wyrachowanymi cynikami albo niebezpiecznymi wariatami, to przecież ten scenariusz najwyraźniej przewiduje wepchnięcie nas w tę wojnę w pierwszej kolejności.

Amerykanie właśnie wycofali się z Jasionki podrzeszowskiej i z innych miejsc. Przecież na polskich drogach coraz częściej można zobaczyć kolumny Bundeswehry i to Niemcy mają obsługiwać jakieś bardziej wysublimowane systemy obrony przeciwlotniczej

Z jakich powodów wojna na Ukrainie nie jest „naszą wojną" i nie powinniśmy dać się w nią wciągnąć.?

Wyliczę te powody z obu stron. Jakie powody ma Zełenski? Ano takie, żeby trwała nirwana subwencji, które w jakiejś części przeznacza się na przedłużanie wojny, która Ukraińców kosztowała już być może w sile żywej stratę powyżej miliona ludzi, a przecież kolejne miliony uciekły z Ukrainy gdzie pieprz rośnie, w tym, jak wiadomo, znaczna część do Rosji. Część tej subwencji, jak wiemy, przeznaczona jest na ożywiony eksport i produkcję broni, która wykorzystywana jest przez terrorystów na całym świecie. Mówił o tym jeden z afrykańskich przywódców na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Wreszcie część subwencji przeznaczana jest na inwestycje na rynku nieruchomości na Florydzie czy na Lazurowym Wybrzeżu. Więc to, dlaczego Ukraina zainteresowana jest kontynuowaniem wojny, jest oczywiste. A dlaczego tak bardzo tego chce tzw. koalicja chętnych, która wprawdzie Donalda Tuska nie dopuszcza do rozmów w zamkniętym klubie Niemcy-Francja-Anglia, ale Tusk grzecznie czeka pod drzwiami i naprasza się, by być prymusem tej koalicji? No więc wszyscy, Berlin, Paryż, Londyn, a w ślad za nimi Warszawa, traktują tę wojnę jako „lek na całe zło", idealne rozwiązanie wszystkich problemów. Licząc, że dymy wojny przesłonią deficyty budżetowe i generalną niewydolność reżimów tworzących eurokołchoz. Jak wiadomo, nic tak dobrze jak wojna nie resetuje starych długów i liczników. Zarówno w Niemczech, jak i we Francji chwieją się rządy. Dla nich wojna jest idealnym ratunkiem, ale pod jednym warunkiem – że nie poślą na nią swoich żołnierzy. Z ich perspektywy bezczelna finezja jest taka, żeby to Polskę wypuścić „na zająca", a sememu nie ryzykować wizerunkowo widokiem ewentualnych trumien wracających na wojskowe pogrzeby.

Jeśli Niemcy, Francja i Anglia chcą nas cynicznie wciągnąć w wojnę na Ukrainie, to pozostają jeszcze Stany Zjednoczone. Myślę, że wielu Polaków jest święcie przekonanych, że w razie wojny z Rosją w sukurs przyjdzie nam Ameryka rządzona przez Donalda Trumpa.

Amerykanie właśnie wycofali się z Jasionki podrzeszowskiej i z innych miejsc. Przecież na polskich drogach coraz częściej można zobaczyć kolumny Bundeswehry i to Niemcy mają obsługiwać jakieś bardziej wysublimowane systemy obrony przeciwlotniczej.

Konfederacja też sprzeciwia się wpychaniu Polski w wojnę na Ukrainie. Wasze drogi ostatecznie się rozeszły?

Ze smutkiem obserwuję to, że moi byli koledzy z neo-Konfederacji, uczestnicząc w programach telewizyjnych, czuli się w obowiązku powtarzać mantrę o „ruskich dronach", i to w momencie, kiedy zasadne wątpliwości były tak liczne, że domagało się to dalszych wyjaśnień. Tylko Konfederacja Korony Polskiej uczestniczy w marszach za pokojem, które od roku prowadzimy. Organizujemy te marsze ku przestrodze, że jeśli Polska pójdzie teraz na wojnę, to nie wróci z niej w jednym kawałku. Jeśli rządzący w Warszawie doprowadzą do bezpośredniego udziału Polski w działaniach wojennych, to będzie to służyło zutylizowaniu potencjału polskiej obronności. A nie ma próżni w przyrodzie. Przypominam, że Donald Tusk zapraszał już Bundeswehrę do układania worków z piaskiem podczas ubiegłorocznej powodzi na Dolnym Śląsku.

W narracji dominującej w polskiej polityce i głównych mediach, także tych nominalnie prawicowych, działania przeciw wojnie na Ukrainie, a więc takie, w jakie pan i pana formacja się angażuje, traktowane są jako propaganda Kremla.

To znana i w znacznym stopniu, przynajmniej jeśli chodzi o normalnych Pola-

eprasa.pl 8e76e32ead

ków, zgrana płyta. Badania sondażowe, które przyprawiły o zdumienie, a nawet złość rządzących, co było widać i podczas obrad Sejmu, i na Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, w której uczestniczył nasz przedstawiciel, wykazały, że ponad połowa Polaków tego kitu nie chce więcej łykać.

Nasilenie prowojennej propagandy ze strony polskich i europejskich polityków i mediów w ostatnich tygodniach jest tak duże, że mocno przypomina gęstniejącą atmosferę w Europie w 1877 r., co pokazał pan w swoim filmie „Gietrzwałd 1877. Wojna światów", a później latem 1914 czy 1939 r. Można odnieść wrażenie, że wystarczy pretekst w postaci współczesnego zamachu w Sarajewie, żeby wojna znów rozlała się w Europie.

Cieszę się, że te analogie są tak czytelne. Z myślą o tych analogiach realizowaliśmy ten film, który na otwartych pokazach i w Internecie obejrzały już setki tysięcy, a może i ze 2 mln Polaków. To jest lekcja historii, której odrobienie jest bardzo istotne w kontekście współczesnych zagrożeń.

Czy Konfederacja Korony Polskiej nie jest politycznym teatrem jednego aktora? Nie ujmując pana współpracownikom, nie da się przecież na dłuższą metę uprawiać poważnej polityki w pojedynkę.

Nawet tego nie próbuję. W Sejmie RP działa koło Konfederacji Korony Polskiej. Panowie posłowie Skalik, Fritz, Zawiślak.

Gdyby zostawić na chwilę wszystkie konteksty międzynarodowe, to najważniejszym wydarzeniem na naszej scenie wewnętrznej będzie kongres PSL w listopadzie. Wiele się na nim wyjaśni. Czy nastąpi jakieś odwrócenie sojuszy czy scenariusz przyspieszonych wyborów zostanie skierowany do realizacji?

Czy sprawa uczestnictwa Polski w wojnie na Ukrainie może zdominować kampanię przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r., o ile rząd Tuska nie upadnie wcześniej? Niewykluczone, że pana ugrupowanie będzie języczkiem u wagi. Być może bez Konfederacji Korony Polskiej nie da się skleić żadnej prawicowej czy suwerennościowej koalicji.

Daj Boże. Dlatego, że to jest tak realne, szykowane, a nawet w realizacji są różne strategie, tak to ujmę, ostatecznego rozwiązania kwestii Korony i mojego osobistego uczestnictwa w polskim życiu politycznym. Niewątpliwie będą kolejne prowokacje. 14 października rusza długi serial rozpraw sądowych przeciwko mnie. W Parlamencie Europejskim na ścieżce procedury są trzy kolejne wnioski uchylenia mi immunitetu. Wezwania do rozprawy ze mną i moją partią są wręcz codziennością w naszym życiu publicznym.

Jeżeli zostanie pan skazany, a nawet trafi za kraty, czego oczywiście panu nie życzę, to będzie to raczej działało na korzyść pana i Korony.

Ja, panie redaktorze, w moich działaniach i rachubach politycznych nie kieruję się takim wyrachowaniem strat i zysków długoterminowych i wizerunkowych. Natomiast chciałbym zwrócić uwagę na to, że przecież kiedy rodacy wysłali mnie do Brukseli, na front eurokołchozowy, to niektórzy sądzili, że znikam z polskiego życia publicznego i znika Korona, którą błędnie interpretowano jako jakiś mój osobisty fanklub.

Proszę zobaczyć, jak ważne było ukonstytuowanie tego koła. Ile to było insynuacji wokół tego faktu po akcesie posła Sławomira Zawiślaka?! A przecież bez tego koła jego przewodniczący Włodzimierz Skalik nie mógłby na Konwencie Seniorów sprzeciwić się aklamacji propagandowej uchwały eskalującej napięcie wojenne. Bez koła parlamentarnego Korona nie mogłaby składać wniosków, które jako jedyna formacja złożyła, domagając się odrzucenia w pierwszym czytaniu projektu ustawy z cyklu „Ukrainiec+". Tak jak działa koło, tak działa partia. Czy w najbliższej kampanii parlamentarnej będę mógł wziąć udział bezpośrednio czy też będę kibicował moim koleżankom i kolegom, oglądając ją w świetlicy w jakimś zakładzie zamkniętym, to naprawdę nie będzie miało decydującego znaczenia. Chyba że tylko takie, jak zaznaczył pan redaktor, że będzie to pewien barwny element, który niejako pozwoli nam kompensować nieobecność w mediach głównego ścieku. Jesteśmy w nich od lat zamilczani, co jest niegodziwością. A już czystym łajdactwem jest to, że cała scena polityczna przyjmuje ten fakt jako normę. Podkreślę, bo to naprawdę ważne, że jesteśmy jedyną formacją polityczną w Sejmie, która idzie do kolejnych wyborów parlamentarnych bez subwencji.

Zapytałem pana na początku naszej rozmowy o to, czy będzie wojna z Rosją. Czy kluczowe dla odpowiedzi na to pytanie będą najbliższe miesiące?

Moim zdaniem kluczowe będą nie najbliższe miesiące, lecz najbliższe tygodnie. Gdyby zostawić na chwilę wszystkie konteksty międzynarodowe, to najważniejszym wydarzeniem na naszej scenie wewnętrznej będzie kongres PSL w listopadzie. Wiele się na nim wyjaśni. Czy nastąpi jakieś odwrócenie sojuszy czy scenariusz przyspieszonych wyborów zostanie skierowany do realizacji? Wydaje mi się, że dopiero wyniki kongresu PSL to rozstrzygną. Mówiąc wprost, czy Kosiniak-Kamysz z plecakiem ucieczkowym zostaje na zimę czy go odsuwają? A może zostaje i tworzy się nowa większość parlamentarna. Rząd techniczny, który gdyby postępowała eskalacja wojenna, byłby nam sprzedawany w opakowaniu propagandowym „rząd jedności narodowej".

Poparłby pan taki rząd, gdyby wojna była za progiem?

Ja tworzę front jedności narodowej. Z tym wyjściowym założeniem, że nie wszyscy tutaj chcą być Polakami i nie wszyscy chcą być polskimi politykami. Zwracam się do tych, którzy chcą, żeby była Polska, a nie republika sowiecka czy eurosowiecka, stan czy bantustan anglosaski, nie land eurokołchozowy, nie Ukropol i nie Ukropolin. Szeroki front gaśnicowy to front tych wszystkich Polaków, którzy są za odzyskaniem niepodległości i za pokojem, a przeciwko wojnie, bo powtórzę: jeśli Polska pójdzie teraz na wojnę, to nie wróci z niej w jednym kawałku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



Polska wspiera terroryzm?



Łukasz Warzecha

Czy Polska wzięła udział w akcie międzynarodowego terroryzmu? Przede wszystkim takie pytanie powinniśmy dzisiaj stawiać w kontekście aresztowania Wołodymyra Z., ukraińskiego nurka oskarżanego przez niemiecką prokuraturę o udział w wysadzeniu trzech nitek gazociągu Nord Stream we wrześniu 2022 r. Zamiast tego mamy kolejny rozdział farsy pt. „Kto bardziej nienawidzi Władimira Putina"

Historia się nie powtarza, ale czasami warto poszukać analogii. Na początku lat 2000. lider Samoobrony Andrzej Lepper zaczął mówić publicznie o tym, że w Klewkach w województwie warmińsko-mazurskim pojawiali się „talibowie" (wbrew powszechnemu mitowi, nie mówił o tym jednak nigdy z sejmowej trybuny). Afgańczycy mieli tam przylatywać, by kupować wąglika, czyli formę broni biologicznej. Z Leppera niemal wszyscy wtedy żartowali, bo wieści brzmiały niedorzecznie.

Niedługo później okazało się jednak, że powtarzając wiadomości od swojego informatora, znanego biznesmena z tamtej okolicy, Andrzej Lepper mylił się tylko częściowo. W 2005 r. od artykułu w amerykańskim dzienniku „The Washington Post" zaczęła się afera z tajnymi więzieniami CIA w Europie. Z czasem okazało się, że takie więzienie działało również na terytorium Polski, w Starych Kiejkutach, gdzie mieściła się szkoła wywiadu, mająca początki jeszcze w PRL. Przez wiele lat polscy politycy zaprzeczali, że działo się tam cokolwiek powiązanego ze służbami USA. Dopiero na początku drugiej dekady XXI w. o sprawie powiedział były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Do dzisiaj jednak nie jest jasne, jak dużo wiedziało ówczesne szefostwo państwa z premierem Leszkiem Millerem na czele i czy miało świadomość łamania przez Amerykanów prawa.

Nie ma już natomiast wątpliwości, że CIA faktycznie korzystało z bazy w Starych Kiejkutach, aby przetrzymywać tam i najpewniej torturować osoby powiązane z zamachami z 11 września 2001 r. Wynikało to z konieczności literalnego przestrzegania prawa przez amerykański wywiad, który nie mógł legalnie przetrzymywać lub poddawać tzw. niestandardowym metodom śledczym obcokrajowców na terytorium USA.

Sprawa do dzisiaj budzi emocje i spory. Po jednej stronie są ci, którzy uważają, że była to konieczna przysługa, którą musieliśmy oddać amerykańskim sojusznikom – i to przysługa w dobrej sprawie, ponieważ zatrzymani przez CIA byli fanatycznymi terrorystami, mającymi na sumieniu tysiące ludzkich istnień. Po drugiej są ci, którzy wskazują, że doszło do

eprasa.pl 8e76e32ead



Polska policja eskortuje Wołodymyra Z., ukraińskiego nurka oskarżanego przez niemiecką prokuraturę o udział w wysadzeniu trzech nitek gazociągu Nord Stream FOT. KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM

złamania polskiego oraz międzynarodowego prawa, a Polska okazała się w pełni dyspozycyjnym wasalem Waszyngtonu. Może się okazać, że w sprawie wysadzenia Nord Stream sytuacja jest podobna. Tyle że tym razem wyglądałoby to o tyle gorzej, iż mielibyśmy być wasalem już nie najpotężniejszego kraju świata, a jedynie Ukrainy. Co zresztą nie powinno nikogo zaskakiwać, jeśli przypomnieć sobie, jakie było nastawienie rządu PiS.

„THANK YOU USA"

Trzy nitki gazociągu zostały wysadzone 26 września 2022 r., kilka miesięcy po rozpoczęciu obecnej fazy wojny rosyjsko-ukraińskiej. W Polsce natychmiast zaczęto naciskać na akceptację jedynie słusznej wersji: że gazociąg wysadzili sami Rosjanie. Wersja ta z oczywistych powodów nie trzymała się kupy na poziomie elementarnej logiki, o czym pisałem w „Do Rzeczy" niedługo po sabotażu. Jaki interes miałaby Rosja w poważnym i być może nieodwracalnym (gazociąg do dziś nie został naprawiony) uszkadzaniu własnej infrastruktury – choć formalnie będącej własnością prywatnych firm – skoro mogła ją potencjalnie wykorzystywać do wznowienia handlu surowcem z Zachodem i stosowania gazowego szantażu, co robiła przed wybuchem wojny? A pamiętać trzeba, że mówimy o wczesnej fazie konfliktu, gdy Niemcy nie zajmowały stanowiska bardzo zdecydowanego i Berlin wciąż miał nadzieję, że wojna zakończy się szybko, co umożliwi powrót do relacji handlowych z Rosją.

Standardowe pytanie o motyw – cui prodest, czyli „kto korzysta" – wskazywało na dwóch możliwych sprawców: Stany Zjednoczone albo Ukrainę. Albo jednych i drugich jednocześnie. Swoje do dyskusji dorzucił ówczesny europoseł Radosław Sikorski słynnym wpisem na Twitterze (dzisiaj X): „Thank you USA", wskazującym na sprawstwo amerykańskie.

Jedno wydawało się jasne: wysadzenie Nord Stream należało traktować jako klasyczny przykład międzynarodowego terroryzmu. Według przyjętej w nauce o stosunkach międzynarodowych definicji międzynarodowy terroryzm to działania podmiotów niepaństwowych, podejmowane w celu osiągnięcia korzyści politycznych, wymierzone w obywateli, terytorium lub mienie państwa innego niż kraj pochodzenia sprawców. Jest pytanie, czy służby specjalne należy uznać za „podmiot niepaństwowy". W tym wypadku można jednak rozumieć tę przesłankę w taki sposób, że służby te działały nieoficjalnie, pod przykrywką, a państwo je wysyłające do wykonania zadania nie przyznaje się do tego.

W lutym 2023 r. amerykański dziennikarz śledczy Seymour Hersh opublikował na swoim koncie Substack (niezależna platforma, która umożliwia autorom monetyzację publikacji) artykuł, w którym stwierdzał, że wysadzenia gazociągu dokonał amerykański wywiad, korzystając z wyspecjalizowanych nurków wyszkolonych w ośrodku amerykańskiej marynarki. Amerykanie mieli skorzystać z wydatnej pomocy Norwegów. Według Hersha operacja odbywała się z pełną wiedzą Białego Domu. W tej historii Polska nie odgrywa żadnej roli.

Historia zaprezentowana przez Hersha brzmi i dziś wiarygodnie. Autor nie tylko odwołuje się do wielu – choć oczywiście anonimowych – źródeł, lecz także precyzuje nawet, za pomocą jakiego materiału wysadzono infrastrukturę. Jednak jakiś czas później międzynarodowa prasa zaczęła prezentować wersję alternatywną, zgodną z kierunkiem śledztwa, które prowadziła niemiecka prokuratura, na której celowniku od początku były nie amerykańskie, ale ukraińskie służby.

POLSKI ŚLAD

W marcu 2023 r., zatem krótko po publikacji Hersha, „New York Times" opublikował artykuł trzech autorów, w tym Adama Entousa, który w dzienniku wielokrotnie publikował obszerne materiały śledcze, pokazujące kulisy wojny na Ukrainie (jakiś czas później ujawnił m.in., jak bliska była amerykańsko-ukraińska współpraca w identyfikowaniu rosyjskich celów dla ukraińskiego wojska). „NYT" poinformował, że amerykański wywiad jako sprawców wysadzenia Nord Stream zidentyfikował Ukraińców. Wiele osób odebrało tekst jako oparty na celowo dokonanym przez amerykańskie służby przecieku, który miał skontrować artykuł Hersha i odsunąć winę od Amerykanów. Trzeba pamiętać, że był to czas administracji Joe Bidena, a „NYT" to przecież tytuł zdecydowanie sprzyjający demokratom. Amerykanie dbali też bardzo, aby w prowadzeniu działań przeciwko Rosji nie przekraczać czerwonych linii. Jak wynika z dostępnych dzisiaj informacji, ryzykowne zagrania Ukraińców były wiele razy powodem napięć między Kijowem a Waszyngtonem. To zarazem mogło potwierdzać wersję „NYT" – Amerykanie nie zdecydowaliby się na tak ryzykowne zagranie przeciwko Moskwie – jak i jej zaprzeczać – Amerykanie byli winni, ale za pomocą tekstów prasowych i kontrolowanych przecieków chcieli się za wszelką cenę wybielić.

W sierpniu 2024 r. obszerny artykuł na temat wysadzenia gazociągu, zatytułowany „A Drunken Evening, a Rented Yacht: The Real Story of the Nord Stream Pipeline Sabotage" („Pijacki wieczór, wynajęty jacht: prawdziwa historia wysadzenia Nord Stream"), ukazał się w „The Wall Street Journal", szanowanym amerykańskim, a także międzynarodowym tytule. Podbijał on wersję „NYT", rozbudowywał ją i uzupełniał o wiele detali. Autor, Bojan Pancevski, szczegółowo opisywał ukraińskie działania. Problem w tym, że w tej historii Polska zajmuje już bardzo istotne miejsce.

Według „WSJ" inicjatorem akcji był lubiany w ukraińskim wojsku rywal

eprasa.pl 8e76e32ead

prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, Walerij Załużny. O planowanym ataku na Nord Stream miał dowiedzieć się holenderski wywiad, który powiadomił Waszyngton. Ten z kolei miał naciskać na Kijów, żeby zamachu nie dokonywać. Prezydent Zełenski wydał takie polecenie, ale Załużny miał je zignorować.

Polska pojawia się już w momencie wynajęcia przez uczestników akcji jachtu „Andromeda" w niemieckim Rostoku. Wynajem miał bowiem zostać dokonany na rzecz działającej w naszym kraju agencji turystycznej, będącej faktycznie przykrywką dla działań ukraińskiego wywiadu, założonej dekadę wcześniej. Jeśli to prawda, to należałoby postawić pytanie, czy polski kontrwywiad miał świadomość jej istnienia, a jeśli tak, to dlaczego pozwalał na jej działalność – wziąwszy pod uwagę, że Ukraina nie jest nawet członkiem NATO, a jej poczynania niekoniecznie są zbieżne z naszymi interesami.

Biorąc pod uwagę obecny stan relacji polsko-ukraińskich, trudno uznać, że mamy wobec Kijowa jakieś zobowiązania, zwłaszcza narażające nas na poważne międzynarodowe konsekwencje

Na tym jednak ewentualna współpraca Polski się nie kończy. W artykule czytamy:

[Niemieccy śledczy] w pewnym momencie mieli problem z nawiązaniem współpracy z polskimi władzami, mimo że sabotażyści traktowali Polskę częściowo jako bazę logistyczną i zacumowali w porcie w Kołobrzegu.

Urzędnik portowy, u którego załoga jachtu wzbudziła podejrzenia, zawiadomił policję. Polska Straż Graniczna sprawdziła dokumenty załogi, która okazała paszporty mieszkańców Unii Europejskiej. Pozwolono im kontynuować rejs na północ, gdzie ułożyli resztę ładunków – jak informują osoby zaznajomione z materiałami śledztwa.

Jak się również dowiedziały [osoby uczestniczące w śledztwie], cały port był objęty nadzorem wideo. Jednak mimo bliskiej współpracy Warszawy i Berlina w sprawach policyjnych polskie władze początkowo odmówiły przekazania nagrań z portu. W tym roku [2024] niemieckim kolegom powiedziano, że dokumentacja została rutynowo skasowana wkrótce po tym, jak „Andromeda" wypłynęła.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego poinformowała WSJ, że takie nagrania nie istnieją.

CASUS BELLI?

Jeśli wersja amerykańskiego dziennika jest prawdziwa, to wygląda to nie na bierne, ale na absolutnie czynne współuczestnictwo w akcie międzynarodowego terroryzmu. Tłumaczy także, dlaczego Wołodymyr Z. do niedawna bez problemu, przez nikogo nieniepokojony, wyjeżdżał z Polski i wracał do niej. Wiele wskazuje, że polskie służby dostały polityczne polecenie, aby Ukraińca nie ruszać.

Uderzające jest, że informacje WSJ nie wywołały w Polsce żadnego praktycznie poruszenia ani refleksji. Przewinęły się jedynie marginalnie przez media. Teraz sprawa wraca w postaci politycznego sporu o działania podjęte na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania Wołodymyra Z. Tego Polska nie była już w stanie zignorować. Ukrainiec został aresztowany jedynie na 40 dni zamiast trzech miesięcy, których domagał się prokurator. Nie wiadomo, czy zostanie wydany Niemcom.

Afera ma na razie tylko jeden wymiar: zmieniła się w typowy, prymitywny spór o to, kto jest bardziej antyrosyjski. Jak nietrudno było przewidzieć, politycy PiS uruchomili swoją stałą opowieść o Donaldzie Tusku jako niemieckim agencie. Były wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński, w czasach rządów PiS pilnie tropiący wszelkie przejawy „onucyzmu", teraz grzmi, że „instytucje państwa Tuska" chcą wydać Niemcom Ukraińca „za to, że walczył z Rosją" – tym samym zresztą potwierdzając, że mówimy o sprawcy ataku na Nord Stream, choć on sam się do tego nie przyznaje. Twierdzi też, że Z. byłby w Niemczech narażony na represje polityczne, choć w żaden sposób tego podejrzenia nie uzasadnia.

O ile jednak Jabłońskiego można uznać za politycznego harcownika bez większego znaczenia, o tyle większym problemem jest opinia ministra Sławomira Cenckiewicza, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego przy Kancelarii Prezydenta. Zapytany o tę kwestię w Polsat News minister oznajmił: „Prywatnie powiem, że nie [powinniśmy wydawać Wołodymyra Z.]. Oficjalnie powiem w ten sposób: Polska nie powinna do żadnej operacji wydania człowieka, który zaszkodził Rosji, swojej ręki przykładać". Minister, nawiasem mówiąc, również potwierdza mimochodem, że podejrzenia Niemców są słuszne i że Wołodymyr Z. rzeczywiście mógł być na jachcie „Andromeda". Bardziej porażające jednak jest to, że szef ważnej instytucji, wspierającej głowę państwa w kluczowej dziedzinie, za główne, a nawet jedyne kryterium działania polskiego państwa w tej sprawie uznaje zaszkodzenie Rosji.

Czy wysadzenie NS Moskwie zaszkodziło? Bez wątpienia. Z tym że znaczenie tego aktu maleje z dzisiejszego punktu widzenia, gdy Rosja umościła się we wzmocnionym i zyskującym spójność systemie Globalnego Południa, a prawdopodobieństwo powrotu do dawnych z nią relacji jest względnie niskie. To jednak tylko jeden wymiar tej sprawy. Drugim jest hipotetyczne współuczestnictwo Polski w akcie, który w pewnych okolicznościach może być uznany nawet za casus belli oraz postrzeganie naszego państwa jako chroniącego lub nawet wspierającego terroryzm, uderzający przecież również w interes naszego sojusznika – nawet jeśli ten interes jest sprzeczny z naszym. Biorąc też pod uwagę obecny stan relacji polsko-ukraińskich, trudno uznać, że mamy wobec Kijowa jakieś zobowiązania, zwłaszcza narażające nas na poważne międzynarodowe konsekwencje.

Trzeba tu jednak odnotować, że nie wszyscy w opozycji stracili trzeźwy osąd. Pytany w Radiu Zet o wydanie Ukraińca Niemcom Przemysław Czarnek powiedział: „Myślę, że tak [powinniśmy dokonać ekstradycji]. W tego typu sytuacjach, kiedy mamy do czynienia z przestępstwem, do którego niewątpliwie doszło, i wnioskiem strony niemieckiej, uważam, że należy stosować procedury".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead

Kochać i chronić

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

4 listopada 2025 r., Kielce

Wojewódzki Dom Kultury im. Józefa Piłsudskiego



Na Gali nagrodzimy najlepsze inicjatywy, ludzi, organizacje i firmy z województwa świętokrzyskiego działające na rzecz ochrony dzieci i młodzieży, dzięki którym ich dzieciństwo jest harmonijne a świat bezpieczny. Widzimy w naszych dzieciach przyszłość dla wszystkich dzieł naszego życia.

W każdym narodzie istnieje cel nadrzędny, czyli szczęśliwe i bezpieczne dzieci wychowywane przez kochające rodziny, wśród prawdziwych przyjaciół, pedagogów, w przyjaznych placówkach oświatowych i otoczeniu. Wychowanie to musi być osadzone mocno w wartościach bliskich także redakcji tygodnika „Do Rzeczy".

PARTNER GŁÓWNY

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

PATRONAT HONOROWY

PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO RENATY JANIK

PARTNER

WDK

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY W KIELCACH

eprasa.pl 8e76e32ead

Na froncie wartości



Radosław Wojtas

Pete Hegseth zapowiedział kontrrewolucję w amerykańskiej armii i wyplenienie z niej politycznej poprawności oraz lewackiej ideologii, która jego zdaniem osłabia siły zbrojne Stanów Zjednoczonych. Czy Wojsko Polskie potrzebuje podobnego wstrząsu?

FOT. ADOBE STOCK

Koniec z miesiącami tożsamości, biurami DEI (do spraw „różnorodności", „równości" i „inkluzywności") i facetami w sukienkach. Koniec z kultem zmian klimatycznych. Koniec z podziałami, rozproszeniem uwagi i urojeniami dotyczącymi płci. Jak już mówiłem i powtórzę jeszcze raz, skończyliśmy z tym gównem – mówił Pete Hegseth, szef Departamentu Wojny USA, podczas spotkania z generałami i admirałami amerykańskiej armii. Hegseth przedstawił 10 dyrektyw, które mają wzmocnić armię Stanów Zjednoczonych. Zapowiedział m.in. brak taryfy ulgowej dla kobiet, zero tolerancji dla otyłości i kiepskiej sprawności fizycznej wśród żołnierzy, wykuwanie zdolności bojowej podczas ćwiczeń na poligonach oraz skończenie z polityczną poprawnością i wprowadzaniem lewackiej ideologii w wojsku. – Staliśmy się ministerstwem „woke", ale już nigdy więcej – mówił.

– Armia nie jest tym obszarem, który powinien nasiąkać różnego rodzaju nowomodnymi ideologicznymi trendami, które towarzyszą życiu publicznemu – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" gen. Leon Komornicki. – Oczywiście wojsko wyrasta ze społeczeństwa, ale powinno wyrastać z najzdrowszej części tego fundamentu, narodowej tożsamości, patriotyzmu, wartości uniwersalnych. Opartych na tym, co zawsze stanowiło naszą narodową siłę. Armia ma czerpać z tego najcenniejsze wartości, jak drzewo korzeniami z ziemi czerpie najcenniejsze soki. Nie może być tak, że armia nasiąka trendami, które stoją w sprzeczności z takimi wartościami, jak tożsamość narodowa, wiara, kultura, tradycje, etos służby wojskowej. Armia jest instytucją konserwatywną i w tym jest jej siła. To się wyraża w krótkim haśle: „Bóg, Honor, Ojczyzna". Umieszczane jest na wojskowych sztandarach. Ale czy w rzeczywistości nadal obowiązuje? Podobnie jak Hegseth, mam poważne wątpliwości – dodaje.

POLSKA ARMIA (JESZCZE) SIĘ BRONI

Michał (imię zmienione) jest oficerem starszym Wojska Polskiego z wieloletnim stażem. Wojsko Polskie obserwuje od środka od kilkunastu lat, miał okazję przyjrzeć się także armiom sojuszu północnoatlantyckiego, bo przez kilka lat służył w NATO-wskich instytucjach. Mówi, że polska armia przed ideologizowaniem jeszcze skutecznie się broni. – U nas naprawdę nie ma tego problemu. Nie ma żadnych instrukcji, poleceń, nie rozmawia się o tym, bo armia nie jest od tego. Z takimi przypadkami spotykałem się jednak za granicą. Żołnierze nie podchodzą do tego poważnie, traktują jako coś, co trzeba odbębnić – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". – Kiedy kończyłem NATO-wski kurs, musiałem przejść także internetowy kurs genderowy, przedstawiający kobiece spojrzenie na operacje wojskowe. Był to czas misji w Afganistanie i z kursu można się było dowiedzieć, że kiedy porucznik mężczyzna dostał zadanie zniszczenia kryjówki talibów, to wykonał rozkaz. A kiedy kobieta porucznik otrzymała takie zadnie, to zaczęła się wahać: „Możemy przy tym zniszczyć wioskę, zabić kogoś niewinnego. Po co to robić, skoro za parę dni talibowie z tej wioski odejdą?". To było zaprzeczenie rozkazowi, ale z tego nas w NATO szkolono – opowiada Michał.

Wspomina także jedno ze szkoleń z doradczynią do spraw gender w kwaterze głównej NATO. – Była to kobieta, która całe życie pracowała w teatrze, przekwalifikowała się i została doradczynią w wojsku. Zaczęła mówić o tym, żeby wspierać kobiety, namawiać je do obejmowania funkcji dowódczych. Pytamy: „Ale co zrobić, skoro

eprasa.pl 8e76e32ead

kobiety nie chcą być dowódcami, wolą np. pracę biurową w kadrach?". Bo w Polsce tak to wygląda, kobiety wolą pracę w kadrach, logistyce, gdzie kończą pracę o godz. 15.30 i mogą wrócić do domu, zająć się dziećmi. Niewiele z nich chce zostać dowódcą kompanii i użerać się z setką chłopów. Doradczyni gender nie miała na to dobrej odpowiedzi – mówi Michał.

Pete Hegseth zapowiedział zrównanie wymagań dla kobiet i mężczyzn. – I bardzo dobrze – ocenia gen. Leon Komornicki. – To także powinno zostać wprowadzone w polskiej armii. Nie może być żadnej taryfy ulgowej. Kobiety mogą trafiać na inne stanowiska, takie, które obejmują żołnierze słabsi fizycznie, ale jeśli kobieta wyraża zgodę i podejmuje stanowisko mechanika kierowcy czołgu, to nie może być tak, że działonowy będzie ją wyręczał w ciężkich fizycznie obowiązkach – dodaje. To niepopularne podejście, które idzie pod prąd modzie, bo trendy są raczej odwrotne.

GEJE, WYSTĄP!

Kiedy w marcu ubiegłego roku Ministerstwo Obrony Narodowej wydało rozporządzenie, w którym ponownie wymieniono transseksualizm i obojnactwo jako choroby i ułomności uniemożliwiające służbę wojskową, zareagował ówczesny zastępca rzecznika praw obywatelskich Marcina Wiącka – Valeri Vachev. W piśmie do wiceministra Cezarego Tomczyka dopytywał o powody tej decyzji. Argumentował, że w najnowszej wersji Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych – ICD-11 – transpłciowość, w tym transseksualizm, zostały usunięte z listy zaburzeń psychicznych. Vachev zwracał także uwagę, że terminy „transseksualizm" i „obojnactwo", użyte w rozporządzeniu MON, są przestarzałe i dziś używa się raczej określeń „transpłciowość" i „interpłciowość".

W odpowiedzi Cezary Tomczyk napisał: „Międzynarodowa Klasyfikacja Chorób ICD-11 została opublikowana przez WHO 18 stycznia 2018 r., a obowiązuje od 1 stycznia 2022 r. Polska ma pięcioletni okres przejściowy na wdrożenie ICD-11 także w zakresie stosowania w orzecznictwie wojskowo-lekarskim. W tym okresie będą obowiązywać dotychczasowe wytyczne [...]. Po rozpoznaniu wszystkich aspektów związanych z warunkami pełnienia służby wojskowej podjąłem decyzję o rozpoczęciu prac nad regulacjami dotyczącymi zmiany kategorii zdolności do czynnej służby wojskowej w grupie osób stawiających się do kwalifikacji wojskowej oraz osób ubiegających się o powołanie do czynnej służby wojskowej innej niż zawodowa, a także żołnierzy rezerwy. Wiąże się to także z wprowadzeniem w miejsce transseksualizmu nowego pojęcia zgodnego z ICD-11 [...]".

Tomczyk poinformował również, że resort przyjrzał się danym statystycznym z lat 2019–2023 w zakresie orzeczeń wojskowo-lekarskich wydanych przez rejonowe wojskowe komisje lekarskie. „W badanym, pięcioletnim okresie, wydano łącznie 29 orzeczeń osobom z rozpoznaniem transpłciowości lub będących w trakcie zmiany płci. Powyższe wskazuje na potencjalną liczbę osób transpłciowych i interseksualnych, które mogą być zainteresowane służbą wojskową" – napisał wiceszef MON.

W październiku ubiegłego roku Kampania przeciw Homofobii wspólnie z OKO.press wyruszyły na poszukiwanie „osób LGBT+ w Wojsku Polskim". Efektem jest kilka wywiadów. W jednym z nich anonimowy były żołnierz mówi: „Wojsko sobie jeszcze nie poradziło do końca z kobietami, nie ma procedur np. związanych z tym, w jaki sposób można dotykać kobiet. Koleżanka mi mówiła, że dopiero na trzecim roku prowadzący ją dotknął na zajęciach ze strzelania, ustawił jej poprawną pozycję. Myślę, że osoby LGBT+ to widzą i jeszcze bardziej się blokują, obawiają się takiego nieporadnego traktowania". I dodaje: „Dużą zmianą byłoby już samo to, żeby debata na temat osób LGBT+ w wojsku i innych służbach mundurowych w ogóle się zaczęła".

– Homoseksualiści są w polskim społeczeństwie, są oczywiście i w armii. Nikt nie robi z tego sekretu, ale też nie kręci afery. Nie zauważyłem, by spotykało się to z ostracyzmem. Myślę, że homoseksualiści w armii wcale nie pragną rozgłosu, bo ich orientacja jest sprawą drugorzędną – mówi oficer starszy Michał. Generał Leon Komornicki: – W armii jest miejsce także dla osób homoseksualnych, co nie oznacza, że orientacja ma być w jakikolwiek sposób demonstrowana, że z jej powodu ktoś ma się cieszyć specjalnymi przywilejami. Każdy żołnierz – dotyczy to i kobiet, i mężczyzn – ma być traktowany tak samo. Kto wstępuje do armii, musi przyjąć te warunki. Armia jest monolitem i nie może być tego typu zjawisk, które będą ją osłabiać od środka. Te nowomodne tendencje są podsycane także przez rosyjską wojnę informacyjną.

GDZIE GOTUJE SIĘ KLUCHY

Generał Roman Polko, komentując dla „Faktu" przemówienie Hegsetha, powiedział: „Wojsko to nie jest zakład pracy chronionej. Z niektórych wojskowych zrobiły się ciepłe kluchy. Kiedy walczy się z barbarzyńcami, armia jest specyficznym zakładem pracy". – Dzisiejsze wojsko nie jest tym wojskiem, które było 20 lat temu. Ale wojsko się zmieniło, bo świat się zmienił – mówi oficer starszy Michał. – Czy wpływ na to ma ideologia? Poniekąd tak, bo inaczej dziś wychowuje się dzieci, zmieniła się szkoła. Nie ma kar, z dzieci zdejmuje się większość obowiązków. Ale problem widzę raczej w demografii. Do armii przyjmuje się 40-, 50-latków, osoby, które 10 lat temu nie przeszłyby egzaminów. W szkołach wojskowych się robi egzamin, poprawkę, warunek, komis, drugi komis, byle tego gościa przepchnąć. To dlatego, że polska armia ze 100-tysięcznej ma się stać 300-tysięczną, ale brakuje ludzi – dodaje.

– Nasza armia, tak jak armia amerykańska i armie europejskie, zaczęła dryfować w bardzo niebezpiecznym kierunku i pora ten dryf zatrzymać. Armia powinna wrócić do narodowego portu, z którego wypłynęła w nieznane – ostrzega gen. Leon Komornicki. – Problem widzę w tym, że dla wielu żołnierzy służba stała się pracą. Koszary pustoszeją o godz. 16. Wszyscy przebierają się w cywilne ciuchy, w przestrzeni publicznej nie rozpozna pan żołnierza. Polscy oficerowie poddali się jakiejś amerykańskiej modzie i do Sejmu, prezydenta czy mediów chodzą w polowych mundurach, co jest zupełnym zaprzeczeniem etosu munduru. W naszej armii również potrzebny jest wstrząs. Regeneracja może dokonać się tylko w polu, na poligonach, na placach ćwiczeń. Tam jest miejsce i szeregowych żołnierzy, i generałów – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE WYKASTROWANA CYWILIZACJA NA STR. 50

eprasa.pl 8e76e32ead

Michnik – próba reanimacji



Rafał A. Ziemkiewicz

Długi wywiad z dożywotnim redaktorem naczelnym „Gazety Wyborczej” pokazuje dojmujący upadek intelektualny całej lewicowo-liberalnej formacji i jej niezdolność do uporania się z wyzwaniami świata zmieniającego się inaczej, niż ona to projektowała

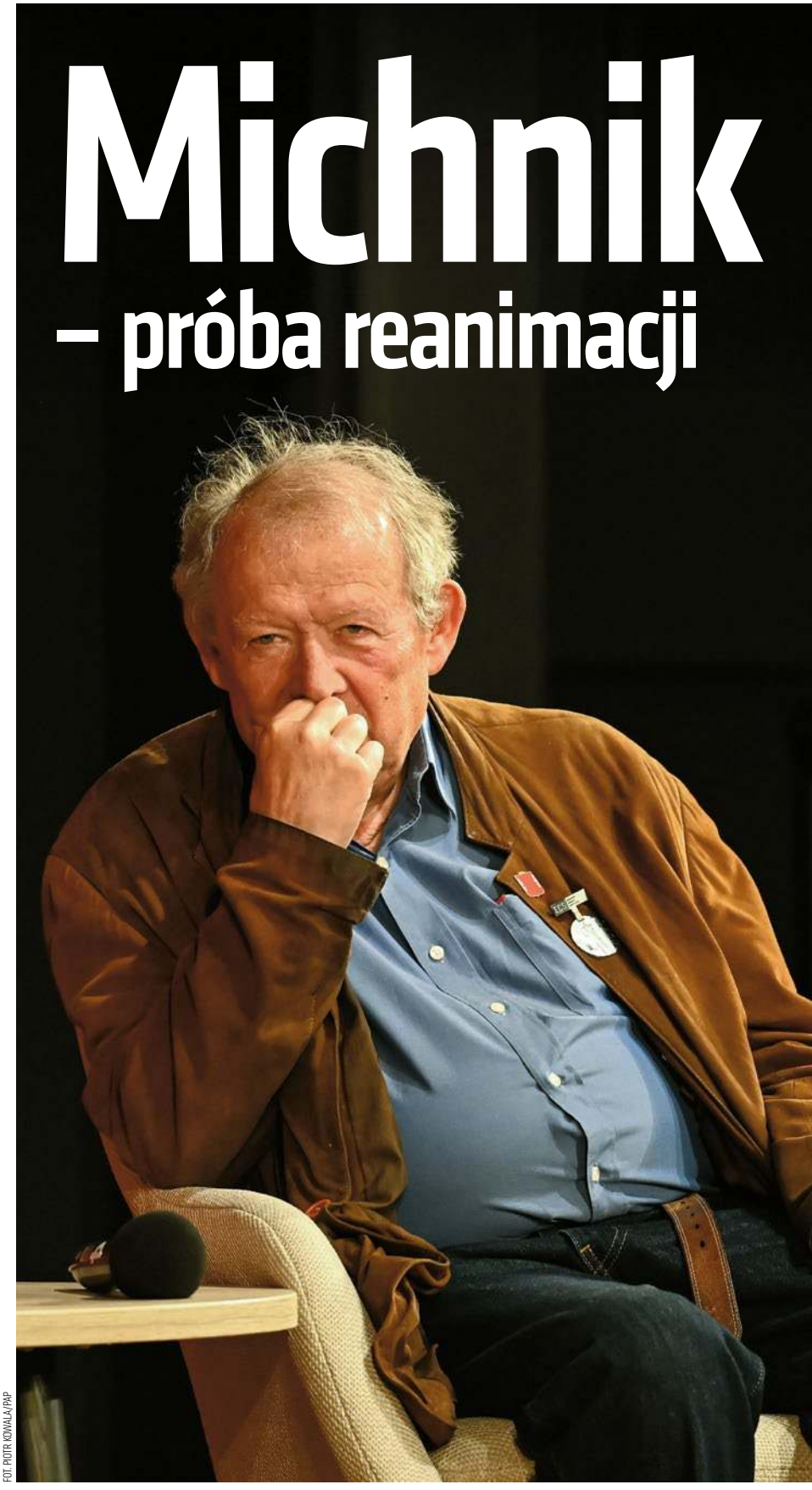

FOT. PIOTR KOWALA/PAP

Władza daje „swoim” zarobić. Publiczne pieniądze wyciekają z ministerstw, z parlamentu, ze spółek Skarbu Państwa, z samorządów, w postaci honorariów za merytorycznie bezwartościowe „ekspertyzy”, analizy prawne, opracowania czy „projekty”. Oczywiście ekipa Donalda Tuska nie wymyśliła tu niczego nowego, ale w porównaniu z poprzednikami wykazuje się wyjątkową bezczelnością – być może przyczyną tego rozzuchwalenia jest pewność, że kontrolowane przez lewicowo-liberalny salon media, które na nadużycia „prawicowe” były czułe aż do przesady, jej nadużyć nagłaśniać nie będą.

Obdarowywani przez rząd Tuska publicznym groszem stronnicy i przyjaciele często już nawet nie silą się na zachowanie jakichkolwiek pozorów, odstawiając bezczelne chałtury w poczuciu całkowitej bezkarności. Krzyczącym przykładem są „raporty” ministerialnych komisji do spraw „wpływów rosyjskich” czy „represji wobec społeczeństwa obywatelskiego”. Za chaotyczne spisanie różnych przykładów krytykowania Unii Europejskiej (w pierwszym wypadku) bądź lewicowych aktywistów (w drugim), w dodatku z dużą dozą niechlujstwa i błędów rzeczowych, kilkunastoosobowe zespoły „ekspertów”, zaszeregowanych w randze podsekretarzy stanu, pobierały przez prawie rok co miesiąc po 16 tys. zł. Niektóre osoby załapały się nawet do obu zespołów jednocześnie – dojarką rekordzistką wydaje się zastępczyni Marty Lempart w Strajku Kobiet, Klementyna Suchanow, która na dodatek ufutrowana została jeszcze z dotacji Senatu do „czwartków literackich w Londy-

eprasa.pl 8e76e32ead

nie" (gdzie oprócz niej występowali tacy „literaci", jak Adam Mazguła czy Arkadiusz Szczurek), a także publikuje swe manifesty w dotowanych mediach, w tym na stronie Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza.

ZLIKWIDOWAĆ DMOWSKIEGO I PADEREWSKIEGO

Uważny czytelnik pamięta zapewne, że ów instytut, o nazwie cokolwiek pozbawionej sensu (Gabriel Narutowicz, inżynier, nie był w najmniejszym stopniu myślicielem politycznym), to ukradziony przez Bartłomieja Sienkiewicza w czasie, gdy sprawował on urząd ministra kultury i dziedzictwa narodowego, i oddany radykalnej lewicy dawny Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Dorobek prof. Jana Żaryna i jego współpracowników całkowicie w ten sposób zniszczono – szczególnie boli, że np. wydana przez Instytut znakomita praca Krzysztofa Kosińskiego o Dmowskim, „Bunt duszy polskiej", m.in. uhonorowana Nagrodą Mackiewicza, stała się w ten sposób białym krukiem.

Roli likwidatorów Dmowskiego i Paderewskiego jako patronów instytutu podjęli się Adam Leszczyński, historyk zatrudniony na SWPS, ale przede wszystkim wieloletni publicysta i ideolog Krytyki Politycznej, oraz, jako jego zastępca, Przemysław Witkowski, politolog i „specjalista od ekstremizmów", jak w języku lewicy określa się zawodowych „antyfaszystów". Kompetencje nominatów Sienkiewicza niech każdy ocenia po ich dorobku – sztandarowym dokonaniem Leszczyńskiego jest „Ludowa historia Polski", której inni historycy wytknęli liczne błędy metodologiczne i częste naciąganie danych źródłowych pod apriorycznie przyjęte konkluzje, opus magnum Witkowskiego zaś to książka „Faszyzm, który nadejdzie", zbiór wywiadów przeprowadzonych z podobnymi mu przedstawicielami lewicowego światka akademickiego, którzy wygodnie i dostatnio żyją z grantów na ostrzeganie, że tolerowanie w życiu publicznym konserwatyzmu, prawicy i w ogóle odwoływania się do tzw. tradycyjnych wartości doprowadzi do powrotu Adolfa Hitlera i do kolejnego Holokaustu.

Prawdopodobnie to ten drugi był motorem przedsięwzięcia, zwracającego uwagę na dotąd generalnie niemrawo przejadający ministerialne dotacje, „odzyskany" i przemianowany instytut. Dotąd bowiem jego istnienie ograniczało się do organizowania niszowych dyskusji o Róży Luksemburg i innych komunistycznych tradycjach (nawiasem mówiąc, patronowi, po którego mieli czelność sięgnąć Leszczyński z Witkowskim, całkowicie obcych, wręcz wrogich), równie niszowych konkursów wiedzy o tym bądź owym i oczywiście pisania do prokuratury donosów na rzekomą niegospodarność kierownictwa Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej. Nie przyciągało to uwagi publicznej i instynkt samozachowawczy nakazywałby beneficjentom tuskowej łaski korzystać z tego braku zainteresowania dalej – okazało się jednak, że mają oni ambicję intelektualnego ubogacenia polskiej lewicy. Bo tylko tak można rozumieć przygotowanie na oko imponującej (850 stron) książki pomnika o Adamie Michniku.



★★★★★★

MICHAŁ SIERMIŃSKI, PRZEMYSŁAW WITKOWSKI „OBYWATEL MICHNIK" INSTYTUT NARUTOWICZA, WARSZAWA 2025

Temat, co czytelnicy dobrze wiedzą, jest mi bliski, zresztą ku mojemu zdumieniu sami inicjatorzy przedsięwzięcia zapragnęli zwrócić na niego moją uwagę, przysyłając mi egzemplarz gratisowy. Cokolwiek sądzę o książce – doceniam ten skromny dowód uznania mojego wkładu w michnikologię.

Pytanie, z jakim otwierałem nadesłaną książkę, brzmiało: Czy, pomijając wszystko inne, ma to dzisiaj sens? To znaczy, czy sens ma to, co powyżej nazwałem michnikologią, oczywiście żartem, bo dorobek dożywotniego redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" nie nadaje się na obiekt dociekań naukowych. Nawet sam Przemysław Witkowski we wstępie do książki określa ten dorobek jako „pełniący wiele funkcji – od informacyjnej, przez perswazyjną, do formacyjnej". Jakkolwiek by to nazwać, całe piśmiennictwo Michnika, nie mówiąc już o jego licznych wywiadach i wystąpieniach medialnych, ma charakter użytkowy i wszystkie jego przesłania, zarówno w czasach „opozycji demokratycznej", jak i po roku 1989, służyły określeniu i uzasadnianiu politycznej taktyki jego grupy. Witkowski, jako entuzjasta, ujmuje to tak: „Michnik nie tylko komentował rzeczywistość – on ją współtworzył: organizował debatę, definiował wspólne wartości, wskazywał granicę kompromisu i zasadę moralnego minimum, którego nie należy przekraczać". Nie będę się kłócił o sformułowania. Faktem jest, że dorobek Michnika nie jest żadną całościową „myślą polityczną" i próby stosowania do jego analizy jakiejkolwiek naukowej metodologii, co szumnie i bez żadnego pokrycia w książce zapowiada wstęp, zwyczajnie nie mają sensu.

Adam Michnik swą niewątpliwą wiedzę i bystrość utopił w doraźności politycznych wojen

Zresztą imponująca objętość, zaraz po otwarciu okładek, okazuje się humbugiem. Wspólne dzieło Przemysława Witkowskiego i historyka idei Michała Siermińskiego pt. „Obywatel Michnik" okazuje się składać, poza wstępem, z wywiadu rzeki z Michnikiem oraz antologii 15 jego starych tekstów, wielokrotnie już publikowanych, ułożonych w porządku chronologicznym. Przy czym rzeczony wywiad, teoretycznie zajmujący 200 stron, w istocie jest o połowę krótszy, gdyż niemal połowę każdej strony zajmują przypisy, przeważnie biogramy osób, o których Michnik w rozmowie wspomina. Jest tych biogramów tak dużo, ponieważ Michnik zetknął się w życiu z wieloma znaczącymi personami, wielu autorów czytał i odwołuje się do nich, pojawiają się też w rozmowie liczne postaci historyczne. Powiedzmy od razu, że ten ostatni wątek wyraźnie najbardziej fascynuje autorów wywiadu – nigdzie nie przejawiają oni takiej dociekliwości, jak w kwestiach tego rodzaju, jak np. doktrynalny spór pomiędzy Różą Luksemburg a Włodzimierzem Leninem i to, jak wpłynął on na ówczesny ruch „socjaldemokratyczny".

INTELEKTUALNY BANKRUT

Wśród licznych znanych mi opinii o Michniku jest i taka, że wspomniani

eprasa.pl 8e76e32ead

Róża Luksemburg, Lew Trocki czy Antonio Gramsci i ich doktryny są dla niego bardziej realne niż polityczna współczesność, w której się obraca. Książka zdaje się to potwierdzać i możliwe, że gdyby rozmowa ograniczyła się tylko do kwestii historycznego kształtowania się doktryny komunistycznej, zachłyśnięcia się nią przez środowiska potomków „żydokomuny”, których ukształtowały „drużyny walterowskie” i sławna świetlica Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, a potem do intelektualnej pracy, którą wykonali oni, by się z „błędów i wypaczeń” tej doktryny otrząsnąć i ukuć własną, „demokratyczną”, byłoby to wszystko bardziej pożyteczne, choć też bardziej niszowe. Ani przepytujący Michnika autorzy, ani on sam nie poszli jednak w tę stronę. Domyślam się, dlaczego: ponieważ to musiałoby się skończyć demaskacją Michnika jako intelektualnego bankruta, który swą niewątpliwą wiedzę i bystrość całkowicie rozmienił na drobne i ostatecznie utopił w doraźności politycznych wojen i udowadnianiu, że na danym etapie piękno-i-szlachetność reprezentują Rysiu i Zdzisiu, a Misiu i Pysiu zaprzedali się złu-i-szpetocie, a na innym etapie, że Misiowi można już zacząć podawać rękę, za to Zdzisiu okazał się faszystą.

Zamiast jakichkolwiek odkryć mamy więc standardową, wspominkową „rozmowę z ciekawym człowiekiem”, pełną przyczynków, anegdot, samousprawiedliwień (rozmówcy potrafią momentami przypierać Michnika, głównie pod kątem jego domniemanego klerykalizmu – popierania postaci takich jak kard. Wyszyński, który „w Marcu nie bronił Żydów” i stawiał na głupi katolicyzm „ludowy” zamiast mądrego, z „Tygodnika Powszechnego”, czy Jan Paweł II), generalnie niczym niezaskakującą. Może i miałoby to sens, gdyby dzieło miało charakter popularny i miało za zadanie podtrzymać gasnący kult Michnika oraz formacji intelektualnej, która go wydała. Ale jako trzon książki, której nakład zapewne w większym stopniu rozejdzie się w gratisach niż w sprzedaży, nie broni się.

Notabene tytuł „Obywatel Michnik” ukradziony został Krzysztofowi Kłopotowskiemu, który tak zatytułował esej zawarty w zbiorze „Obalanie idoli”, a był to jeden z ciekawszych tekstów o tej postaci, jak świetnie to ujął Kłopotowski: „unikalnej mieszance talmudyzmu, marksizmu i polskiego romantyzmu”. Tytuł był wtedy świadomym nawiązaniem do sławnego filmu Orsona Wellesa, bo esej ubrany był w formę wzorowanego na nim scenariusza filmu o życiu Michnika. Trudno też uniknąć skojarzenia z filmem Jerzego Zalewskiego „Obywatel Poeta” o Zbigniewie Herbercie. Ale tam również tytuł tłumaczył się skupieniem na zaangażowaniu się Poety, w jego wypadku nieoczywistym, w debatę polityczną. Natomiast w wypadku książki Witkowskiego i Siermińskiego nie tłumaczy się niczym. Równie dobrze mogłaby się nazywać „Dysydent Michnik” albo „Prominent Michnik”, a najbliższe prawdzie byłoby „Były Lewicowy Lider Opinii Michnik”.

Tytuł „Obywatel Michnik” ukradziony został Krzysztofowi Kłopotowskiemu, który tak zatytułował esej zawarty w zbiorze „Obalanie idoli”

Jedynym sensem powstania tej antologii i publicznego się nią chwalenia (gdy, powtórzę, instynkt samozachowawczy nakazywałby siedzieć cicho, przejadać, co jest do przejedzenia, i cieszyć się, że w natłoku znacznie grubszych łajdactw obecnej władzy o przejęciu IDzMN i przekazaniu go do zniszczenia skrajnym lewakom zapomniano) jest próba znalezienia w Michniku jakiegoś punktu oparcia dla „młodej lewicy”. Szczególnie gdy próbuje ona dziś odkleić się od Róży Luksemburg, a przykleić do Józefa Piłsudskiego, do czego reinterpretacja „Cieni zapomnianych przodków” czy innych starych tekstów Michnika mogłaby być teoretycznie niezłym punktem wyjścia.

RZĄDY MAŁOMIASTECZKOWYCH CWANIACZKÓW

Jeśli się to nie udało – a moim zdaniem się nie udało – to dlatego, że sam Michnik nie ma najmniejszego zamiaru niczego reinterpretować. Oznajmia swym rozmówcom wyraźnie: nie widzi w swym życiu żadnego błędu. Szczególnie nie był błędem żaden element „transformacji ustrojowej”, przeciwnie – Leszek Balcerowicz zasługuje na największe uznanie. Jeśli coś poszło nie tak, to wina nieprzewidzianych okoliczności i tego, że Rosja, Kościół, Ameryka, a zwłaszcza „polski ciemnogród”, skażony nieuleczalnie swym „potencjałem endeckim i czarnosecinnym”, generalnie – świat cały poszły w niewłaściwym kierunku. Ale kto to mógł przewidzieć? Z kolei Witkowski z Siermińskim nie potrafią być aż tak okrutni, by wytknąć Michnikowi, że skutkiem jego wieloletnich sukcesów są dalekie od jakkolwiek rozumianej „sprawiedliwości społecznej” rządy małomiasteczkowych cwaniaczków, wśród których na prominentną postać wyrósł Roman Giertych, a koncepcja zarządzania polityką przez „autorytety moralne” wyniosła do roli tych ostatnich takich intelektualistów, jak Maciej Maleńczuk, Krzysztof Skiba czy patostreamerzy z kręgu Jana Pińskiego. Zresztą, znając Michnika, wtedy by im tej rozmowy nie autoryzował i całe przedsięwzięcie, tak jak kilka już prób nakłonienia Michnika do rzetelnej, mówionej autobiografii, wzięłoby w łeb.

Wspomnienia przegrywów, którzy nic nie zrozumieli z udzielonej im przez świat lekcji, zasługują na osobną półkę w światowej bibliotece – nieprzekraczalną klasyką jest tu oczywiście „Co się stało?” Hillary Rodham Clinton, ale znalazłoby się tam miejsce i dla kilku naszych „byłych”, gdyby chciało się komuś ich spisać – choćby dla Bronisława Komorowskiego czy Rafała Trzaskowskiego, który niedawno błysnął na swoim „campusie” 70-minutowym wykładem o tym, że nie popełnił żadnego błędu (no, poza tym, że może jest zbyt elokwentny), tylko „moment” był zły. Wbrew pozorom uważam te zapewnienia za istotne i warte popularyzacji – pokazują one bowiem dojmujący upadek intelektualny całej lewicowo-liberalnej formacji i jej niezdolność do uporania się z wyzwaniami świata zmieniającego się inaczej, niż ona to projektowała. „Obywatel Michnik” też pozostawia po sobie takie wrażenie i choć zapewne nie o to w tym przedsięwzięciu chodziło, to jest to jedyne, co je może usprawiedliwić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



Piotr Semka

Przypadek o. Jędrzejewskiego potwierdza pewną prawidłowość. Otóż w bardzo dużej części wypadków przesuwanie się księży czy zakonników ku kościelnej lewicy prowadzi w końcu do zadania sobie pytania: Dlaczego by nie opuścić stanu duchownego?



FOT. ADOBE STOCK

„Coś pękło, coś się skończyło”

Informuję, że o. Wojciech Jędrzejewski postanowił zwrócić się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zgodę na przeniesienie do stanu świeckiego i o możliwość opuszczenia zakonu. Prośba została przyjęta przez ojca prowincjała do dalszego procedowania” – tak brzmiał komunikat wydany 4 października br. przez socjusza prowincjała zakonu dominikanów, o. Szymona Popławskiego. Jednocześnie w oświadczeniu zaznacza, że po opuszczeniu klasztoru zakon „nie bierze odpowiedzialności za jakiekolwiek działania o. Jędrzejewskiego”.

Tak lakoniczne oświadczenie uruchomiło natychmiast w sieci falę spekulacji na temat przyczyn odejścia z zakonu. Trudno, aby było inaczej, gdy ze stanu zakonnego odchodzi jeden z najbardziej znanych polskich kaznodziei. Najbardziej przebijały się głosy tych przedstawicieli życia publicznego, którzy wychowali się na nauczaniu o. Jędrzejewskiego.

Internautka Katarzyna Wichowska tak skomentowała skandal: „Boże! Jako nastolatka specjalnie jeździłam na Służew ze Śródmieścia-Północ na odprawianą przezeń mszę dla licealistów [...]. To jednak szokuje”. Publicysta Jarema Piekutowski, wywodzący się ze środowiska Klubu Jagiellońskiego, pisał: „20 lat temu – mówię o części naszego pokolenia – szukaliśmy duchowości u dominikanów. I to oni prowadzili nas przez świat swymi mądrymi słowami. To były takie postacie jak o. Wojciech Jędrzejewski, o. Tomasz Kwiecień, o. Maciej Zięba, a w tle brzmiała chóralna muzyka skomponowana przez o. Jacka Gałuszkę. Dominikanie byli bardzo optymistyczni, otwarci, mieli mnóstwo głębi i energii. Wydawało się, że będziemy tak radośnie razem iść, a wiosna będzie trwała wiecznie”.

Spośród wymienionych przez Jaremę Piekutowskiego jego duchowych przewodników z kręgu dominikanów w zakonie nie ma już nikogo. Ojciec Zięba zmarł w 2020 r. wśród ostrych kontrowersji wokół sposobu prowadzenia przez niego zakonu i jego późniejszej działalności publicznej. On jako jedyny z wymienionych pozostał w zakonie do końca. Ale pozostali ojcowie już nie. Ojciec Jacek Gałuszko odszedł ze swego zgromadze-

eprasa.pl 8e76e32ead

nia w 1999 r. Ojciec Tomasz Kwiecień opuścił dominikanów w 2010 r. A teraz odchodzi o. Wojciech Jędrzejewski.

Znany dominikanin najwyraźniej nie był obojętny na wysyp dywagacji na temat przyczyn jego decyzji. Parę dni po oświadczeniu socjusza prowincjała o. Jędrzejewski wydał dodatkowe osobiste wyjaśnienie na portalu Więzi. Zakonnik podkreślił w nim, że odejście ze zgromadzenia było wyłącznie jego osobistą decyzją, i uściślił, że „decyzja ta wiąże się z łamaniem zakonnych ślubów czystości". Na koniec napisał: „Przepraszam tych, których zawiodłem, i proszę o modlitwę". Dodatkowo uściślił, że „katolicyzm nadal pozostaje moją przestrzenią przeżywania Boga". We wzmiance o łamaniu ślubu czystości znaczące jest używanie liczby mnogiej. Skłoniło to wiele osób do podejrzeń, że chodzi o związanie się z kobietą i postawienie dobra tego związku ponad wymogi ślubu zakonnego.

KŁOPOTLIWY KOROWÓD

Nie jest to oczywiście pierwszy przypadek odejścia z życia zakonnego wskutek utajnionego związku z kobietą. Najgłośniejszy był casus jezuity o. Stanisława Obirka, który był jednym z pierwszych znanych zakonników, którzy przeszli drogę od coraz wyraźniejszego kontestowania katolickiej ortodoksji do wyboru osobistego szczęścia w życiu świeckim. Obirek zasłynął w 1994 r., gdy jako redaktor naczelny kwartalnika „Życie Duchowe" rozpoczął cykl rozmów mających na celu dialog z agnostykami na temat wiary i duchowości. Złamanie przez niego ślubów czystości wywołało nawet w okolicach 2005 r. coś w rodzaju skandalu obyczajowego, od którego aż huczały warszawskie salony polityczno-dyplomatyczne. Efektem było ogłoszenie jesienią 2005 r., że występuje z zakonu i rezygnuje z kapłaństwa. Zamiast jednak odrobiny pokory wobec swojej postawy nowy etap życia skłonił Obirka do osobistej, płonącej od złych emocji pisarskiej krucjaty przeciw Kościołowi.

Obirek zamienił się w obsesyjnego demaskatora Kościoła, który w duecie z innym autorem Arturem Nowakiem pisze takie książki jak: „Gomora – władza, strach i pieniądze w polskim kościele" (2021) czy „Babilon – kryminalna historia Kościoła" (2022). Pozycje te prezentują już daleko posunięty stopień zacietrzewienia w przedstawianiu katolicyzmu.

Kolejnym głośnym przypadkiem człowieka Kościoła, który nie krył, że opuszcza stan duchowny z racji związku z kobietą, był dominikanin Tadeusz Bartoś. I w jego wypadku wejście na drogę żądań reform w Kościele, w tym np. zmiany nauczania na temat homoseksualistów, zbiegło się ze złamaniem ślubów zakonnych. Bartoś opuścił zakon w 2007 r. i jest dzisiaj wykładowcą świeckich uczelni.

Te wszystkie odejścia wskazują na pewną wyrazistą prawidłowość. O ile starsze pokolenie kapłanów zaliczanych do tzw. Kościoła otwartego, do którego należeli np. jezuita ks. Wacław Oszajca czy marianin o. Adam Boniecki, właśnie z racji głoszenia liberalnych poglądów dbali o to, aby nikt nie mógł tłumaczyć ewolucji ich poglądów wyborami w życiu osobistym, o tyle nowsza generacja kościelnych kontestatorów nie ma już z tym problemu. Stawia tak rozumiane przez siebie dobro życia osobistego ponad misję nawracania na modernizm Kościoła od wewnątrz.

Dla niektórych może to zabrzmieć groteskowo, ale łatwość odchodzenia z życia duchownego młodszej generacji kościelnych liberałów wcale nie zachwyca tych, którzy w obozie liberalnym sekundują kościelnym rebeliantom. Ci wiedzą, że po takich odejściach siła perswazji osób wybierających osobiste szczęście ponad wierność swym ideom znacznie się zmniejsza.

Gdy Tadeusz Bartoś był w zakonie, zapraszano go często i chętnie do TVN czy na łamy „Gazety Wyborczej". Gdy jest „cywilem", nikt już nie pyta go o sprawy Kościoła.

Przypadek o. Jędrzejewskiego potwierdza również pewną prawidłowość. W bardzo dużej części wypadków przesuwanie się księży czy zakonników ku kościelnej lewicy prowadzi w końcu do zadania sobie pytania: Dlaczego by nie opuścić stanu duchownego?

DOMINI CANIS

Przypadek o. Jędrzejewskiego to jednak głównie kolejna rysa na mocno już popękanym wizerunku zakonu dominikanów w Polsce. Wspominałem już, że w latach 90., szczególnie dla młodej generacji katolików, na czele ze środowiskiem pampersów czy młodej inteligencji katolickiej spod znaku „Frondy", dominikanie jawili się jako ciekawa opcja. Nadzieja na rozsądny model „Kościoła środka". Odległy od zdecydowanego modernizmu środowiska „Tygodnika Powszechnego", ale też o wiele bardziej otwarty na kontakt ze współczesną popkulturą niż zachowawcze Radio Maryja.

Dominikanów było wtedy wszędzie pełno. Można było ich usłyszeć na antenie sieci katolickich rozgłośni Radia Plus. Bez żadnych problemów odwiedzali komercyjne telewizje czy też byli zaangażowani w tak ciekawe inicjatywy, jak np. Instytut Tertio Millennio. Swego rodzaju patronem tego „miękkiego wejścia" do nowoczesnego świata mediów był o. Maciej Zięba, który był prowincjałem dominikanów w latach 1998–2006. Lansował on wtedy dwa hasła: pierwsze definiowane było przez cztery słowa na literę R: Religia, Rodzina, Rynek, Rozsądek. Drugim hasłem Zięby było wezwanie do aktywności pokolenia Jana Pawła II, które miało podjąć i rozwinąć nauczanie papieża Polaka.

Wydawało się, że dominikanie są do tej misji bardzo dobrze przygotowani. W ich zakonie były takie autorytety jak o. Jacek Salij czy opromieniony ładną opozycyjną kartą o. Ludwik Wiśniewski. Jednak bardzo szybko okazało się, że w zakonie buzowały liczne niedobre emocje, które szybko wyszły na jaw. Rządy o. Macieja Zięby doprowadziły do bardzo ostrych konfliktów wewnętrznych w zakonie. Potem o. Zięba wybrał karierę dyrektora Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku, która zakończyła się gwałtownie wśród wychodzących na jaw informacji o chorobie alkoholowej znanego zakonnika. Jeszcze później dominikanów skompromitowała sprawa o. Pawła Malińskiego, który w klasztorze we Wrocławiu wykorzystywał swój status opiekuna duchownego, by molestować i wykorzystywać seksualnie kobiety. Trzeba przyznać, że akurat w tej sprawie dominikanie zdobyli się na transparentne wyjaśnienie tej gorszącej historii przez niezależną komisję, której przewodził Tomasz Terlikowski i która wydała wyczerpujący raport na temat tych nieprawidłowości.

Ale równolegle do problemów z o. Pawłem Malińskim coraz więcej znanych dominikanów zaczęło coraz wyraźniej skręcać w lewo. Tacy zakonnicy jak o. Marcin Lisak, o. Tomasz Dostatni czy o. Paweł Gużyński

eprasa.pl 8e76e32ead

stali się dla mediów liberalnych chętnymi i dyżurnymi krytykami polskiego Episkopatu oskarżanego o wstecznictwo i brak reform. Znamienny był listopad 2020 r., kiedy po zmianie ustawodawstwa w sprawie dopuszczalności aborcji 26 znanych dominikanów poparło list protestujący przeciwko „dyskryminowaniu kogokolwiek", używaniu prawa do narzucania norm moralnych i używania religii do celów politycznych. Ten apel miał miejsce, gdy przez kraj przetaczała się fala agresywnie antyreligijnych demonstracji i dochodziło nawet do fizycznych ataków na kościoły. Co bardzo charakterystyczne, pod apelem znanym szerzej jako apel tzw. zwykłych księży podpisał się wtedy także o. Wojciech Jędrzejewski. Nieprzypadkowo w trakcie dyskusji o przyczynach jego odejścia z zakonu wielu internautów wskazywało na jego podpis pod listem z 2020 r. jako swoiste „Signum temporis" i wejście na drogę prowadzącą do zrzucenia habitu.

KULTURA SEKRETU

Bardzo ogólnikowe oświadczenie dominikanów unikające podawania przyczyn odejścia ze zgromadzenia znanego zakonnika wywołało w sieci ciekawą dyskusję. Czy można dociekać przyczyn odejścia, o ile nie wynikło to z żadnego czynu, który można uznać za przestępstwo? Pierwszy typ odpowiedzi na to pytanie prezentował np. publicysta RMF Tomasz Terlikowski. Pisał on: „Szanuję [...] prawo do milczenia zarówno zakonu, jak i Wojciecha Jędrzejewskiego. Osobiste wybory, osobiste decyzje, jeśli nie łączą się z tuszowaniem przestępstw lub z przestępstwami, powinny zostać uszanowane. Były już dominikanin może, jeśli będzie chciał, o nich opowiedzieć, a jeśli pojawią się nowe, rzucające odmienne światło na tę decyzję okoliczności, to być może powinni się do tego odnieść dominikanie; jeśli jednak nie mamy w tej sprawie do czynienia z przestępstwem, a ze splotem wydarzeń, może błędów, może grzechów, to dojrzałość wymaga, by pozwolić ludziom o tym milczeć".

Równie pobłażliwy był Cezary Gawryś z „Więzi": „Obecna sytuacja [o. Jędrzejewskiego] nie odbiera mu mego uznania i sympatii. Różne bywają koleje losu".

Z taką taryfą ulgową nie zgodził się inny publicysta internetowy Mirosław Popkowski. „Kapłan nie jest osobą prywatną. W związku z tym, że nauczanie Kościoła, które jest częścią misji kapłana, dotyczy również moralności seksualnej, jego życie osobiste nie jest jego sprawą prywatną. Nie oczekuję żadnych szczegółów dla ciekawskich, ale parę prostych zdań od niego byłoby na miejscu".

Ta kontrowersja wokół stylu odejścia o. Jędrzejewskiego doskonale pokazuje dylematy dzisiejszych ludzi wiary. I jeszcze jedno. Wielu publicystów katolickich z obozu Kościoła otwartego obarcza winą konserwatyzm hierarchii jako czynnik odstraszania zwykłych wiernych od Kościoła. Co znamienne, równie surowo nie ocenia się wpływu na stygnięcie wiary poprzez takie antyświadectwa, jak te, których przykładem jest o. Jędrzejewski. Jeśli wierność wobec ślubów zakonnych jest mało ważna, to jak można od zwykłych wiernych wymagać wypełniania zasad wiary? I w tym sensie casus znanego dominikanina musi budzić aż tak wielkie emocje.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

AMERYKAŃSKI BESTSELLER NA POLSKIM RYNKU!

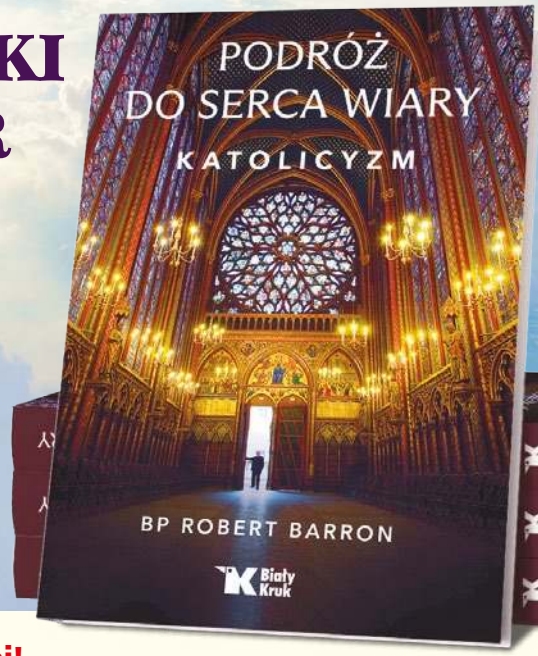

PREMIERA!

278 str., 16,5 x 23,5 cm
twarda oprawa

POLSKIE AKCENTY!

www.bialykruk.pl

Dla czytelników „Do Rzeczy" 25% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy DORZECZY25

ZAMÓW:
bialykruk.pl, tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl. Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl 8e76e32ead



FOT. ADOBE STOCK

Ryzykowne zakupy



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Sprzedaży ciuchów w Internecie towarzyszy „storytelling” – cała historia związana z pochodzeniem danej rzeczy, jej „zdobywaniem”, podkreślanie jej walorów wizualnych, często mocno na wyrost, co wywołuje internetowe kpiny

Laleczki moje kochane, podbijamy lajwiczka, klikamy paluszeczkami, ja tu jestem dla was. Ale halo, moderacja, nie śpimy, bo zabiorę wam zniżki. Hejtery to sknery, zazdrosne szantrapy. Tapujemy, dziewczynki. Piękna sukienka prosto z Italii, przyleciała wczoraj biznes class. Jeszcze czuć zapach luksusu. Uwaga, Beata, zapisuj – pani „Pusia Wiesia 64” – tak, w tiktokowym skeczu, ze sprzedażowych transmisji na żywo kpiła obserwowana przez ponad 2 mln użytkowników twórczyni „mili0nerka”.

Irena Mąsior, bo tak się nazywa naprawdę, w bijącym rekordy popularności nagraniu obśmiewała styl i sposób prowadzenia tego rodzaju działalności. Dużo zdrobnień, wychwalanie pod niebiosa wątpliwej jakości towaru (a przynajmniej takiego, którego pochodzenia i oryginalności nie da się sprawdzić), zachęty do aktywności, tworzenie swoistej internetowej „rodzinki”, namawianie do „tapowania”, czyli przekazywania internetowych serduszek zwiększających zasięg transmisji. To wszystko „z serca” i „tylko dla was”, a na krytyków czeka ban, czyli zablokowanie dostępu do konta sprzedającej.

„»Grażyna 6969« pisze »bazar«. Wiesz co, Grażyna, bazarem to trąca twoje zdjęcie profilowe. »Łukaszek fistaszek« do bana, chyba się gdzieś zgubił. Dziewczyneczki, teraz perełeczka i zastanawiam się, czy wam ją pokazać, bo chyba zostawię sobie. Unikacik, all Fendy szynel. 690 zł mam do oddania, a ja tysiaka hajsiwa za nią dałam w Milanie. Haniunia, ja nic na tym nie zarabiam, to jest wszystko dla was. Beata, zapisuj, »szwagaty agaty« bierze perełeczkę. Ja jestem dla was, jestem dla was. Szal »edżypt« z Paryża, rozmiar uniwersalny od XXS do XXXXXXL na part, do klubu, kościoła. Kochanieńkie, poszło wszystko, już nie mam co wam sprzedać, ostatnie spodnie na dupsku mi zostały, dajcie spokój. »Aneta rakieta«, dla Ciebie 300 zł. Słuchajcie dziewczyny, ja to znam. Bo też kiedyś chciałam mieć spodnie, a nie miałam, i weszłam na live, kupiłam i mam. Także znam to, znam ten ból. Jesteśmy razem, trzymamy się razem, nie poddajemy się – kontynuuje „mili0nerka” swój pastisz.

BUDOWANIE WIĘZI Z ODBIORCAMI

Choć wszystko dzieje się w Internecie, to sprzedający mają często do perfekcji

eprasa.pl 8e76e32ead

opanowane techniki sprzedażowe. Podstawowa to perswazja i argumentacja, polegająca na podkreślaniu wyjątkowości danego produktu (nawet jeżeli jest to zwykła, niemarkowa koszulka). Tutaj pojawia się owa „perełeczka", „sztos", ciuch „jeden na milion". Sprzedawczyni (w przypadku ubrań niemal zawsze są to kobiety; na TikToku można znaleźć też transmisje m.in. z perfumami oraz ozdobnymi gadżetami do wnętrz) często podkreśla, że na tę konkretną rzecz „polowała bardzo długo" lub „czekała miesiącami na dostawę z Włoch". Pojawiają się „unikaty", które trzeba „łapać" natychmiast.

Właściciele internetowych butików wiedzą, jak ważne jest budowanie więzi z odbiorcami. Stąd zwracanie się po imieniu, pozdrowienia, podkreślanie, że np. „Ania1990" znowu do nas dołączyła, a „BeataKatowice" otrzyma specjalny gratis za bycie stałą klientką. Sprzedawczynie stosują mające brzmieć sympatycznie zdrobnienia – szczególnie popularne są „dziewczyneczki" oraz „dziewczynki", pojawiają się „serduszka", a także zwrot „kochane". Dodatkowo transmisje sprzedażowe dają kobietom poczucie, że każda z nich jest piękna i może wyglądać modnie. Stąd bluzy, sukienki czy sweterki, które „uciągają się" (to niezwykle częste sformułowanie) z rozmiaru S do nawet XL. Ta sama bluzka pasuje na „eseczkę" i „eleczkę". Nie ma dyskryminacji ze względu na figurę.

Podczas transmisji pojawia się „storytelling" – cała historia związana z pochodzeniem danej rzeczy, jej „zdobywaniem", podkreślanie jej walorów wizualnych, często mocno na wyrost, co wywołuje internetowe kpiny. Można natrafić też wprost na godne krytyki manipulacje – jedna ze sprzedawczyń, widząc, jak słabo idzie sprzedaż, zaczęła odwoływać się do dobrych serc swoich obserwatorek. „Ja dla was tyle robię, a tu naprawdę nikt? Naprawdę? Popatrzcie, żadna się nie zgłosi?" – pytała z oburzeniem, prezentując kolejną, niekoniecznie szykowną część garderoby. Niekiedy dochodzi do zabawnych sytuacji, gdy dwie prowadzące sprzedaż pokłócą się np. dlatego, że jedna już „zaklepała" jakiś produkt dla kupującej, a w tym czasie druga kolejny raz wystawia go na sprzedaż. Chaos podczas transmisji jest dość częsty, szczególnie w przypadku bardziej popularnych butików, gdy na żywo śledzi je niekiedy ponad tysiąc osób.

To jednak nie zmienia faktu, że transmisje są niezwykle popularne. Dlaczego? Przede wszystkim wygoda. Nie trzeba iść do sklepu ani nawet siadać przed komputerem. Można, leżąc wygodnie na kanapie, oglądać prezentowane produkty i poprzez zgłoszenie się w komentarzu, nabyć jeden z nich. Rozliczenie też jest bardzo proste – bardzo często to przelew BLIK na telefon, choć bywają inne formy. Takie zakupy to też dreszczyk emocji – czy zdążę „upolować" „perełkę", na którą z pewnością mają chęć inne użytkowniczki? Kto pierwszy, ten lepszy, a decydować trzeba się szybko. Szczególnie gdy chodzi o „markowe rzeczy w okazyjnych cenach".

Nieźle wyprodukowane podróbki dla niewprawnego oka mogą uchodzić za oryginał

Najczęściej są to po prostu nieźle wyprodukowane podróbki, które dla niewprawnego oka mogą uchodzić za oryginał. Cena bywa atrakcyjna, więc generuje zainteresowanie. „T-shirt jakości premium. Inspiracja »pod Gucci«. Taki tutaj z króliczkiem, z zajączkiem. On jest dłuższy, natomiast ja go tutaj włożyłam do środka, aby wam pokazać te piękne, kozackie spodnie z paskami, z ćwiekami. Spodnie macie dostępne w rozmiarach S/M i L/XL. Turcja, mega gatuneczek, polecam" – zachwalała jedna ze sprzedawczyń. Inna z kolei, prezentując łatwą do wykrycia podróbkę, wmawiała internautom, że pokazuje oryginał. „Dresy z Balmain po 219 zł na wyprzedaży. Gucci za 45 zł, premium, podkoszulka damska" – oferowała.

W POLU ZAINTERESOWANIA SŁUŻB

Czy ten proceder zostanie ukrócony? W wakacje krakowska policja przeprowadziła akcję zatrzymania kilkuset sztuk podrabianej odzieży i butów we wsi Lusina nieopodal Krakowa. Butik oferował je w Internecie jako pochodzące ze światowych fabryk oryginały. Nagranie z akcji służb pojawiło się w sieci pt. „Polskie służby biorą się za live sprzedażowe na TikToku". Opublikowała je właścicielka sklepu. Widać na nim funkcjonariuszy przeszukujących rzeczy oraz dziesiątki pudełek i worków wyniesionych na zewnątrz.

Policję na miejsce skierowała Prokuratura Rejonowa w Wieliczce, która od pewnego czasu sprawdzała sklep. Wcześniej przekazała donos, że butik może oferować podróbki. „Policjanci oczywiście nie są ekspertami od tego, która odzież jest oryginalna, a która podrobiona. Dlatego też do butiku udał się wraz z nami biegły rzeczoznawca. On sprawdził produkty oferowane przez ten sklep i faktycznie uprawdopodobnił, że są to podróbki. Zarekwirowaliśmy cały ten towar. To łącznie kilkaset sztuk odzieży damskiej oraz kilkaset par butów" – przekazała Onetowi Katarzyna Cisło, rzeczniczka prasowa komendanta wojewódzkiego policji w Krakowie.

W sierpniu pojawiła się informacja, że właścicielka sklepu będzie odpowiadać przed sądem z tytułu naruszenia przepisów ustawy Prawo własności przemysłowej. Grozi jej kara do dwóch lat pozbawienia wolności. Kobieta opublikowała oświadczenie, w którym choć przyznała się do handlu podrobioną odzieżą, określając to jako wielki błąd, to jednocześnie przekonywała, że akcja policji jest efektem działań życzącej jej źle stalkerki. W komentarzach spotkała się ze zrozumieniem. „Może i towar nie jest do końca legalny, ale człowiek próbuje zarobić uczciwie, nie kradnie" – pisze jedna z internautek.

Warto wiedzieć, że sprzedaż podczas transmisji na żywo w social mediach (Facebook Live, TikTok) jest traktowana jak zakup na odległość. Oznacza to, że konsument ma takie same prawa jak przy zakupach on-line. Na zwrot produktu zakupionego w ten sposób ma 14 dni od jego otrzymania. „Zawsze czytaj regulamin sprzedaży i zachowuj dowody zakupu, aby bez problemu skorzystać ze swoich praw" – zaleca jeden z internetowych butików, który najwyraźniej stara się podchodzić do klienta uczciwie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



Krzysztof Masłoń

Agent, przemytnik, pisarz

Życiorys miał niezwykły. Był nieślubnym dzieckiem zrusyfikowanego szlachcica i Białorusinki. W wieku 18 lat został członkiem wspieranej przez II RP partii dążącej do stworzenia niepodległej Białorusi. Potem w szeregach Wojska Polskiego bronił Warszawy przed bolszewikami

Dwukrotnie już prezydent Karol Nawrocki zdążył zaistnieć, i to mocno, na polu literatury. Pierwszy raz, sięgając po utwory Jana Kochanowskiego w ramach Narodowego Czytania, akcji od 2012 r. promującej nie tyle literaturę, ile kolejnych prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej, i po raz drugi, angażując się w sprowadzenie z Wielkiej Brytanii do Polski szczątków Sergiusza Piaseckiego i uroczyste ich złożenie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. W niczym nie ujmując chwały autorowi „Trenów", „Fraszek" i „Pieśni", ojcu i mistrzowi polskiej mowy, to drugie wydarzenie wydaje się z dzisiejszego punktu widzenia bardziej znaczące. Zwłaszcza że Karol Nawrocki życiem i twórczością Sergiusza Piaseckiego interesował się od dawna. Nawiązał kontakt z jego synem, związanym z Politechniką Gdańską profesorem Władysławem Tomaszewiczem, m.in. przeprowadził z nim wywiad, i po konsultacjach z rodziną twórcy poprzez Biuro Upamiętnienia Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej sfinalizował powrót pochowanego w 1964 r. w Hastings pisarza na polską ziemię.

Podczas uroczystości, które odbyły się 29 września w Warszawie, Karol Nawrocki powiedział: „Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy życiorysu i literatury Sergiusza Piaseckiego. Po to, aby mówić prawdę o bolszewizmie, o systemie komunistycznym, o tym, jakim zagrożeniem dla Polski i dla całej Europy jest postsowiecka, neoimperialna Rosja".

eprasa.pl 8e76e32ead



Sergiusz Piasecki na portrecie autorstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza (1939)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

A o tej ostatniej Piasecki wiedział wszystko. W może nie najważniejszej w jego dorobku, dziejącej się w tużpowojennej Polsce powieści „Siedem pigułek Lucyfera" czytamy: „Rosja jest to państwo, w którym obywatel musi chcieć robić to, co mu każą robić". Wielu nie dostało jednak i takiej szansy. Koledzy bohatera innej powieści, „Bogom nocy równi", „zostali rozstrzelani jako »kontrrewolucjoniści«, którzy przybyli na terytorium RSFSR w celu organizowania »białogwardyjskich band«". Dalej w tej książce czytamy: „»Tak, jacyś podlecy zrobili na ich krwi karierę służbową« – pomyślał Roman, przypominając sobie słowa znajomego Białorusina, który powiadamiając go o rozstrzelaniu przyjaciół, dodał: »Tam, gdzie Moskal rządzi, krew ludzka jest tańsza od wody«".

W „Dzienniku szpiega", podsumowującym działalność wywiadowczą autora, stwierdzał:

Zobaczyłem, że „w imię wolności, równości i braterstwa" zgraja oprawców gnębi 150 milionów ludzi.

Zobaczyłem ludzi, którzy opierając się na materialistycznym pojmowaniu dziejów: że człowiek może żyć bez chodzenia do kościoła, bez hymnów, lecz nie może żyć bez jedzenia, ubrania i dachu nad głową – zabrali człowiekowi ludzkie jedzenie, ubranie i dach nad głową. Natomiast zmusili go pod groźbą utraty życia do śpiewania hymnów i chodzenia do kościołów bolszewickich, gdzie im wtłacza się w głowę wszystko, co jest sprzeczne z naturalnym pojęciem o rzeczach.

Zobaczyłem, że zrobiono dobroczyńcami ludu tych, którzy są jego łupieżcami i mordercami. Przekonałem się, że nie ma większej hańby i upokorzenia dla człowieka, jak być obywatelem sowieckim.

Powieściowy Roman Zabawa, który w „Bogom nocy równi" spisuje te słowa, to, bez dwóch zdań, autor tej książki. Autobiografizm jest tu oczywisty; Sergiusz Piasecki jako w jednej osobie agent wywiadu wojskowego i przemytnik opowiedział to, co przeżył osobiście, dziesiątki razy przekraczając naszą wschodnią granicę w latach 1922–1923.

GŁUPIE DNI I WARIACKIE NOCE

Życiorys miał niezwykły, nieporównywalny bodaj z żadnym innym polskim pisarzem. Urodzony w Lachowiczach był nieślubnym dzieckiem zrusyfikowanego szlachcica Michała Piaseckiego i Białorusinki Kławdii Kułakowicz. Jego rodzinnym językiem był rosyjski, polski poznał znacznie później, a na dobrą sprawę swobodnie posługiwać się nim zaczął dopiero w więzieniu na Świętym Krzyżu, gdzie odsiadywał wyrok za w istocie pospolity bandytyzm (napady z bronią w ręku). Skazany został w 1926 r przez sąd doraźny na karę śmierci (!), zamienioną przez prezydenta Ignacego Mościckiego po interwencji II Oddziału, pomnego jego zasług wywiadowczych, na 15 lat więzienia. Po raz drugi prezydent Mościcki ulżył jego doli w 1937 r., skracając mu wyrok i wypuszczając na wolność po tym, jak grono ludzi kultury na czele z Melchiorem Wańkowiczem, zachwyconych książkami napisanymi przez Piaseckiego za kratami, zaapelowało o ten akt łaski. Trzecią z tych książek, a pierwszą, która została wydana, był sławny „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" – bestseller pierwszej wody.

Autor miał 18 lat, gdy wstąpił do Białoruskiej Partii Chłopskiej „Zielony Dąb" dążącej do stworzenia niepodległej Białorusi i wspieranej przez II RP. Po rozbiciu oddziałów białoruskich przeszedł do Wojska Polskiego, chciał bowiem walczyć z bolszewikami, których zdążył już znienawidzić, napatrzywszy się, także w Moskwie, na ich zbrodnie. Uczestniczył w obronie Warszawy w wojnie 1920 r. Zdemobilizowany rok później, imał się na Wileńszczyźnie zajęć podpadających pod rozmaite paragrafy Kodeksu karnego. W końcu jednak w sierpniu 1922 r. został agentem w Ekspozyturze II Oddziału Sztabu Generalnego WP w Brześciu, gdzie wykazał się jako świetny wywiadowca, a także człowiek konfliktowy, mający do tego słabość do alkoholu i kokainy.

Zwolniony ze służby na całego rzucił się w działalność przestępczą, co zaprowadziło go na Święty Krzyż. Już po wojnie, we Włoszech latem 1946 r., nadarzyła się Piaseckiemu sposobność wydania swojej najsławniejszej książki na emigracji. Poprzedził wówczas „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" wstępem rekomendowanym jako „klucz" do idei powieści. Początek tego wstępu każdy chyba miłośnik tej prozy zna na pamięć:

Żyliśmy jak królowie. Wódkę piliśmy szklankami. Kochały nas ładne dziewczyny. Chodziliśmy po złotym dnie. Płaciliśmy złotem, srebrem i dolarami. Płaciliśmy za wszystko, za wódkę i za muzykę.

Za miłość płaciliśmy miłością, nienawiścią za nienawiść.

eprasa.pl 8e76e32ead



Prezydent Karol Nawrocki przemawia podczas złożenia szczątków Sergiusza Piaseckiego na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach FOT. PIOTR NOWAK/PAP

Lubiłem swych kolegów, bo nigdy mnie nie zawodzili. Byli to prości, niewykształceni ludzie.

Lecz czasem byli tak wspaniali, że stawałem zdumiony. Wówczas dziękowałem Naturze, że jestem człowiekiem […]. Często w piersiach mi tchu brakowało z rozkoszy Życia. Czasem dlaczegoś głupio oczy się załzawiły. Czasem ktoś brutalnie zaklął, a dziecinnie się uśmiechnął i twardo podał wierną dłoń.

I mało było słów. Ale słowa były słowami i łatwo je zrozumieć mogłem i zawsze wiedziałem, że to nie słowa honoru, ani przysięgi. Więc były pewne…

Tak pędziły w barwnym wirze głupie dnie i wariackie noce, którymi Ktoś za coś nas obdarzył.

A nad tym wszystkim: nad nami, ziemią i chmurami, po północnej stronie nieba pędził dziwny Wielki Wóz… królowała wspaniała, jedyna, zaczarowana Wielka Niedźwiedzica.

O niej, o nas – przemytnikach i o granicy opowiem w tej powieści, która powstała z bólu i tęsknoty za pięknem Prawdy, Natury i Człowieka.

CO SIĘ KOMU ŚNI

Czytelnicy oszaleli. Bo i rzeczywiście, jak w 1969 r. pisał Juliusz Sakowski: „Na magię »Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy«, oprócz trzymającego na uwięzi daru narracyjnego, składają się w przedziwnym stopniu żywioł i nastrój, dynamika i wizja, brutalność zdawałoby się bez miary i hamulców, a wraz z nią płynący podskórnym nurtem przejmująco nostalgiczny liryzm". Niewiele z tego, a właściwie nic nie zostało w wolnej ekranizacji powieści dokonanej w połowie lat 80. przez Włodzimierza Olszewskiego pt. „Przemytnicy", zresztą z Januszem Gajosem w roli głównej. W Polsce rządziła jeszcze komuna, Piaseckiego wydawano wyłącznie w drugim obiegu, do tego wszechogarniająca bieda nie pozwalała wyprodukować filmu z należytym rozmachem i w efekcie zamiast filmu, który powinien być ozdobą naszej kinematografii, wyszedł pospolity gniot. Nie osiągnęły także większego powodzenia włoskie produkcje osnute na kanwie „Kochanka…", w tym film Valentina Orsiniego z 1972 r. Warto by nadmienić, że powieść Sergiusza Piaseckiego przetłumaczona została, bagatela, na 16 języków. Smutnym paradoksem jest to, że fakt ten w minimalnym tylko stopniu wpłynął na poprawę sytuacji materialnej autora, klepiącego w Anglii emigrancką biedę.

A skąd wziął się na Wyspach? W 1939 r. walczył w Korpusie Ochrony Pogranicza, a następnie przez całą wojnę przebywał na Wileńszczyźnie, działając w Armii Krajowej, choć przysięgi nie chciał złożyć, obserwując nie dość antykomunistyczne stanowisko konspiracyjnych dowódców. Przeprowadził jednak kilka brawurowych akcji, m.in. włamując się do urzędu niemiecko-litewskiej policji, skąd wyniósł dokumenty obciążające aresztowanego wcześniej szefa wileńskiego Biura Informacji i Propagandy AK, Zygmunta Andruszkiewicza. Kierował również akcjami likwidacji agentów gestapo, przy czym – co trzeba podkreślić – odmówił wykonania bezpodstawnie wydanego wyroku na innego świetnego pisarza, Józefa Mackiewicza.

Po wojnie, poszukiwany przez bezpiekę, ukrywał się, by następnie w 1946 r., posługując się fałszywymi dokumentami na nazwisko Tomaszewicz, wyjechać z Polski w obsadzie konwoju UNRRA. Z rekomendacji (znów) Wańkowicza przyjęty został we Włoszech do II Korpusu gen. Andersa i wraz z innymi polskimi żołnierzami dostał się do Anglii.

Wcześniej, niemal dosłownie w przededniu opuszczenia Polski, w końcu kwietnia 1946 r., Piasecki przygotował „Sto pytań pod adresem »obecnej« Warszawy", list otwarty do redaktora „Odrodzenia", znanego autorowi „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" sprzed wojny, Karola Kuryluka. Pytał w nim m.in.:

Czy została obecnie na Mińszczyźnie i Mohilewszczyźnie chociaż jedna rodzina polska z tych 1.500.000 Polaków, którzy tam mieszkali przed wojną r. 1920 i pozostali za granicą Polski? Gdzie są tamci nasi rodacy? Czyją piekielną robotą było całkowite zniszczenie ich; dlaczego obecny rząd polski sprzedaje Rosji węgiel trzykrotnie taniej, niż kosztuje jego wydobycie z kopalni; dlaczego, po ośmioletniej przerwie, gdy pisarze i obywatele polscy tyle przecierpieli, literatura polska jest tak nędzna, tak bezbarwna, tak fałszywa i bezradna; gdzie jest pisarz polski, Bruno Jasieński; dlaczego rozstrzelano przywódców komuny białoruskiej: Raka-Michajłowskiego i Taraszkiewicza; dlaczego żołnierzy armii sowieckiej naród polski nazywa „zegarmistrzami". I dlaczego, gdy w kinie wyświetlano dodatek filmowy z obrad ONZ, gdy ukazał się Bevin w towarzystwie Wyszyńskiego, wyrostki na Sali krzyczały: „Bevin, uważaj na zegarek!"; dlaczego wywiera się presję na urzędników i nauczycieli, aby wstępowali do PPR, czyli, jak mówi naród: Polskiej Partii Renegatów; dlaczego zmasakrowano i zniszczono taką cudną, kulturalną Estonię? Za co?; dlaczego ja, pisarz polski, który jako samouk wydostał się z przepaści życia i stał się literatem, ukazując ludziom świat głębinowy ich braci z marginesu życia, który ma rzeczy napisane i ogrom materiału do nowych powieści, muszę milczeć, tułać się, ciężko zarabiać na życie i marnować czas, zamiast pracować na właściwym mi polu literackim;

eprasa.pl 8e76e32ead

dlaczego ja, panie Karolu, nie mogę w tej naszej obecnej „demokratycznej, niepodległej" Polsce przyjść do pana jak dawniej, za złych sanacyjnych czasów, na pogawędkę o biedzie więźniów, o braku wolności słowa i na setki innych tematów. Dlaczego?... Dość!

Znalazło się jeszcze miejsce na postscriptum: „Panie Karolu, jestem bardzo ciekaw pewnych prywatnych Pana spraw: czy Pan obecnie naprawdę czuje się uczciwym człowiekiem, Polakiem – i co Panu się śni po nocach?".

BEZPOŚREDNIOŚĆ OBURZENIA

Jak widać, był Piasecki nie tylko wziętym pisarzem, lecz także rasowym publicystą, a dowiódł tego m.in. w głośnym swego czasu artykule „Były poputczik Miłosz". Opublikował go Sergiusz Piasecki w londyńskich „Wiadomościach" 4 listopada 1951 r. Wybranie przez Miłosza – komunistycznego dyplomatę – wolności komentowali wówczas, nie żałując ostrych słów, i inni autorzy, m.in. Michał Kryspin Pawlikowski, Ryszard Wraga, Aleksander Bregman, wreszcie Mieczysław Grydzewski, który stwierdził: „Odstępstwo p. Miłosza od progów »Nowej Wiary« jest samo w sobie faktem bez znaczenia, odstępstwa tego rodzaju będą się mnożyły, przyjdzie chwila – może już niedaleka – kiedy przybiorą rozmiary żywiołowego zjawiska – lawiny. Cokolwiek da się powiedzieć o ich szczerości, są one objawem braku wiary w przetrwanie nowych »demokracji ludowych«, opartych na kulcie bolszewickiego knuta, stryczka i nagana". Nikt jednak nie wypunktował przyszłego noblisty tak celnie jak Piasecki.

Co prawda, poplecznicy Miłosza odsądzali potem Piaseckiego od czci i wiary, a subtelny eseista Konstanty Jeleński jego artykuł nazwał „nikczemnym", ale już np. Jan Lechoń z amerykańskiego oddalenia pisał: „Artykuł Sergiusza Piaseckiego o Miłoszu – ulżył mi jak jakaś katharsis. To samo właściwie chciałem napisać, ale nie wiem, czy potrafiłbym to zrobić z taką pasją, z taką, powiedziałbym, bezpośredniością oburzenia".

„Były poputczik Miłosz" byłby pewnie łagodniejszy dla autora „Traktatu moralnego", gdyby nie zaszłości natury osobistej między pisarzami. Zainteresowanych odsyłam do sporej już literatury przedmiotu, m.in. książki wnuczki Sergiusza Piaseckiego, Ewy Tomaszewicz, „Gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy". Niechęć Piaseckiego do Miłosza, nazwanego przez niego w „Dla honoru organizacji" – „Narcyzem", wzięła się z potraktowania przez znanego już i cenionego poetę przyszłej żony Piaseckiego, Jadwigi Waszkiewicz (pobrali się w 1942 r., dwa lata później przyszedł na świat ich syn, Władysław). Miłosz – pisze Ewa Tomaszewicz – „otoczył ją aurą uwielbienia, pisał dla niej wiersze. Osiągnął swój cel – została jego kochanką, w jej pojęciu i zgodnie z jego zapewnieniami, żoną. Po jakimś czasie zaszła w ciążę". Poeta nie zamierzał jednak wziąć odpowiedzialności za swoje czyny. Zdaniem Piaseckiego „Narcyz" „postąpił podle, podstępnie i tchórzliwie. Takiemu łotrowi chyba i Chrystus by nie wybaczył, bo zginąłby cień sprawiedliwości na ziemi".







LEKTURA RÓWNOLEGŁA

To pod wpływem żony Jadwigi Sergiusz Piasecki zmienił wyznanie, przechodząc w 1942 r. z prawosławia na katolicyzm. Po jego ucieczce na Zachód pod tym nazwiskiem żyli w Polsce jego żona i syn. W 1956 r. orzeczeniem sądu PRL jako zaginiony w czasie wojny uznany został Jan Tomaszewicz, bo jako Sergiusz Piasecki pisarz nie istniał w kraju do końca Polski Ludowej. Na jego nagrobku na cmentarzu w Hastings, zaprojektowanym przez Ryszarda Demela, przyjaciela pisarza i przyszłego jego biografa, umieszczony został wizerunek gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy.

Pozostawił Piasecki po sobie znakomite książki, bo poza „Kochankiem Wielkiej Niedźwiedzicy" także tyleż śmieszne, co straszne „Zapiski oficera Armii Czerwonej", powieści o pracy agenta wywiadu na sowieckim pograniczu: „Piąty etap" i „Bogom nocy równi", trylogię złodziejską z „Jabłuszkiem" na czele, „Żywot człowieka rozbrojonego" o losach weterana wojny z bolszewikami czy wreszcie świetne książki o życiu i konspiracji na Wileńszczyźnie: „Człowiek przemieniony w wilka" i „Dla honoru organizacji". Te ostatnie czytać warto równolegle z arcydziełami polskiej prozy XX-wiecznej: „Drogą donikąd" i „Nie trzeba głośno mówić" Józefa Mackiewicza.

A skoro o Józefie Mackiewiczu... Może doczekamy się i tej chwili, że i tamten fenomenalny polski pisarz spocznie tam, gdzie powinien, jeśli nie w Wilnie, to w każdym razie na polskiej ziemi. Pewne nadzieje wiązałem w tej sprawie – i to nie ja jeden – z poprzednim prezydentem, podjęte starania jednak okazały się nieskuteczne. A Narodowe Czytanie z kadencją Andrzeja Dudy kojarzyć się będzie nie najlepiej, ze względu na zadziwiające i wielce problematyczne skrócenie pod prezydenckimi auspicjami „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego, czego wytłumaczyć niepodobna. Może literaturze – literaturze prawdziwej – za prezydentury Karola Nawrockiego wieść się będzie lepiej. Dobry początek został zrobiony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



Bezradność



Piotr Gociek

„Konflikt" to nie jest serial dobry. Zarazem jest to serial bardzo znaczący i bardzo ważny

Tym razem rozważania na doskonale znany Polakom temat „bić się czy nie bić" docierają do nas nie w formie eseju o naszych wojnach czy powstaniach, lecz serialu telewizyjnego z Finlandii. „Konflikt" (odcinki w Canal+) oddaje też idealnie ducha czasów, w których powstał, tak jak „Rambo II" czy „Rocky IV" oddawały ducha lat 80., a powieści i filmy science fiction o obcej inwazji z lat 50. oddawały ducha pierwszej dekady zimnej wojny. Pisząc „oddawały ducha", mam tak naprawdę na myśli „przestrzegały i wzywały do walki". Nie inaczej jest i tym razem.

PRÓBA OGNIA

Mamy oto najkrótszą noc roku. Finowie rozjeżdżają się po letniskach, by świętować Midsommar, a właściwie, skoro to Finlandia, to Juhannus: szykują się wielkie pijaństwo, grillowanie i wielkie ogniska. Nawet żołnierze wcześniej rozjeżdżają się do domów z ćwiczeń. Jeden z oddziałów pakuje właśnie manatki gdzieś w nadmorskim lesie na półwyspie Hanko. Oficerowie umawiają się na ryby, rekruci oddają się amorom, tymczasem pada łączność radiowa i komórkowa, na plaży lądują spadochroniarze w mundurach bez oznaczeń. A przez megafony słychać wezwania: „Fińscy żołnierze! Poddajcie się! Nie zabijemy was!". Jeszcze w pierwszym odcinku na Hanko pojawią się wrogie czołgi. „Pełnoskalowa inwazja? Co tu się odwala?" – zastanawiają się ukryci w lesie młodzi wojacy. Czas próby przyszedł dla nich zbyt wcześnie, mają przed sobą jeszcze pięć miesięcy szkolenia.

Dzieciaki w mundurach mają prawo nie być przygotowane do próby ognia, zresztą tak właśnie się w „Konflikcie" dzieje: popełniają wszelkie możliwe błędy dopóty, dopóki nie zaczną powoli dorastać do swoich obowiązków (nie wszyscy, nie wszyscy). Gorzej, że równie nieprzygotowani są ich przełożeni. Ponury doświadczony wojak (m.in. Afganistan) kpt. Rami Ohrankämmen nagle okazuje się miękki jak masło, bo w odciętym od świata Hanko znajdują się jego córka oraz była żona. Podoficerowie mają problem z wykonywaniem rozkazów (a czasem z ich rozumieniem) i w ogóle za często fińska armia wygląda jak klub dyskusyjny, a nie jak sprawne narzędzie obrony kraju.

Jeszcze gorzej jest na szczytach władzy. Prezydent Finlandii Linnea Saaristo jest popularna w mediach społecznościowych (i na nich się zna), ale doświadczenia, jeśli idzie o kryzysy, jej brak. Kopie pod nią dołki premier, zakochany w sobie osobnik w stylu Sikorskiego, niejaki Kai Laavakuru, który patrzy na panią prezydent z góry (i z zazdrością), bo niegdyś była jego asystentką, a teraz przeskoczyła go w hierarchii. Mamy też problem podziału kompetencji: w Finlandii prezydent odgrywa rolę głównie ceremonialną, ale podczas wojny zastępuje premiera jako zwierzchnik sił zbrojnych. Tylko czy zaatakowana przez zielone ludziki Finlandia jest w stanie wojny? Najbiedniejszy jest w tym galimatiasie generał dowodzący fińską armią, który słyszy na zmianę rozmaite polecenia, a to od prezydent, a to od premiera, przy czym oboje zastrzegają, żeby nie mówić o tym drugiemu z nich.

eprasa.pl 8e76e32ead



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

No właśnie: Czy to jest wojna? Wątły ruch oporu, który samorzutnie organizuje się w miasteczku Hanko, nie ma wątpliwości, że to wojna hybrydowa. Wysocy urzędnicy w Helsinkach też rzucają w siebie zdaniami typu: „Przecież dobrze wiecie, kto zaatakował". Jednak oficjalnie nie można tego powiedzieć, nawet kiedy członkini ruchu oporu wdaje się w wymianę zdań z przywiezioną przez najeźdźców „reporterką" i odkrywa, że tamta mówi płynnie po rosyjsku. W drugim odcinku na nabrzeżu portu w Hanko ląduje bateria rakiet S-400, wiemy też, że spadochroniarze skakali nad Finlandią z pokładu samolotu rzekomo cywilnego, który leciał z Królewca do Murmańska, a sprzęt i piechurów przywiózł statek rzekomo handlowy, pływający pod banderą wenezuelską. Nie trzeba być geniuszem, żeby połączyć kropki: to na pewno nie Węgrzy, Turcy ani ISIS (choć kto wie, może gdyby w serialu występowała Angela Merkel, to powiedziałaby, że na pewno Polacy).

Okupanci zachowują się sprytnie: nawołują do zachowania spokoju, część mieszkańców wypuszczają z półwyspu, uruchamiają własne media podszywające się pod fińskie i wypełniają je fake newsami. Dopiero po pewnym czasie okazuje się, że zarówno pojmani fińscy żołnierze, jak i policjanci są na równi z cywilami zakładnikami, których los rozstrzygnie się w chwili, gdy Helsinki zdecydują: spełnić żądania najeźdźców czy nie.

Sytuację komplikuje to, że na świecie trwa jednocześnie inny poważny kryzys: uwaga Ameryki skoncentrowana jest na Pacyfiku, nikt nie zamierza w związku z tym ginąć za Helsinki, a już na pewno nie za półwysep Hanko. Amerykańska strona naciska, by nie uruchamiać art. 5 NATO, a w samym jądrze władzy Finlandii powstaje ostry spór. Pani prezydent opowiada się za działaniami radykalnymi, pan premier za wszelką cenę chce negocjować. „Jak można negocjować z najeźdźcami?" – pyta pani prezydent. Oczywiście wszyscy powołują się na troskę o przyszłość Finlandii. W tle mamy jeszcze miejscowych posłów i innych ministrów, którzy zazwyczaj nie budzą ani zaufania, ani sympatii. Być może powierzylibyśmy przecinanie wstęgi podczas uroczystego otwarcia nowego przedszkola, ale już w słowa, które wypowiedzą podczas przemówienia z tej okazji, raczej nie wierzylibyśmy ani przez chwilę.

Przyznam szczerze: jeśli tak właśnie Finlandia i reszta Europy przygotowane są do wojny hybrydowej, to nie pozostaje nam nic innego, jak zawczasu zgasić światło, przerobić czołgi na żyletki, bo i tak się do niczego nie przydadzą, no i wywiesić na rogatkach miast plakaty: „Towarzyszu Putin, witajcie". Śmiem jednak twierdzić, że właśnie taki był zamiar twórców serialu „Konflikt": potrząsnąć, otrzeźwić, przerazić. Pewne kwestie są w pełni zrozumiałe jedynie dla samych Finów. Zachowawczy i kompromisowy premier to symbol starej Finlandii, tej z czasów polityki finlandyzacji, czyli uległości wobec Związku Sowieckiego. Pan prezydent to nowe pokolenie i nowy typ polityki: nie, nie będziemy się za wszelką cenę układać. Oddaje to zmianę, która zaszła w nastawieniu Finów po rosyjskich agresjach z lat 2014 i 2022. Jej owocem są nie tylko poważne inwestycje w armię i samoobronę, lecz także budowa nowych zasieków na granicy z Rosją oraz członkostwo w NATO.

LĘKI POLAKÓW

Zaczyna się źle, a będzie gorzej. Nie będę ujawniał za wiele. Dopowiem tylko, że po emocjonującym początku odcinek drugi i trzeci nieco grzęzną w dłużyznach, ale potem rzecz się rozkręca. Robota aktorska jest najwyżej przyzwoita, zdjęcia też na poziomie telewizyjnej średniej. Najbardziej znana polskiemu widzowi twarz to kpt. Rami Ohrankämmen, bo gra go Peter Franzén, którego pamiętamy choćby z serialu „Wikingowie", w którym grał Haralda Pięknowłosego. Jest stylistyczne i koncepcyjne pęknięcie w tej opowieści, twórcy „Konfliktu" nie mogli się zdecydować, czy robią rzewną opowieść o relacjach międzyludzkich. Z jednej strony każdy dostaje obowiązkowo w ramach budowania motywacji jakiegoś członka rodziny lub byłego kochanka, o których okrutnie się martwi, z drugiej – najbardziej emocjonujące są wcale nie te łzawe chwile, lecz momenty, gdy narracja przybiera charakter paradokumentalny. Więcej Toma Clancy'ego, mniej melodramy, chciałoby się zawołać.

„Konflikt" mimo wszystkich wad idealnie wpisuje się w swój czas, bo oddaje lęki Finów, Bałtów, Polaków, Mołdawian i Rumunów. Zbyt często kraje i narody tej części Europy poświęcane były w imię interesów potęg. Za często słyszeliśmy, że nie powinniśmy wierzgać, gdy nas krają, przecież to tylko kawałek, w dodatku mało potrzebny i nam, i reszcie cywilizowanego świata. Lekcja jest oczywista: ceną wolności jest wieczne czuwanie, nikt nie będzie bronił naszej wolności, jeśli my sami tego nie będziemy robić. Pakty paktami, sojusze sojuszami, ale bez Polaków pragnących bronić Polski, to znaczy przepraszam: bez Finów pragnących naprawdę bronić Finlandii i poświęcić swoje wysiłek, zdrowie, czasem życie, wojny są już przegrane. I te tradycyjne, i tym bardziej hybrydowe. Tymczasem nikt nie jest na to gotowy: ani rekruci, ani oficerowie, ani premierzy, ani prezydenci. Serial nosi tytuł „Konflikt", ale powinien nazywać się „Bezradność".



REŻ. AKU LOUHIMIES „KONFLIKT" FINLANDIA, USA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Miękki twardziel



★★★★★★

REŻ. SHANE BLACK
„NIECZYSTA GRA”
USA 2025

wyst. Mark Wahlberg, Rosa Salazar, Tony Shalhoub

Powieści Donalda D. Westlake'a o Parkerze nigdy nie były w Polsce popularne, ale znamy ich rozmaite filmowe adaptacje, od symbolicznej i brutalnej („Zbieg z Alcatraz” Johna Boormana z 1967 r.) do niezbyt mądrej i nudnej („Parker” z Jasonem Stathamem, rok 2013). Shane Black, twórca m.in. serii „Zabójcza broń”, dał włamywaczowi o twardym sercu twarz Marka Wahlberga, co umiarkowanie pasuje do postaci. Parker to gość bez skrupułów, Wahlberg ma charyzmę zagubionego ojca rodziny.

Fabuła dotyczy trzech skoków – w jednym Parker zostaje okpiony przez wspólniczkę, drugi ma przynieść fortunę, a trzeci… cóż, to zostawmy, by nie zdradzać szczegółów. Tak jak było u Westlake'a, Parker chce się mścić na tych, którzy weszli mu w drogę, a zabijanie przychodzi mu lekko niczym wyrzucanie gazety do kosza. To samo dotyczy antagonistki, kilerki z fikcyjnego latynoskiego kraju, która morduje i kradnie równie skutecznie, tyle że podobno w słusznej sprawie. Do tego dochodzi nowojorska organizacja przestępcza, której Parker nadepnął na odcisk i która na niego poluje; świetnie w roli jej szefa wypada Tony Shalhoub (niegdyś detektyw Monk).

Fabuła jest wartka, seans mija bezboleśnie i widzowie chyba są zadowoleni, skoro od razu po premierze film stał się najchętniej oglądaną premierą serwisu Amazon, ale nie unieważnia to kłopotów z „Parkerem”. Shane Black wciąż pisze świetne dialogi i ma talent do tworzenia postaci drugo- czy nawet trzecioplanowych, lecz tym razem najbardziej kuleje to, co na pierwszym planie. Bohaterowie nie są ani na tyle sympatyczni, byśmy chcieli w nich emocjonalnie zainwestować, ani na tyle sprytni i oryginalni, byśmy chcieli ich podziwiać. Greps z małym skokiem dokonywanym, by przeprowadzić duży skok, też widzieliśmy wiele razy – ostatnio w średnio udanej komedii „The Pickup” (też z Amazona), tyle że piękną przestępczynię tam grała Keke Palmer, a tu dostajemy Rosę Salazar.

Przyzwyczajajmy się, takie właśnie są hity ery streamingu sterowanego przez AI: nijakie, wtórne, do szybkiego zapomnienia. Nawet starzy hollywoodzcy wyjadacze, jak Shane Black, przegrywają z nimi bitwę. ©℗

GRA TYGODNIA: „EA SPORTS FC 26”

Najnowsza odsłona „FC” jest szybsza i pozwala na większą swobodę w konstruowaniu akcji, zabawie z piłką, dryblingu, ale nie wybacza błędów w obronie. Teraz trzeba bardziej liczyć na własne umiejętności, AI nie zrobi za nas tak wiele, jak w poprzednich edycjach. Dla osób tęskniących za „PES-em” jest tryb realistyczny, wolniejszy i bardziej symulacyjny. Ale dostępny dla graczy singlowych. EA obiecało przyhamowanie z wydawaniem kart specjalnych w trybie Ultimate Team i jeśli faktycznie dotrzyma słowa, to



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

„FC 26” ma szansę dobrze zapisać się w pamięci graczy. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***sportowa***
- ***Platforma:*** ***wszystkie***
- ***Producent, wydawca:*** ***EA Sports; Electronic Arts Inc.***

eprasa.pl 8e76e32ead

Krew na klawiszach

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. MICHAŁ KWIECIŃSKI
„CHOPIN, CHOPIN!"
POLSKA 2025

wyst. Eryk Kulm, Victor Meutelet, Joséphine de la Baume

Pierwszy polski film o Chopinie był pompatyczny, drugi artystowski, trzeci błahy. Czwarty jest benefisem Eryka Kulma. Pozostali aktorzy nie mają tu zgoła nic do zagrania. To konsekwencja przyjętego przez scenarzystę założenia, że wszyscy ludzie, których Fryderyk w życiu spotkał, byli co najwyżej przeciętni. Ot, epizodyści, satelity oślepione blasku geniusza. Weźmy takiego Liszta: pianista wirtuoz, okaz zdrowia i urody, lecz w gruncie rzeczy chłystek, mierny kompozytor daremnie próbujący nadążyć za myślą Chopina. Przyjaciele Węgrzy z pewnością będą pod wrażeniem. George Sand? Zaborczy babsztyl, podobno pisarka. Delfina Potocka? Puszczalska. O tym, że miała też inne talenty, z filmu Michała Kwiecińskiego się nie dowiesz. Najłatwiej bowiem wykreować wybitną postać, pomniejszając jej otoczenie. Delacroix? Zniknął w tłumie.

Gdy aktorzy są elementem dekoracji, trudniej docenić pracę scenografów, ale grzechem byłoby nie wspomnieć, że plenery, wnętrza i kostiumy cieszą oczy. Bordeaux wygląda prawie jak Paryż. Majorka to naprawdę Majorka. 70 mln wydanych złotych widać na ekranie.

Początek jest obiecujący. Frycek tryska energią, imprezuje, wygłupia się, opowiada mało śmieszne dowcipy. Jest sławny, tylko nad Sekwaną ma 2 tys. przyjaciół. Oblegany przez fanki chce się ożenić. Jak to suchotnik. Po usłyszeniu fatalnej diagnozy Chopin nadrabia miną i nadal szczerzy zęby w amerykańskim uśmiechu. Potwierdzając reputację dandysa, wydaje górę franków na ciuchy („proszę 30 par białych rękawiczek") i luksusowe wyposażenie apartamentu. Autor „Etiudy rewolucyjnej" podobnie jak Filip z „Filipa" jest wielkim udawaczem. Eryk Kulm nie musiał więc budować postaci całkiem od zera. Poćwiczyć francuszczyznę i grę na fortepianie, unikać romantycznych póz tudzież pomnikowych gestów, umierać na ekranie z godnością. Przebodźcowana generacja Z może kupi takiego bohatera. Niestety, fabuła z każdą minutą traci energię, zamienia się w mechaniczne odhaczanie kolejnych biograficznych faktów i anegdot. „Amadeusz" wydobył z zapomnienia opery Salieriego. Muzyka Mozarta, Beethovena i Chopina filmowego koła ratunkowego nie potrzebuje. Jeszcze.

© ℗ ***Wiesław Chełminiak***

WEWNĘTRZNE DZIECKO

Odmówił reżyserowania takich filmów jak „Harry Potter", „Forrest Gump" i „Braveheart". Wariat? Nie, Terry Gilliam. Chciałby jeszcze nakręcić własną wersję Apokalipsy (z diabłem jako adwokatem ludzkości), ale w listopadzie obchodzi 84. urodziny i brak mu sił na walkę z producentami. Pora więc na résumé kariery jankesa z urodzenia, lecz Brytyjczyka z wyboru (i poczucia humoru). Gilliam, niesiony dziecięcą wyobraźnią, zawsze mierzył siły na zamiary. Między innymi dlatego uchodzi za twórcę kultowego, choć spory, czy najbliżej ideału jest debiutancki „Jabberwocky" czy oscarowe „12 małp", trwają. Mój faworyt, „Brazil", został zbanowany w USA z powodu smutnego finału. Francuski dokument ma formę równie ekstrawagancką jak filmy Gilliama. Gorzej z treścią: brak w nim nowych informacji. © ℗

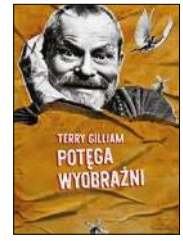

HBO max

★★★☆☆☆

REŻ. BENJAMIN CLAVEL
„TERRY GILLIAM: POTĘGA WYOBRAŹNI" („LE CINÉMA DE TERRY GILLIAM: L'IMAGINATION AU POUVOIR")
FRANCJA 2024



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Beksiński w Cytadeli Warszawskiej

GDZIE? ***Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie***
KIEDY? ***do 31 stycznia 2026 r.***

Ponad 50 prac Zdzisława Beksińskiego z 10 muzeów oraz z prywatnych kolekcji składa się na wystawę przygotowaną przez Fundację Beksiński we współpracy z Muzeum Historycznym w Sanoku, a eksponowaną w nowej siedzibie Muzeum Wojska Polskiego w Cytadeli Warszawskiej. Dzieła malarskie, rysunki, fotografie i grafiki uzupełniają multimedia: projekcje, animacje, obrazy w 3D i doświadczenia VR.



FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Zebrane na wystawie prace Zdzisława Beksińskiego w większości pokazane są w Warszawie po raz pierwszy. Podzielono je na dwie części. Pierwsza obejmuje okres sanocki, czyli prace tworzone w pracowni w Sanoku w latach 60. i 70. Na część drugą składa się twórczość nieco późniejsza – od 1977 r. do wczesnych lat 90., gdy artysta mieszkał już w stolicy. Twórczość Beksińskiego z tych okresów jest mniej znana, bo rzadziej eksponowana niż późniejsze prace. © ℗

eprasa.pl 8e76e32ead

MOJA PÓŁKA

Nobel mówi po węgiersku

László Krasznahorkai został laureatem Literackiej Nagrody Nobla jako drugi, po Imre Kerteszu, Węgier w historii tego najwyższego pisarskiego wyróżnienia. Otrzymał je – jak głosi uzasadnienie – za „fascynującą i wizjonerską twórczość, która w obliczu apokaliptycznego terroru potwierdza siłę sztuki".

W 2004 r. poznałem tego znakomitego prozaika i wyjątkowo interesującego człowieka. Wydawnictwo W.A.B. wydało właśnie, 19 lat po węgierskiej premierze, jego powieść „Szatańskie tango". Jej edycja w ojczyźnie pisarza była dużym wydarzeniem, autor uchodził bowiem wtedy za absolutnie niecenzuralnego. A wzięło się to z tego, że – jak mi wyjaśniał w wywiadzie przeprowadzanym dla „Rzeczpospolitej" – w jakimś artykule o pewnym węgierskim poecie użył wyrażenia „bezczeszczona ojczyzna". Efekt był natychmiastowy. Odtąd – tłumaczył – „paszport mogłem sobie narysować… Przede mną były zamknięte drzwi z zepsutym zamkiem i klamką. Nie było sensu szukać klucza".

Kiedy komuna chylić się zaczęła ku upadkowi, znalazł się wytrych. W 1987 r. Krasznahorkai wyjechał wreszcie na Zachód, na stypendium do Berlina Zachodniego. Znalazł się tam w towarzystwie Allena Ginsberga, Jima Jarmuscha czy Wima Wendersa. A kiedy po roku wracał na Węgry, zobaczył – jak opowiadał – „strażnika siedzącego jak amerykańscy żołnierze na filmach – z nogami na stole. Pomyślałem: O, idą zmiany".

Wcześniej, między ukończeniem studiów a wyjazdem na Zachód, zmienił w swoim życiu wszystko. „Przenosiłem się z miejsca na miejsce, przemieszczałem z jednej wsi do drugiej. Musiałem pracować, bo konieczny był w dowodzie wpis o zatrudnieniu. Pracowałem więc jako stajenny, oborowy – zresztą bardzo lubiłem zwierzęta – jako nocny stróż, górnik, oświatowiec w wiejskim domu kultury. Imałem się najróżniejszych zajęć, aż dostałem pracę w mieście, w bibliotece pewnego wydawnictwa. Pracy miałem na dwie godziny dziennie, ale siedzieć trzeba było osiem godzin, więc siedziałem, czytając zagraniczne pisma o książkach. To była idealna praca, przy której czułem się niczym Faulkner w burdelu".

W „Szatańskim tangu", które, już po upadku komuny, zekranizował w siedmiogodzinnym (!) filmie Béla Tarr, przedstawił obraz węgierskiej rzeczywistości będący zarazem studium mechanizmów poddaństwa i manipulacji. „Swojej książki na pewno nie pisałem z inspiracji politycznej, a polityczną była o tyle, o ile sądziłem, iż nawet jedno dobre zdanie może zburzyć tamten plugawy system. I chyba miałem rację" – mówił, a w komunizmie najbardziej wstrętne było dla niego „oszukiwanie najbiedniejszych, najuboższych, którym wmawiano, że ten ustrój daje im szansę, tymczasem naprawdę odbierał ostatnią nadzieję".

Cztery lata po „Szatańskim tangu" wydana została „Melancholia sprzeciwu", brawurowa historia biorąca swój początek z przyjazdu do pewnego miasteczka trupy cyrkowej mającej największego w świecie wypchanego wieloryba. Rzecz była wielowarstwowa, a dla polskiego czytelnika atrakcyjna nie tylko dlatego, że przypominała sławnego „Goliata" prezentowanego za komuny pod Halą Mirowską w Warszawie. A potem, w Ameryce (gdzie Krasznahorkai mieszkał u Allena Ginsberga do śmierci autora „Skowytu"), powstała „Wojna i wojna". Wszystkie te książki przetłumaczyła na polski Elżbieta Sobolewska.

Dwukrotnie był nominowany László Krasznahorkai do przyznawanej we Wrocławiu Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus. W 2008 r., gdy nagrodę otrzymał jego rodak Péter Esterházy za powieść „Harmonia caelestis", i w 2012 r., kiedy jury uhonorowało bośniackiego autora Miljenko Jergovica. Ale nagradzany bywał, i to najbardziej prestiżowymi wyróżnieniami, w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, w Niemczech, by nie wspomnieć o ojczyźnie, gdzie już w 2004 r. otrzymał Nagrodę Kossutha.

Przez całe lata ten urodzony w Gyula w 1954 r. pisarz żył poza krajem, obecnie mieszkając w Trieście. W „Rzeczpospolitej" można wyczytać, że dzieje się tak dlatego, gdyż krytykuje on Orbána i jego rządy. I pewnie z tego powodu jest rzekomo „lekceważony w Polsce". Trudno o większy absurd. László Krasznahorkai zmieniał adresy, kraje i kontynenty, i to od dawna. Rzeczywiście, ostatnie jego książki czekają na



FOT. GYULA CZIMBAL/EPA/PAP

polskie wydania; najbliższym będzie pewnie edycja tomu opowiadań „A świat trwa" przygotowywanego przez Czarne.

„Zna pan pewnie pisarstwo Sándora Máraiego? – pytał mnie w trakcie przywoływanego już tutaj wywiadu z roku 2004 (!). – Kiedy byłem młodym człowiekiem, był on dla mnie wzorcem moralnym. Dziś dalej go lubię jako człowieka, jako pisarza mniej. W 1948 r. wyemigrował on z Węgier, mieszkał we Włoszech, potem w USA, w San Diego. Miał 89 lat, gdy popełnił samobójstwo, zastrzelił się w swoim mieszkaniu. Mógł na starość wrócić na Węgry, ale nie wrócił i rozumiem go. Bo on kochał Węgry, które nigdy nie istniały, a taka iluzja – jak wszystkie iluzje – musiała się źle skończyć. Otóż Sándor Márai napisał kiedyś, że w historii istnieją przerwy, w których z otworów kanalizacyjnych wyłażą najgorsze ludzkie męty i to one przejmują władzę. Boję się, że znaleźliśmy się właśnie w takiej historycznej przerwie. O ile to przetrwa".

Gdy pisarz mówił te słowa, kto inny akurat, nie Orbán, sprawował władzę w Budapeszcie. Może więc węgierski noblista też kocha takie Węgry, których nigdy nie było? Co samo w sobie jest piękne. ©℗

Krzysztof Masłoń

eprasa.pl 8e76e32ead



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Prawda i nieprawda

Uznawana jest ta proza za jedno z najważniejszych dokonań amerykańskiej literatury zmagającej się z traumą wojny w Wietnamie, ale tom opowiadań Tima O'Briena to coś więcej. To konkretne miejsce, ta konkretna wojna przestają mieć znaczenie, bo udało się pisarzowi dotrzeć do esencji wojny jako takiej. Nie jest to ani wojna polityków i generałów, ta ze śmiałych przemówień i rozkazów, ani wojna narodów, które są starciem racji historycznych i obaw o przyszłość: kto przetrwa, kto zasługuje, kto zdoła, kto odstraszy, kto da nauczkę, kto podbije… itd.

O'Brien dociera do sedna doświadczenia jednostki sytuacji skrajnej, człowieka postawionego w samym sercu próby o charakterze niszczącym. Kto widział prawdziwą wojnę, zwykle nie chce o niej rozmawiać. „Przybyli tu czyści. Wpadli w gnój i potem już nic nie było takie samo […], niektórzy wychodzą z tego nietknięci, inni wcale nie wychodzą". Kto walczy w wojnie sprawiedliwej, szukać może ratunku w przekonywaniu siebie samego, że wszystko to dzieje się w imię czegoś, że ostatecznie warto. Problem w tym, że niedorostków wrzuconych w piekło Wietnamu nikt za bardzo nie przekonał, że walka, którą toczą, jest słuszna. Najlepsze kawałki prozy o Wietnamie przypominają najlepsze kawałki pisania o pierwszej wojnie światowej – przytłaczają czytelnika nawet nie tyle skalą, ile bezsensem rozgrywającej się wokół tragedii.

Ta tragedia jednocześnie jest fascynująca, bo gdyby tak nie było, to żadnych wojen nie można byłoby prowadzić, bo każdy prędzej czy później porzucałby broń w obliczu tego, co widzi, i wracał do domu. Wojna jest piekłem – pisze O'Brien (z własnego doświadczenia – służył w Wietnamie w latach 1969–1970), ale „to także zagadka, groza, przygoda, odwaga, odkrycia, świętość, współczucie, rozpacz, tęsknota i miłość". Robi z człowieka mężczyznę, robi z człowieka trupa. Jest groteskowa. Jest nudna. Jest fajna. Niszczy. Rozbudza. Może odpowiedź na te sprzeczności znajdziemy w zdaniu „opanowuje człowieka". Jest więc taka, jacy my jesteśmy, na dobre i złe. A jacy jesteśmy – wiadomo. „Uogólniać o wojnie, to jak uogólniać o pokoju. Niemal wszystko jest prawdą. Niemal nic nie jest prawdą". ©℗



★★★★★★

TIM O'BRIEN „TO, CO NIEŚLI" WYDAWNICTWO CZARNE 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Rozmowy z tuzami literackiego reportażu, opowieść, w której przeplatają się słowa Krzysztofa Kąkolewskiego, Hanny Krall i Ryszarda Kapuścińskiego. Plus wywiad Macieja Łopuszyńskiego z Millerem, porządkujący chronologię.

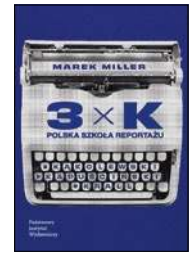

MAREK MILLER „3 X K. POLSKA SZKOŁA REPORTAŻU" PIW

Nie ugiął się przed Napoleonem, wzmocnił autorytet papiestwa, odzyskał utracone tereny Państwa Kościelnego. Zdefiniował papiestwo na kolejny wiek. Francuski historyk kreśli intrygujący portret Barnaby Chiaramontiego.

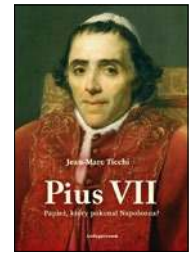

JEAN-MARC TACCHI „PIUS VII" INSTYTUT ANDEGAVENUM

Utopia w kostiumie powieści prehistorycznej: Czy to możliwe, że Stonehenge zbudowano, by zjednoczyć zwaśnione plemiona? Obowiązkowe silne postacie kobiece plus dawka homoerotyzmu. Znamy dużo lepsze powieści Folletta.



KEN FOLLETT „KRĄG CZASU" ALBATROS

Rozbitkowie księżycowego morza czekają na pomoc. Czy odsiecz zdąży na czas? Nieznana dotąd w Polsce powieść klasyka SF z roku 1961. W duchu „Piasków Marsa" – czytana dziś to urocza, ale jednak ramotka. Dla fanów. ©℗ ***Piotr Gociek***



ARTHUR C. CLARKE „KSIĘŻYCOWY PYŁ" REBIS

KOMIKS TYGODNIA:
WIKING, TYRAN I DZIEWCZYNA

Cykl „Thorgal. Saga" rozszerza oryginalną serię i podserie cyklu o dzielnym wikingu, do współpracy zapraszani są znani artyści świata komiksu, by kreować osobne, zamknięte albumy o bohaterze stworzonym przez Grzegorza Rosińskiego i Jeana van Hamme'a. Autorem rysunków do piątego już tomu jest Mohamed Aouamri, znany w Polsce z serii „Saga Valty". ©℗

Piotr Gociek



MOHAMED AOUAMRI, ANTOINE OZANAM „THORGAL SAGA. RUCHOME MIASTO" EGMONT 2025

eprasa.pl 8e76e32ead



Maciej Giertych wprowadzał swego syna, Romana, do świata polityki. Na zdjęciu z 13 czerwca 2003 r. obaj panowie oglądają wyniki głosowań w sprawie wotum zaufania dla rządu Leszka Millera FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Tragizm i komizm losów Giertychów



Jan Fiedorczuk

II RP, PRL i III RP. Jędrzej, Maciej i Roman. W ciągu ostatnich 100 lat próżno szukać rodziny, która byłaby równie żywotnie związana z najnowszą historią Polski jak właśnie Giertychowie. Podobnie jak próżno byłoby szukać drugiej rodziny żyjącej w podobnym stopniu co wymieniona trójka w świecie mitów, fikcji i teorii spiskowych

Każdy z przedstawicieli tych trzech pokoleń był – przynajmniej na jakimś etapie kariery – związany z obozem narodowym, każdy też dokonywał zaskakujących wolt ideowych. Jeżeli porównamy sobie np. Jędrzeja Giertycha, młodego intelektualistę radykała, wychwalającego rządy nazistów w Niemczech, oraz syna Macieja, popierającego wprowadzenie stanu wojennego w 1981 r., a także wnuka, Romana, który obecnie jest podporą li-

eprasa.pl 8e76e32ead

beralno-lewicowego rządu, stawiającego na integrację europejską, to trudno nie doświadczyć dysonansu poznawczego. Jest jednak pewna nić, sposób myślenia, łącząca tę trójkę.

JĘDRZEJ I ŻYDZI

Jędrzej Giertych był jedną z kluczowych postaci obozu narodowego w II RP. Już od najmłodszych lat zaangażowany w walkę niepodległościową – jako 15-letni chłopak pomagał rozbrajać austriackie oddziały w Kielcach, a dwa lata później brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Jędrzej jeszcze pod koniec życia będzie wracał do tych chwil, przekonując w jednej ze swych publikacji, że Piłsudski nawet nie uczestniczył w słynnej batalii: „Jest oczywiste, że Bitwę Warszawską stoczył i wygrał gen. Rozwadowski. Piłsudski uchylił się od udziału w tej bitwie". Jędrzej oskarżał ponadto Marszałka o niszczenie państwa, zdradę i zrzucał na niego odpowiedzialność za klęskę w 1939 r. Niechęć do Piłsudskiego była tak wielka, że uniemożliwiała próbę racjonalnej oceny tej postaci, a zamiast rzetelnej analizy zasług i błędów dostaliśmy obsesyjny pamflet. W tym miejscu zostawmy na chwilę postać Piłsudskiego, wrócimy jeszcze do niego przy osobie Macieja.

W pierwszych latach po przejęciu władzy przez sanację Jędrzej pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, skąd został usunięty w 1932 r. Wtedy też zaangażował się w działalność w obozie narodowym, a po kilku latach został wybrany do władz Stronnictwa Narodowego. To niezwykle dynamiczny okres w historii politycznej Polski, gdy dokonywała się „zmiana warty" – stare pokolenie „profesorów", z takimi nazwiskami jak Rybarski, Grabski czy Seyda, było wypierane przez młodych radykałów. Przede wszystkim jest to jednak czas kryzysu europejskiej demokracji, gdy dyktatura święci triumfy w większości państw Europy. Sam Giertych ulega ówczesnemu Zeitgeistowi. Uczciwość nakazuje przyznać, że Jędrzej nigdy nie był rasistą ani zwolennikiem totalitaryzmu – był raczej dzieckiem swoich czasów, które znamionował autorytaryzm w całej Europie (nawet w jego własnym państwie rządził, jak pisał, „dyktator samozwaniec"). Warto pamiętać, że jeszcze przed wybuchem wojny Giertych korygował swe oceny, wskazując, że nazizm to system, który „zwyciężył przez kłamstwo i fałsz, niosąc terror, niewolę i bezprawie".

Walka ze „starym systemem", którego jedną podporą miała być masoneria, a drugą Żydzi, była jednym z najważniejszych elementów światopoglądu Jędrzeja. To myśl przejęta zapewne od Dmowskiego, ale zradykalizowana i doprowadzona do pewnego ekstremum. W latach 30. Giertych był jednym z największych popularyzatorów spiskowej teorii dziejów, dopatrując się zakulisowych machinacji za większością doniosłych wydarzeń w historii Polski. Jak wskazuje w jednej ze swych prac, „współczesność zdominowana jest przez fałszywą narrację historyczną serwowaną nam co najmniej od XVIII w.". Zgodnie z tym podejściem za upadek potęgi Rzeczypospolitej, a następnie rozbiory odpowiadały tajne organizacje, w tym czeski emigrant Jan Ámos Komenský, który miał być protoplastą masonerii. Z kolei powstanie styczniowe miało być wywołane z inspiracji Bismarcka, a zamach majowy Piłsudskiego „doszedł do skutku dzięki zakulisowemu poparciu Wielkiej Brytanii i został przez tę ostatnią zainicjowany i sfinansowany". Rządy sanacji były w tej teorii spiskowej utrzymywane poprzez wsparcie środowisk żydowskich. W „Tragizmie losów Polski", swojej bodaj najsłynniejszej pracy, Giertych, analizując sytuację polityczną, pisał: „Po jednej stronie stoi obóz narodowy. Po drugiej stronie stoją żydzi – oraz ci wszyscy, którzy swoją siłę i znaczenie czerpią z żydowskiego poparcia, a których istotną rolą jest służenie żydom za parawanem".

W tej wizji to nie obóz narodowy popełniał błędy, to nawet nie dyktatura była zaporą do przejęcia władzy, tylko właśnie Żydzi stojący za Piłsudskim i jego ludźmi. Tezy Giertycha były szeroko komentowane, jednak kto wie, czy nie przysporzyły mu większej liczby przeciwników niż apologetów. Spiskowy charakter jego narracji był krytykowany nawet w części organizacji narodowych. Wojciech Wasiutyński, polityk ONR-Falanga oraz publicysta m.in. „Prosto z Mostu", opublikował głośny artykuł „Tragizm i komizm książki Giertycha", w którym krytykował Jędrzeja za absurdalny monokauzalizm, sprowadzający całość polskich problemów do zagadnienia Żydów i masonów. „W okresie odbudowy państwa i w początkach jego niepodległości byli wedle Giertycha tylko żydzi, masoni i Dmowski" – drwił młody działacz ONR.

Jak po latach wspominała córka Jędrzeja Giertycha, jej ojciec był przekonany, że większość istotnych wydarzeń, które miały miejsce w historii, była po kryjomu projektowana: „Był pewny, że tajne organizacje i tajne ekspozytury sił politycznych próbowały manipulować narodami dla własnych celów". Ta szczera ocena jest pomocna w zrozumieniu nie tylko postawy Jędrzeja, lecz także jego syna i wnuka – Macieja i Romana.

MACIEJ I MASONI

Nie mniej zajmującą postacią okazuje się być syn Jędrzeja Giertycha – Maciej. Absolwent Oksfordu, profesor nauk leśnych, autor ponad 200 publikacji naukowych poświęconych dendrologii, a jednocześnie aktywny polityk i kontynuator swego ojca – założyciel, poseł, a następnie europoseł Ligi Polskich Rodzin oraz pracowity publicysta samodzielnie redagujący m.in. pismo „Opoka w Kraju".

Jednym z najbardziej oczywistych nawiązań do twórczości ojca są prace Macieja Giertycha poświęcone „mitowi Piłsudskiego". Na ten temat opublikował on dwie książki oraz wiele pomniejszych artykułów. Nawet w jednym z ostatnich numerów „Opoki…" Giertych opisuje choćby list, w którym pojawia się plotka, jakoby w trumnie Piłsudskiego miała znajdować się tabliczka „Wielkiemu Synowi Narodu Wybranego Szlomie Zelmanowi Naczelna Władza Izraela na pamiątkę. Śmierć jego będzie pomszczona na gojach". Sam Giertych dodaje, że nie wie, na ile te informacje są prawdziwe, ale można te doniesienia sprawdzić po otwarciu trumny (sic!).

Kolejnym tropem podejmowanym przez niego ze szczególną determinacją jest wątek masoński, który Giertych łączy m.in. z powstaniem Unii Europejskiej. Marginalizuje on tutaj faktycznych decydentów, którzy mieli realny wpływ na to, w którym kierunku ewoluowała Europa (Adenauera, Schumana, legion chadeków i socjaldemokratów, rządy narodowe), a wyolbrzymia wpływ zakulisowych spisków i tajemnych grup. W jednym z artykułów stwierdza:

„To nie jest chadecki pomysł. UE ma zupełnie inny rodowód. Niemiecki, ale też masoński. Może warto przypomnieć, że w dniach 28–30.06.1917 r., w siedzibie

eprasa.pl 8e76e32ead

Grand Orientu w Paryżu, odbyła się wielka międzynarodowa konferencja z udziałem lóż masońskich Francji, USA, Włoch, Belgii, Serbii i wielu innych krajów, ale bez udziału Anglii [...]. Przede wszystkim zajmowano się konstytucją Ligi Narodów. Ustalono, że skoro Niemcom nie udało się zjednoczyć Europy, to trzeba powołać Federację Stanów Zjednoczonych Europy".

W serii publikacji Maciej Giertych rozwodzi się nad relacjami między Brukselą a masonerią, skupiając się np. na listach, jakie od masonerii mieli otrzymywać europosłowie, ale jednocześnie pomijając oficjalne instytucje i marginalizując znaczenie faktycznych decydentów z państw członkowskich. Unia Europejska w tej narracji przestaje być tworem politycznym niosącym szanse i zagrożenia, a staje się narzędziem w rękach tajnych, antypolskich organizacji, wielką organizacją, w której – jak stwierdza w jednym z felietonów – „faktycznie hołduje się okultyzmowi, czyli religii Szatana".

Jest coś łączącego Romana Giertycha z ojcem i dziadkiem. To ta sama fascynacja spiskami i zakulisowymi machinacjami, które mają rządzić prawdziwą polityką. Rolę współczesnych masonów i Żydów przejęli po prostu PiS-owcy, których macki oplotły Polskę

Najbardziej znany jest jednak Maciej Giertych ze słynnej sprawy „dewolucji" i prób obalenia teorii ewolucji Karola Darwina oraz popularyzacji teorii tzw. młodej Ziemi, zgodnie z którą nasza planeta miała powstać ok. 6 tys. lat temu. Potwierdzeniem tej tezy miały być m.in. doniesienia o potworze z Loch Ness oraz Smoku Wawelskim, które potraktowane zostały jako pośrednie dowody na to, że ludzie żyli w czasach dinozaurów. „Badania pokazują, że dinozaury były współczesne ludziom. Ze wszystkich kultur docierają informacje, że je pamiętamy. Szkoci – potwora z Loch Ness, my – Smoka Wawelskiego, a Marco Polo pisał, że smok był zaprzężony do karety cesarskiej w Chinach" – przekonywał. Niecałą dekadę temu wydał nawet książkę „Ewolucja. Dewolucja. Nauka" poświęconą tej tematyce.

Na marginesie warto jedynie zauważyć, jak daleko epigoni Dmowskiego oddalili się od swego mistrza, który – jako biolog, fascynat i popularyzator nauk Darwina – zapewne z zaskoczeniem obserwowałby poważną dyskusję swych spadkobierców na temat Smoka Wawelskiego. Ale z drugiej strony syn Macieja, Roman, już całe lata temu zadeklarował, że gdyby Dmowski żył dzisiaj, to nie zostałby przyjęty do Ligi Polskich Rodzin.

ROMAN I PIS-OWCY

To właśnie Maciej Giertych wprowadzał swego syna do świata polityki. W czasach, gdy ojciec był przewodniczącym Rady Naczelnej reaktywowanego w III RP Stronnictwa Narodowego, to Roman piastował funkcję wiceprezesa. Jeszcze istotniejszy okazał się autorytet jego dziadka, Jędrzeja, który torował mu drogę do władzy i budowy pozycji niekwestionowanego lidera polskich nacjonalistów. Jak powiedział mi jeden z działaczy narodowych, Jędrzej uchodził za najwybitniejszego ucznia Dmowskiego, przez co te dwie dekady temu dla działaczy Młodzieży Wszechpolskiej Roman Giertych zyskiwał niejako nimb spadkobiercy samego Dmowskiego.

Wbrew pozorom obu epigonów endeckiej myśli sporo różniło. Maciej Giertych nigdy nie był politykiem wielkiego formatu, raczej ocierał się o ten świat, niż był jego kreatorem. Roman z kolei, gdy tylko zobaczył szansę na zaistnienie na wielkiej scenie, zaczął wyciszać co bardziej kontrowersyjne tematy oraz unikać wypowiedzi, które mogłyby mu zaszkodzić. W jego przypadku nie usłyszymy o masonach, których losy śledził z zapałem jego ojciec, a Żydów – których z kolei nienawidził jego dziadek – Roman deklaruje, że lubi. I to lubi na tyle, że gdy Maciej perorował o fałszywych oskarżeniach pod adresem Polaków dotyczących współudziału w mordzie kilkuset Żydów, to Roman jeździł do Jedwabnego, by oddać hołd pomordowanym. – Nie we wszystkim się z moim tatą zgadzam. Ja go bardzo kocham i szanuję. Jest prawym człowiekiem, ale nie mamy takich samych poglądów w każdej sprawie – tłumaczył przed laty w rozmowie z Onetem.

A jednak jest coś łączącego go z ojcem i dziadkiem. To ta sama fascynacja spiskami i zakulisowymi machinacjami, które mają rządzić prawdziwą polityką. Rolę współczesnych masonów i Żydów przejęli po prostu PiS-owcy, których macki oplotły Polskę. W ostatnim czasie widzieliśmy to zjawisko na przykładzie wyborów prezydenckich, które rzekomo miały być fałszowane. Zauważmy, że byłby to zapewne pierwszy przypadek w historii, gdy wybory prezydenckie zostały sfałszowane przez polityków opozycji. Jego insynuacje, jakoby obwodowe komisje wyborcze miały zostać „nielegalnie przejęte przez ludzi typu pana Olszańskiego z jakichś braci kamraci", były już na tyle kuriozalne, że od posła KO zaczęli odcinać się nawet dziennikarze z Onetu i „Newsweeka".

Zaskakujących teorii Giertycha dotyczących niecnych, zakulisowych działań Jarosława Kaczyńskiego było sporo, jednak palma pierwszeństwa należy się opowieści na temat rzekomych planów rozbioru Ukrainy. Wkrótce po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji mecenas zaczął propagować tę teorię w mediach społecznościowych, przekonując, że „szykowano nam zdradę stulecia". Giertych komentował w ten sposób zaproponowaną przez Kaczyńskiego misję pokojową NATO na Ukrainie, która miała doprowadzić do wejścia polskiego wojska na tereny zachodniej Ukrainy i dokonania przez Polskę, Rosję i Węgry rozbiorów kraju. Jak tłumaczył Giertych, w wyniku tego spisku „Kaczyński z triumfem objąłby Lwów i jako zbawca Ukraińców oraz wskrzesiciel potęgi Polski mógłby liczyć na rządy absolutne". W gruncie rzeczy to jest dokładnie ten sam typ myślenia, który jego dziadek stosował wobec Żydów, tylko przeniesiony na współczesne warunki polityczne – są tylko dwa obozy, nasz (demokratyczny) oraz ich (PiS-owski).

PiS-owcy w świecie Giertycha przypominają tego słynnego kawałowego Żyda czytającego „Der Stürmer", który na pytanie rodaka, dlaczego przegląda antysemicką propagandówkę, odpowiada: „Jak czytam nasze gazety, to tylko pogromy i antysemityzm. A jak czytam »Der Stürmer«, to od razu: Żydzi opanowali banki! Żydzi rządzą światem! Aż przyjemnie się to czyta!". Gdybym był PiS-owcem, codziennie czytałbym tweety Romana Giertycha.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 8e76e32ead

Wykastrowana cywilizacja



Filip Memches

Męskość jest w świetle egalitaryzmu kamieniem obrazy. Poza tym w oczach progresistów dekonstruujących opresyjne struktury społeczne stanowi ona narzędzie władzy i – choćby zawoalowanej – przemocy



FOT. ADOBE STOCK

Amerykańskie siły zbrojne będą wolne od lewicowych pomysłów ideologicznych, które serwował Biały Dom za prezydentury Joe Bidena. To pokłosie podjętego już wcześniej przez administrację Donalda Trumpa odwrotu od wokeizmu – nurtu politycznego wymierzonego w konserwatywną część społeczeństwa USA i hołubiącego wszelkie „uciśnione" mniejszości (cokolwiek to znaczy, bo chodzi przecież też o tak liczną grupę jak kobiety). Ostatnio w tej sprawie sporo szumu narobiło wystąpienie szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha. Na ten temat można przeczytać obszerny tekst Jacka Przybylskiego w poprzednim numerze „Do Rzeczy" (nr 41/2025) pod wymownym tytułem „Kontrrewolucja w armii USA: koniec z urojeniami".

Warto jednak temu, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, przyjrzeć się z dużo szerszej perspektywy. Wojny kulturowe w USA nie zaczęły się wraz z pierwszą kadencją Trumpa, kiedy mocno zarysował się konflikt między antyglobalistyczną i suwerenistyczną prawicą, występującą pod hasłem „Make America Great Again", a radykalną lewicą, odwołującą się do feminizmu i genderyzmu oraz flirtującą z takimi „antyrasistowskimi" ruchami jak Black Lives Matter. Zanim wokeizm trafił na polityczne salony liberałów ze Wschodniego Wybrzeża, cywilizacja zachodnia przebyła długą drogę naznaczoną głębokimi zmianami społecznymi i kulturowymi. O nich traktuje książka „Męskość" autorstwa amerykańskiego myśliciela Harveya C. Mansfielda.

To ważna, choć bardzo politycznie niepoprawna pozycja, ponieważ uświadamia, jaka jest naprawdę stawka toczących się w krajach zachodnich wojen kulturowych. Przenikliwie demaskuje polityczne i filozoficzne teorie emancypacyjne, których wdrażanie osłabia Zachód od wewnątrz i w efekcie prowadzi do tego, że takie państwa jak Stany Zjednoczone tracą militarnie w globalnym układzie sił.

POSTAWA ZDOBYWCY

„Męskość" ukazała się w USA w roku 2006 (polski przekład Elizy Litak jest z 2023 r.), a więc jeszcze przed epoką Trumpa. Mansfield był przez wiele lat profesorem nauk politycznych na Uniwersytecie Harvarda. Dziś liczy sobie 93 lata. Znaczący wpływ na niego wywarł Leo Strauss. Pod kierunkiem tego znanego filozofa Mansfield uzyskał doktorat. A dla Straussa kluczowym punktem odniesienia były klasyczne teksty starożytnych Greków. One również inspirują Mansfielda (o czym będzie jeszcze mowa).

Główna diagnoza postawiona w książce brzmi: zasadniczą tendencją polityczną i kulturową nowożytności stał się egalitaryzm. Koliduje z nią zaś wzorzec społeczny, który Mansfield określa terminem „męskość". Oznacza on postawę zdobywcy. Z nią zaś łączy się waleczność, czyli chęć zwyciężania w rywalizacjach. A ktoś, kto wygrywa jakieś starcie, staje się przecież lepszy od tego, który je przegrywa – między nimi nie ma równości. Męskość oznacza także dążenie do wybijania się ponad przeciętność.

Czy w takim razie dla kontrastu kobiecość jest równoznaczna nie tylko z łagodnością (co byłoby jeszcze stwierdzeniem i banalnym, i do pewnego stopnia niekontrowersyjnym), lecz także po prostu z brakiem wszelkich ambicji, pospolitością, uniżonością? Argumenty Mansfielda nasuwają zakrawającą na skandal odpowiedź: tak.

Egalitaryzm stanowi podstawę tego, co autor „Męskości" nazywa „społeczeń-

eprasa.pl 8e76e32ead

stwem neutralnym płciowo". Mansfield konstatuje, że funkcje społeczne, które w tradycyjnej wspólnocie przypisane były do każdej z dwóch płci, zostały uznane za przejawy z jednej strony faworyzowania mężczyzn, a z drugiej – dyskryminacji kobiet. Naprawić ten stan rzeczy miało zaś wywalczone przez ruchy emancypacyjne równouprawnienie. Tyle że nie dowartościowało ono kobiet w ich kobiecości, lecz zaczęło zacierać różnice między płciami. Równouprawnienie doprowadziło do tego, że kobiety podjęły konkurencję z mężczyznami na tych polach, które były wcześniej domeną panów. Przede wszystkim do pań został skierowany przekaz, i znaczący w tym udział miały feministki, że aktywność zawodowa jest czymś lepszym niż bycie gospodynią domu, bo daje pieniądze, prestiż i niezależność. Tym samym to, co w tradycyjnej wspólnocie było przypisane do płci żeńskiej, zostało zdeprecjonowane. Paradoksalnie kobiety musiały przyjąć męski punkt widzenia, czyli wartości „patriarchalne" (choć gwoli uczciwości trzeba przyznać, że przedstawicielki kolejnych fal feminizmu dostrzegały ten dysonans poznawczy i się z nim mierzyły).

Przy czym Mansfield zwraca uwagę na to, że wprowadzenie równouprawnienia miało dwie istotne fazy. Pierwszą z nich była działalność rewolucyjna feministek. Wówczas istotna cecha męskości – agresywność – była im potrzebna, ponieważ stanowiła motor ich działalności. W cenie było też posiadanie ideałów. To w imię wyższych racji toczono boje z „patriarchatem". Gdy jednak feministki osiągnęły swoje zasadnicze cele, nastąpił istotny zwrot w zbiorowej świadomości. Nadeszła faza druga. Męskość – choćby i karykaturalna, w służbie feminizmu – stała się czymś mocno problematycznym, bo konfliktogennym, a to jest coś, czego zachodnie społeczeństwa mieszczańskie nie potrzebują. Choć „patriarchatowi" wciąż trzeba było stawiać czoła, to znalazł się on w odwrocie. Dla kobiet nastał czas robienia karier, kontynuacja działalności wywrotowej była już zbędna. Tak więc za równouprawnieniem przestała się kryć pasja rewolucyjna, jego utrwalanie wkomponowało się w mieszczańską prozę życia.

Ktoś może zaoponować, że w tych rozważaniach dają o sobie znać straszliwe stereotypy, które zaprzeczają rzeczywistości. Przecież nie ma nic zdrożnego w tym, że kobiety realizują się zawodowo, tak jak mężczyźni, a wiele pań to osoby wybitne. I Mansfield by się z tą uwagą zgodził. Ale jednocześnie stwierdziłby, że stereotypy nie biorą się znikąd. Ich źródłem są wielopokoleniowe doświadczenia, które gromadzą się w ludzkim umyśle, a ten ma naturalną skłonność do kategoryzacji. Spór, do którego się odnosi Mansfield, nie dotyczy konkretnych sytuacji, lecz wzorców społecznych. Można – tak jak to czyni radykalna lewica – zaprzeczyć istnieniu kobiecości i męskości, upatrując w nich wyłącznie konstrukty społeczne, na których opiera się „patriarchat", ale na nic się to zda, bo nie będzie oznaczać rozpoznania rzeczywistości, lecz jej ideologizację. A próba rugowania stereotypów rodzi nowe stereotypy.

Tak więc, według Mansfielda, męskość jest w świetle egalitaryzmu kamieniem obrazy. Poza tym w oczach progresistów dekonstruujących opresyjne struktury społeczne stanowi ona narzędzie władzy i – choćby zawoalowanej – przemocy. Charakteryzuje wojowników, których atutem zamiast rozumu jest naga siła. Zatem męskość bywa oskarżana o „faszyzm" i ma przeciw sobie z jednej strony radykalną lewicę na czele z feministkami, a z drugiej – liberalne mieszczaństwo, które ceni sobie spokój, a nie maczystowskie awanturnictwo. I tu dochodzimy do zainteresowania Mansfielda tekstami starożytnych Greków.

PLATON ODSŁANIA DUSZĘ LUDZKĄ

Autor „Męskości" odwołuje się do dialogu filozoficznego z „Państwa" Platona. W dziele tym poruszona jest kwestia ideału sprawiedliwego miasta. Platon używa terminu „thymos". Tym pojęciem – jak pisze Mansfield – grecki mędrzec określił „właściwą psom skłonność do ataku". Miałaby być ona przymiotem „strażników czy też władców sprawiedliwego [zaprojektowanego przez Platona] miasta".

Wywód Mansfielda jest następujący: „Pies broni samego siebie, swego pana oraz swojego terytorium – a zatem thymos stanowi tę część ludzkiej duszy, która odpowiada za pełnienie analogicznych, obronnych funkcji. Podobnie jak pies broni swego pana, tak »psia« część ludzkiej duszy chroni wyższe od siebie ludzkie cele".



HARVEY C. MANSFIELD „MĘSKOŚĆ" INSTYTUT PILECKIEGO, WARSZAWA 2023

Thymos wiąże się więc właśnie z męskością, której dystynkcją jest poczucie honoru połączone z odwagą narażania własnego życia. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że w przeszłości ten opisywany przez Platona żywioł psychiczny był domeną rycerstwa. Ale w nowożytności został wyparty przez racjonalną kontrolę. Ona bowiem stanowi oręż mieszczaństwa, które od wojowania woli negocjacje. Thymos jednak nie znika. Zawsze go ktoś zagospodarowuje. Chodzi o to, żeby nie został on przejęty przez siły destrukcyjne. Na Zachodzie nieraz bywało tak, że thymos stawał się napędem ruchów rewolucyjnych, wobec których wykastrowana, „neutralna płciowo" zachodnia demokracja okazywała się bezradna. A teraz jej słabość ujawnia się także na arenie międzynarodowej w relacjach z dyktaturami czyniącymi użytek z męskości.

W odróżnieniu od USA Chińska Republika Ludowa i Federacja Rosyjska oraz ich sojusznicy z Globalnego Południa nie bawią się w żadne humanistyczne eksperymenty społeczne. Dla polityków chińskich czy rosyjskich wdrażanie agendy genderyzmu wśród amerykańskich żołnierzy to jakaś aberracja. Dlatego można postawić tezę, że za prezydentury Bidena, gdy armia USA została poddana „utęczowieniu", wizerunek Stanów Zjednoczonych jako globalnego mocarstwa został popsuty.

Egalitaryzm stanowi istotne osiągnięcie cywilizacji zachodniej. Jest wyrazem bazującego na chrześcijaństwie przeświadczenia o przyrodzonej godności każdego człowieka. Ale ma też ciemną stronę, która szczególnie dała o sobie znać w nowożytności. Tabuizuje naturalne różnice między ludźmi, w tym między kobietami a mężczyznami. I na dłuższą metę – gdy gorączka rewolucyjna opada – staje się czynnikiem eliminującym męskość jako podstawę etosu wojowników, który Zachodowi jest niezbędny. Z tej przyczyny w krajach zachodnich demokracja (władza ludzi pospolitych) powinna zostać zrównoważona przez timokrację (władzę ludzi dzielnych). Jeśli Zachód ma przetrwać i się rozwijać, to dla niego jedyne wyjście.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



Fragment panoramy „Bitwy pod Frankenhausen". Na dole obrazu przy Studni Mądrości drugi od prawej stoi Mikołaj Kopernik FOT. PANORAMA MUSEUM

500 lat po rewolucji kłonic i wideł

Nie tylko w Polsce pojawiła się moda na kult chłopskich buntów. U naszych sąsiadów za Odrą muzea zajęły się 500. rocznicą rewolucji wieśniaków bardzo hucznie i rozlegle. Co ciekawe, wiejski bunt ich liderów sławili tak różni ideolodzy jak Fryderyk Engels, Adolf Hitler i Erich Honecker. W komunistycznej NRD kręcono na temat wojny chłopskiej wielkobudżetowe filmy, jej bohater patronował jednostce Armii Ludowej, a nawet stworzono ku czci największej bitwy chłopskiej ogromną panoramę, w której umieszczono gigantyczne malowidło. Dlaczego kult plebejskiej rewolty jest wciąż tak silny w Niemczech?



Piotr Semka z Mühlhausen

Dlaczego kult chłopskiej rewolty wciąż jest w Niemczech tak silny?

TAJEMNICZY FENOMEN

„Trudno uwierzyć, że wszyscy władcy, rycerze i regenci w całych Niemczech byli w tym czasie tak zniechęceni, że nawet dziesięciu chłopów bez zbroi mogło zdobyć zamek, który wydawał się być nie do zdobycia. Potem sytuacja się jednak odwróciła i jeden jeździec bez trudu mógł pojmać dziesięciu chłopów". Te słowa Friedricha Myconiusa (1490–1546), teologa i pisarza politycznego z kręgu Marcina Lutra, dobrze oddają fenomen buntu, który ogarnął między 1524 a 1525 r. spore obszary Niemiec. Ten protest wybuchł słomianym ogniem, a potem równie szybko został zmiażdżony przez zjednoczone siły biskupów, książąt i feudałów przy błogosławieństwie przywódców religijnych reformacji. Temu wybuchowi gniewu towarzyszyły okrucieństwa po obu stronach. Wpierw chłopi – paląc zamki i klasztory – wyrównywali wszystkie porachunki z lat, gdy musieli schylać kark przed wielkimi panami, a potem wielcy panowie, przy użyciu zawodowych wojsk landsknechtów i ciężkiej jazdy, tratowali chłopskie oddziały, a po wygranych bitwach wyrzynali śmiałków w pień.

Pięćsetna rocznica wielkiej rewolucji została potraktowana w Niemczech bardzo poważnie. W dwóch niemieckich krajach związkowych – Saksonii-Anhalt i Turyngii – poświęcono im wystawy na szczeblu landu.

Największe nagromadzenie ekspozycji – aż trzy wystawy – obejrzeć można w turyńskim miasteczku Mühlhausen. Ta miejscowość to ukryty klejnot dawnej architektury. Szczęśliwie ominęli je w końcu wojny żołnierze sowieccy, mający zwyczaj palić miejscowości, które zdobyli. Mühlhausen wyzwolili Amerykanie i dzięki temu unikalny zespół drewnianych domów szachulcowych nie spłonął jak zapałka w ciągu jednej nocy. W XIV w. było ósmym co do wielkości miastem Niemiec. Jak na tak niewielki dziś ośrodek miejski miasto może poszczycić się aż tuzinem średniowiecznych kościołów. W czasach komunizmu tylko kilka z nich służyło

eprasa.pl 8e76e32ead

celom religijnym, cała reszta w „państwie robotników i chłopów" wykorzystywana była jako magazyny, a w jednym wypadku nawet jako warsztat samochodowy.

Dziś takie barbarzyństwa są na szczęście przeszłością. Ale to nie znaczy, że większość dawnych kościołów powróciła do celów religijnych. Nie zapominajmy, że jesteśmy w tzw. nowych landach, gdzie laicyzacja poczyniła o wiele większe postępy niż na zachodzie Niemiec.

W czasach NRD Mühlhausen było centrum kultu Thomasa Müntzera (1489–1525). Był to jeden z najbardziej radykalnych reformatorów kościelnych, który stał się duchowym patronem tysięcy zbuntowanych chłopów. Pod jego przywództwem wiosną 1525 r. na terenie Turyngii i częściowo Hesji na krótki czas powstało coś w rodzaju wolnej republiki. Publicysta historyczny Leo Sievers pisał tak: „Thomas Müntzer – pastor, prorok, puczysta. Biblia była jego manifestem wojennym. W swych kazaniach wzywał do gwałtu przeciwko możnym, przeciw książętom i Kościołowi".

Oto stoję przed kościołem mariackim w Mühlhausen. To druga co do wielkości, po katedrze w Erfurcie, świątynia w Turyngii. W styczniu 1525 r. Müntzer, który był tutejszym kaznodzieją, wezwał tłum do zniszczenia w tym kościele wszystkich obrazów i rzeźb. Protestancki ikonoklazm zdruzgotał tak dokładnie całe wnętrze, że dziś wszystkie obrazy i rzeźby z tamtego okresu pochodzą z innych świątyń. Kościół mariacki jest pierwszym z trzech etapów wystaw poświęconych wojnie chłopskiej. Autorzy wystawy postanowili pokazać w tej świątyni życie chłopów w tamtym okresie i wyjaśnić, dlaczego doszło do buntu. Dyrektorka tutejszego muzeum, Susanne Kimmig-Völkner, tłumaczy: „Chcieliśmy wyjaśnić, kim byli ci chłopi, jak trudne były warunki ich życia i jakie problemy pchnęły ich do rebelii".

W masywnym gotyckim kościele autorzy ekspozycji zbudowali cztery abstrakcyjne domki. Każdy z nich pokazuje życie w kolejnych porach roku – od wiosny do zimy. Pani Kimmig-Völkner pochyla się nad jednym ze starych pergaminów. „Niech pan spojrzy na niezwykle rygorystyczne przepisy dotyczące połowów. Jasno określały one, ile ryb można złowić i na jakich warunkach można było je sprzedawać. To pokazuje, jak życie chłopskie było ściśle uregulowane i na dłuższą metę trudne do zniesienia".

I takie właśnie zatruwające życie rozporządzenia wywołały sprzeciw i w końcu doprowadziły do powstania. Takie opresyjne regulacje feudałów prowadziły do ciągłego życia w ubóstwie, które w wypadku nieurodzaju gwałtownie i bez ostrzeżenia zamieniało się w głód.

Od ostatniej ćwierci XV w. chłopi, zwłaszcza posiadający niewielkie zagony ziemi lub nieposiadający jej wcale, byli warstwą społeczną, na którą spadał cały ciężar narastającego kryzysu ekonomicznego. Dopiero w tym kontekście daje do myślenia zebrana tu kolekcja kos, kłonic, wideł i tasaków do świniobicia. Gdy wściekłość była silniejsza od strachu, chłopi mieli dostatecznie dużo narzędzi, które można było skierować przeciwko tym, którzy kojarzyli się z nędzą i upodleniem.

CHŁOPSKIE ARMIE – SZLACHECCY WODZOWIE

Z kościoła mariackiego przenosimy się na plac Kornmarkt – rynek zbożowy. Z okazji okrągłej 500. rocznicy chłopskiej rebelii władze miasta wzniosły tutaj osobliwy pomnik. Na samej górze kolumny wystylizowanej na snopki zboża widać figurę zadumanego chłopa w pozie Chrystusa Frasobliwego, z mieczem wbitym w plecy.

To realizacja szkicu samego wielkiego Albrechta Dürera z 1525 r., sporządzonego tuż po stłumieniu rewolty wieśniaków. Tą siedmiometrową osobliwą kolumnę wznieśli wspólnym wysiłkiem stowarzyszenie przyjaciół Muzeum, miejscowy klub Rotary i władze miasta. Jest tylko jeden drobny problem. Kwestią dyskusyjną pozostaje, czy norymberski artysta chciał oddać hołd chłopom czy też chciał ich wyśmiać? Taka jest opinia dyrektora Muzeów Miejskich w Norymberdze Thomasa Esera. Twierdzi on, że „kolumna chłopska" jest wyłącznie ilustracją książkową, którą Dürer wymyślił dla żartu, aby pokazać, że z okazji każdego tematu można wymyślić oficjalny pomnik. Realizacja kolumny w rzeczywistości – według Thomasa Esera – nigdy nie przyszłaby Dürerowi do głowy.



Panowie i chłopi jako rywale na szachownicy politycznej – oficjalny plakat wystawy FOT. MÜHLHÄUSER MUSEEN

„Kolumna nie miała opłakiwać pokonanych chłopów, raczej pokazać, jak można by celebrować ich wybicie czy nawet z nich kpić". Eser wskazuje na to, że próżno by szukać w jego pozostałych dziełach jakiegokolwiek innego krytycznego podejścia wobec wyzysku chłopów ani jakiejkolwiek innej formy sympatii dla wsi.

A jednak kolumna stoi i w tym roku jest symbolem szacunku władz miejskich i landowych dla rocznicy rebelii. To właśnie na rynku zbożowym znajduje się dawny klasztor Franciszkanów – dziś muzeum walk chłopskich. Już od lat 70. XV stulecia mnożą się sprzysiężenia rewolucyjne, takie jak np. Sprzysiężenie Tauberskie z 1476 r., spisek „biednego Konrada" z 1514 r. czy tajne związki „Trzewikowców" na terenach górnego Renu, Badenii i Szwabii. Pojawiają się też liczni zrewoltowani księża bądź też chłopscy samorodni kaznodzieje teolodzy, których działalności, apokaliptyczne nastroje, religijne proroctwa, nienawiść do kleru stopiły się w jedno z całkiem realnymi obiektywnymi żądaniami społecznymi chłopów.

Przyspieszenie tego procesu nastąpiło po wystąpieniach Marcina Lutra. To on wezwał do samodzielnego czytania Biblii. A gdy już ci, którzy umieli czytać, połączyli to, co wyczytali w Piśmie Świętym z ambicją bycia trybunami ludowymi, zaistniały typowe warunki do rewolty. Buntu tym bardziej chwytliwego, że wprowadzającego wołania o sprawiedliwość ludzką popartą przekonaniem, że hasła te odpowiadają ideałom sprawiedliwości boskiej. Niemiecki historyk Manfred Bensing pisze: „Przekonanie, że ludzie jako narzędzie Boga mają prawo lub wręcz obowiązek prowadzić walkę przeciwko

eprasa.pl 8e76e32ead



Wizerunek Thomasa Müntzera ozdabiał NRD-owski banknot pięciomarkowy

FOT. KOPIA ZA NUMIS NUMISMATICS

tyrańskiej zwierzchności – uskrzydliło masy i pomogło złagodzić istniejące wśród nich sprzeczności celów i interesów".

Ten swoisty mesjanizm najpierw był iskrą, która spowodowała, że bunt rozprzestrzeniał się jak pożar na polu, ale z drugiej strony wpływał na szokującą niekiedy naiwność chłopskich przywódców. I znów zacytujmy Manfreda Bensinga: „Podczas gdy książęta liczyli na swą broń i doświadczenie wojenne, powstańcy w ciężkich sytuacjach nierzadko spodziewali się interwencji boskiej".

Osobnym fenomenem wojen chłopskich byli rycerze, którzy zgadzali się stanąć na czele oddziałów chłopskich. I to oni przeszli do legendy, kiedy to w XIX w. twórcy i pisarze zaczęli ich sławić jako tych, którzy zrozumieli, że trzeba przezwyciężać różnice klasowe w imię czy to – jak to podkreślali marksiści – elementarnego poczucia sprawiedliwości, czy też – jak to z kolei zaznaczali ideolodzy germańskiego „volkizmu" – w imię sprawiedliwszej wspólnoty narodowej.

Na trzeciej wystawie – tym razem w muzeum miejskim – przedstawieni są dwaj tacy chłopscy „wodzowie": Götz von Berlichingen oraz Florian Geyer. Autorzy ekspozycji wstydliwie przemilczają, że zarówno Götz von Berlichingen, jak i Florian Geyer w epoce III Rzeszy zostali patronami dwóch osobnych dywizji Waffen-SS.

Thomas Müntzer z kolei w epoce NRD został patronem jednostki Nationale Volksarmee.

BITNI, ALE CHWIEJNI

Wystawy bardzo ciekawie tłumaczą, dlaczego oddziały chłopskie bywały niekiedy bardzo skuteczne, a potem się rozpadały. Przełom wieków XIV i XV to okres powolnego zaniku największego znaczenia ciężkozbrojnej jazdy rycerskiej. Coraz większą rolę zaczęła odgrywać piechota uzbrojona w piki oraz broń sieczną i kłującą. Pojawiły się nowe techniki walki, jak np. najeżone pikami i halabardami czworoboki piechoty, które przy odpowiednim wyszkoleniu mogły wytrzymać szarże ciężkiej jazdy. Tyle że sukcesy chłopskiej piechoty przeciwko szlacheckiej jeździe następowały tylko wtedy, gdy chłopami dowodził doświadczony dowódca. Na dodatek ktoś, kto wiedział, że jazda może atakować tylko na równinach pozbawionych takich przeszkód jak rzeki czy bagna. Jeśli więc chłopski wódz był doświadczonym wojskowym, to rebelianci byli w stanie stawić czoła ciężkozbrojnym feudałom. Jeśli jednak liderami oddziałów chłopskich byli mistycy lub po prostu mało doświadczeni wieśniacy, słabi w taktyce, to rycerze roznosili chłopskie grupy w proch i pył.

Kolejną słabością wiejskich oddziałów było to, że po zwycięstwie nad oddziałami feudałów bardzo często włościanie wracali do domów, uznając, że ich triumf jest tak oczywisty, że można się rozejść. Druga strona takich błędów nie popełniała. Potrafiła zgromadzić swoje siły, wynająć za posiadane pieniądze najemne oddziały żołnierzy morderców i potem uderzyć z zaskoczenia, aby systematycznie wyłapać i wymordować rebeliantów.

GÓRA ŚMIERCI

Bad Frankenhausen to dziś niewielkie turyńskie miasteczko liczące 10 tys. mieszkańców. To właśnie tu 15 maja 1525 r. na wzgórzu Schlachtberg, na północnym krańcu miasta, rozegrała się największa i ostatnia bitwa niemieckiej wojny chłopskiej. Wiejskie wojsko składało się z 10 tys. ludzi z 370 miast i wsi, którym przewodził wódz religijny i jednocześnie wojskowy Thomas Müntzer.

Rewolucyjny trybun był mistrzem wykorzystywania propagandowych chwytów dla zbudzenia ducha bojowego wśród rebeliantów. Umiejętnie wykorzystał pojawienie się na niebie tęczy jako widomego znaku boskiego wsparcia. Kazanie Müntzera wywołało powszechny entuzjazm, ale realia strategii wojennej okazały się bezlitosne dla buntowników. Chłopi mieli tylko 15 dział. Ich głównymi narzędziami były kosy, sierpy, cepy, widły oraz włócznie. Armia książąt Saksonii z linii albertyńskiej i wettyńskiej oraz landgrafa Hesji dowodzona przez Aschwina von Cramma, dowódcę wojskowego księcia elektora Saksonii Jana I, liczyła mniej, bo tylko 6 tys. najemników i konnych żołnierzy, ale była uzbrojona po zęby. Co więcej, von Cramm, jako doskonały taktyk, tak rozmieścił swe wojska, aby powstańcy nie mogli uciec ze swojego fortu wozowego. Starcie szybko zamieniło się w masakrę. Część chłopów walczyła do upadłego, ale została wycięta, a część wymordowano w trakcie panicznej ucieczki. Po stronie rebeliantów zginęło ok. 6 tys. osób, podczas gdy po stronie księcia poległo zaledwie sześciu najemników. Z 600 pojmanych powstańców aż 300 stracono 16 maja w publicznej egzekucji przed ratuszem Frankenhausen lub na „polach śmierci" nad rzeką Angel.

Thomas Müntzer został także pojmany i przekazany hrabiemu Ernstowi von Mansfeldowi. Po przesłuchaniach i torturach w zamku Heldrungen religijny przywódca buntu został ścięty 27 maja 1525 r. w obozie książąt pod Mühlhausen. Jego ciało nabito na pal, a odciętą głowę umieszczono na drągu.

W 1976 r. przywódca NRD Erich Honecker rozkazał wybudowanie na wzgórzu Schlachtberg wielkiego gmachu panoramy obrazu bitwy chłopskiej. Kosztem gigantycznych sum stworzono panoramę, która z powierzchnią 1722 mkw. jest jedną z największych tego typu obiektów na świecie. Cylindryczna, okrągła budowa otacza gigantyczne malowidło, które ma 123 metry długości i 14 metrów wysokości. Całą tę przestrzeń zapełnił czołowy NRD-owski malarz Werner Tübke wraz z zespołem prawie 20 podwykonawców.

To niesamowite dzieło przypominające nieco wielkie obrazy Boscha czy Breugla.

Kaprys losu spowodował, że panoramę władze NRD otworzyły uroczyście 22 sierpnia 1989 r. Mur berliński runął ponad dwa miesiące później.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawy „Freiheyt 1525" w trzech muzeach na terenie Mühlhausen w Turyngii czynne będą do 19 października 2025 r. Szczegóły na stronie: www.bauernkrieg2025.de.

eprasa.pl 8e76e32ead



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Abraham Kruk

Przeglądając stare wydawnictwa (nie tylko te w Polsce wydawane), można trafić na wyjątkowe „perełki". To piśmiennictwo, które pośpiesznie odchodzi do lamusa i w dobie przyśpieszonego rażenia środkami masowej dezinformacji nikt go nawet nie szuka. A szkoda, bo wiele zawartych w nim treści ma charakter ponadczasowy.

Oto np. „Pamiętnik wzniesienia i odsłonięcia pomników T. Kościuszki i K. Pułaskiego", wydany przez I Kongres Narodowy Polski w Waszyngtonie w roku 1911. Zawiera on przejmujące i wzruszające „Święte Błogosławieństwo" emigranta do USA, uczestnika powstania styczniowego Abrahama Kruka, któremu udało się zbiec z rosyjskiej katorgi. Naprawdę warto to przypomnieć, szczególnie w dzisiejszych czasach tak wielkiego zakłamania.

„Chociaż ja jestem Izraelita, żyd, lecz i na mnie spływa częściowo ten wielki honor, jaki się oddaje dla zasług naszych bohaterów polskiemu Narodowi i ja wraz cieszę się tem świętem i tym dniem, którego ja doczekałem: że nasza święta Polska stoi wysoko w cudzym kraju, u cudzego narodu, a ten naród pomni dobrodziejstwo, kiedy to nasze Polaki ofiarowali zdrowie i życie dla wyratowania go spod jarzma Anglii". Jest to rzadki przypadek Izraelity z tamtej epoki, czynnego uczestnika polskiego powstania i gorliwego patrioty. Na ogół kojarzymy Izraelitów (na podstawie zachowanych źródeł) jako szpiegów i dorobkiewiczów, obracających za bezcen skonfiskowanymi majątkami powstańców. Okazuje się, że były i postawy przeciwne – powstańców. Choć były bardzo rzadkie, tym cenniejsze są takie świadectwa.

„Ja, współcierpiący brat, który cierpiał klęski wraz z naszymi braćmi w 1863 roku, gdyśmy walczyli przeciw naszym wrogom Moskalom […]. Odnosiliśmy zwycięstwa, ale i wpadliśmy, jak biedne owce, w ich ręce: jednym sądzona była kara śmierci, a niektórym wysyłka […]. Ja padłem na wysyłkę do Archangielskiej guberni i z różną Szlachtą i Księżami: byli tam i Kanoniki i Dziekany; napełnili Polakami puste kraje, ale niektórych Pan Bóg uwolnił, cośmy się wydostali z moskiewskich rąk…".

To są bardzo rzadkie świadectwa, nawet jak na ówczesne czasy, tym bardziej trzeba je znać i przytaczać w dobie dzisiejszej, gdy zakłamywanie przeszłości przybiera zatrważające rozmiary. Mogą służyć jako doskonałe argumenty we wszelkich dyskusjach, gdzie trzeba przeciwstawiać się oczywistym kłamstwom na nasz temat. Jakże konieczne są cykliczne wydawnictwa źródłowe (dokumenty, wspomnienia, pamiętniki, relacje, listy itp.), ujawniające wszystko to, co obecne instytucje propagandowe w Polsce (działające pod szyldem „nauki") nie tylko przemilczają, lecz także fałszują. ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Rozłam w PPS

W styczniu 1905 r. w Rosji wybuchła rewolucja, którą przyspieszyła klęska w wojnie z Japonią. Na wydarzenia musiała zareagować największa lewicowa polska partia – PPS – od dawna przygotowująca się do ulicznych demonstracji. Z tego powodu 15 października 1905 r. Organizacja Spiskowo-Bojowa PPS została przekształcona w Organizację Bojową PPS, której szefem został Józef Piłsudski. Na jego polecenie powstała w Krakowie szkoła bojowa, a kilkutygodniowe kursy (wzięło w nich udział ok. 100 osób) miały przygotować odpowiednie kadry. Do programu wprowadzono naukę o broni, zasadach dywersji, terenoznawstwo, wynajmowano prywatne strzelnice na zajęcia praktyczne. Pojawiła się również musztra, nadając szkole zdecydowanie wojskowy charakter.

Organizacja Bojowa stała się znaczącą siłą militarną i polityczną. Bojówka nie ograniczała się już wyłącznie do ochrony własnych demonstracji; przeprowadzano zamachy na carskich urzędników i policjantów, odbijano więźniów, dokonywano akcji ekspropriacyjnych (napadów na banki, urzędy pocztowe i pociągi, mających zapewnić środki na prowadzenie działalności). Nielegalna partia musiała posiadać źródła finansowania, a potrzeby były ogromne.

Bojówka szybko przekształciła się w autonomiczną instytucję wobec kierownictwa partii, akcje bojowe planowano bez zgody Centralnego Komitetu Robotniczego (a czasami nawet wbrew jego poleceniom).

W efekcie w PPS dojrzewał rozłam na dwie partie: lewicową i niepodległościową. Doszło do niego jesienią 1906 r. w Wiedniu na IX zjeździe PPS. Ujawnienie tajnych działań Piłsudskiego spowodowało powszechne oburzenie i przyszły marszałek został wykluczony z partii. Usunięci członkowie niebawem założyli w Krakowie nową partię (PPS-Frakcja Rewolucyjna), a do pozostałych przylgnęła nazwa PPS-Lewica.

Jednego nie można było Piłsudskiemu odmówić. Chociaż okazywał nielojalność wobec partii, której był jednym z liderów, to właściwie nigdy nie zrezygnował z własnych przekonań. Wielu współczesnych mu polityków zmieniało światopogląd, przechodziło ewolucję wyznawanej ideologii, natomiast Piłsudski niezmiennie trwał przy swoich poglądach. Zmieniały się okoliczności i koniunktura polityczna, ale główny cel polityczny Piłsudskiego pozostawał taki sam. Zmieniał sojuszników i metody działania, ale na pierwszym miejscu stawiał odbudowę i niezależność państwa polskiego. Człowiek dążący do wywołania powstania antyrosyjskiego nie mógł należeć do ruchu rewolucyjnego, którego uczestnicy wznosili podczas demonstracji hasła: „Precz z białą gęsią" (tzn. z Białym Orłem). ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



Ogłoszenie wyroku podczas procesu toruńskiego, 7 lutego 1985 r. FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

Tajemnice generała Kiszczaka



Sławomir Siwek

19 października 1984 r. został porwany i zamordowany przez oficerów grupy specjalnej Służby Bezpieczeństwa od zwalczania Kościoła katolickiego ks. Jerzy Popiełuszko – kapłan z warszawskiego Żoliborza, kapelan Solidarności, po wprowadzeniu stanu wojennego znienawidzony przez władze za słowa prawdy wypowiadane w kazaniach w czasie Mszy św. za ojczyznę. Co roku wracają pytania dotyczące tamtych wydarzeń, a przede wszystkim jedno z nich: Kto decydował?

W atmosferze lat 80. XX w. sprawy morderstwa znanego w kraju i za granicą księdza nie dało się zamieść pod dywan i skończyć na powszechnie używanej w takich przypadkach, ulubionej formule komunistów, że zrobili to „nieznani sprawcy". 27 grudnia 1984 r. przed sądem w Toruniu na ławie oskarżonych zasiedli bezpośredni wykonawcy zabójstwa: por. Waldemar Chmielewski, por. Leszek Pękala, kpt. Grzegorz Piotrowski. Oprócz nich był także płk Adam Pietruszka (używający pseudonimu Matuszko) – zastępca dyrektora Departamentu IV (od zwalczania Kościoła) Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bezpośredni przełożony trzech pierwszych. Na pułkowniku miało się zakończyć poszukiwanie decydentów.

Natychmiast pojawiła się, gwałtownie rozprzestrzeniana, informacja (plotka?), że morderstwo ks. Jerzego było misterną prowokacją – w ramach walki w łonie władz – wymierzoną w tandem generałów Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka przez jeszcze bardziej „twardogłowych" aparatczyków. Mimo upływu lat od tzw. upadku komunizmu teza ta nadal ma swoich wyznawców.

JEDEN SZCZEBEL WYŻEJ

Proces toruński trwał do 7 lutego 1985 r. i zapadły wyroki przez wielu uznane za niskie jak na skalę i brutalność zbrodni, ale i tak zaskakujące. Bo przecież wyroków mogło nie być, podobnie zresztą jak całego procesu.

Na tym sprawa zamordowania księdza miała się skończyć – tak jak wysokość drabiny ze szczeblami odpowiedzialności za zbrodnię. Nie mogło to się udać z kilku powodów. Pierwszy został ujawniony – przypadkiem i zaskakująco dla organizatorów procesu – właśnie podczas zeznań składanych przez oskarżonych. Zarówno Waldemar Chmielewski, jak i Leszek Pękala w pewnym momencie mówili, że o ich działaniach wiedziała „góra". Sędzia tak długo kręcił pytaniami, że Pękala wycofał się z tego, a Chmielewski stwierdził, iż jego słowa były tylko domysłami… Jeszcze ciekawiej zachowywał się Grzegorz Piotrowski, który dociskany stwierdził, że w toku procesu zrozumiał, że „góra" to

eprasa.pl 8e76e32ead

tylko płk Pietruszka, chociaż wcześniej myślał inaczej. I odmówił odpowiadania na pytania w tej sprawie zadawane przez pełnomocników oskarżycieli posiłkowych.

Dalsze poszukiwanie „góry" zamarło. Dopiero po przełomie 1989 r. odbył się drugi proces. Przed sądem w 1992 r. stanęli: gen. Władysław Ciastoń, wiceminister spraw wewnętrznych, szef Służby Bezpieczeństwa, oraz gen. Zenon Płatek, dyrektor Departamentu IV MSW. Proces trwał do 1994 r. i zakończył się uniewinnieniem obu. Nie ma tu miejsca na to, aby analizować wiele powodów, dla których w latach 1985–1990 sprawa odpowiedzialności za morderstwo – w tym odszukanie decydentów – ucichła. Wymienię jeden z tych powodów, moralnie co najmniej wątpliwy, ale politycznie – zaryzykuję – zrozumiały. W marcu 1985 r. ostatecznie władzę w ZSRS objął Michaił Gorbaczow. Z Moskwy nadeszły informacje o rozpoczęciu reform i szukaniu społecznej akceptacji dla zmian. W Polsce najważniejsi i faktycznie rządzący dygnitarze zrozumieli to jako szansę dalszego trwania.

Na czele marszu do porozumienia społecznego stanęli Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak. Przedstawiciele różnych instytucji społecznych mieli dylemat: Załatwiać osłabienie systemu komunistycznego za pośrednictwem rozmów – kosztem odłożenia rozliczeń – czy nie? Decyzja była dyskusyjna, do dzisiaj dzieląca tak historyków, jak polityków oraz społeczeństwo.

SPEKTAKL GENERAŁA

W 2005 r. ks. bp Alojzy Orszulik – w latach 80. zastępca sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski i jeszcze przez kard. Stefana Wyszyńskiego, a następnie przez kard. Józefa Glempa upełnomocniony do niewdzięcznej roli bieżących kontaktów z władzami, w tym ze Służbą Bezpieczeństwa – przekazał mi, z upoważnieniem do opublikowania w zbiorze jego dokumentów obrazujących rozmowy z władzami po stanie wojennym, obszerną i dokładną notatkę rozmowy, którą przeprowadzili on oraz bp Jerzy Dąbrowski z gen. Czesławem Kiszczakiem.

Rozmowa odbyła się na „pilne" i osobiste (telefoniczne) zaproszenie Kiszczaka 30 października 1984 r. o godz. 17 w gabinecie ministra spraw wewnętrznych. Proszę zapamiętać – o godz. 17, na zaproszenie sprzed tej godziny… Kiszczak nie powiedział, o co chodzi. Ksiądz Orszulik (nie był jeszcze wtedy biskupem) zanotował: „Na wstępie jednak zadał nam pytanie, jaka byłaby reakcja Kościoła na wiadomość, że ks. Jerzy Popiełuszko nie żyje. Któryś z nas odpowiedział, że byłaby to bolesna informacja. Spostrzegłem po zachowaniu gen. Kiszczaka, że on już wie o śmierci ks. Popiełuszki. Robił wrażenie zatroskanego. Powiedział, że niebawem ma otrzymać wiadomość, czy rzeczywiście ks. Popiełuszko nie żyje. Po paru minutach zadzwonił telefon". Po chwili rozmowy Kiszczak powiedział, że „właśnie dostał informację, że ks. Popiełuszko został utopiony i nurkowie wyciągają z wody jego zwłoki". Zanim zadzwonił telefon, ks. Orszulik zanotował: „Spostrzegłem po zachowaniu gen. Kiszczaka, że on już wie o śmierci ks. Popiełuszki".

Kiszczak popełnił kolosalny błąd – zdradził, że precyzyjnie przewidziano, gdzie znajdzie się ciało ks. Popiełuszki, że nie będzie żył i że ustalono to w jakiejś grupie osób

Oto mamy dokument opisujący spektakl. Kiszczak przed godz. 17 zaprasza kapłanów i odgrywa sceny otrzymywania podstawowych informacji: że ksiądz nie żyje, że został utopiony (bez sekcji zwłok Kiszczak już to wie!), że ekipa nurków była na miejscu, zanim minister spraw wewnętrznych się o tym dowiedział!

To dopiero akt pierwszy. Na temat aktu drugiego ks. Orszulik zanotował: „Zapytaliśmy o sekcję zwłok. Uważając, że powinna się ona odbyć. Kiszczak odparł, że sekcja jest już umówiona w Zakładzie Medycyny Sądowej w Białymstoku. Zapytaliśmy, dlaczego w Białymstoku, a nie w Warszawie. Odpowiedział, że tak zostało ustalone".

Kiszczak popełnił kolosalny błąd – zdradził, że precyzyjnie przewidziano, gdzie znajdzie się ciało ks. Popiełuszki, że nie będzie żył, i że ustalono to w jakiejś grupie osób. Innymi słowy – działano zgodnie z opracowanym wcześniej i realizowanym od dłuższego czasu planem, w którym zostało przewidziane wszystko – choćby przygotowanie nurków, miejsca sekcji, nawet precyzyjna godzina wyciągania zwłok z wody. Na czele tych działań stał on, minister spraw wewnętrznych, zwierzchnik Służby Bezpieczeństwa w stopniu najwyższym – generała broni. Tylko szef całości mógł – i zrobił to – przekazać oficjalną wiadomość o śmierci ks. Popiełuszki Kościołowi – wiedząc, że informuje nie tylko prymasa Polski, lecz także Stolicę Świętą.

Nieoczekiwanie dla niego rozmówcy zażądali udziału w sekcji mecenasa Jana Olszewskiego oraz wskazanego profesora z innego zakładu medycyny sądowej. Tego drugiego zaproponował mecenas Olszewski. Był nim prof. Edmund Chróścielewski z Poznania. Kiszczak się zgodził, bo nie mógł inaczej, chociaż skomplikowało to niewątpliwie kwestię podania do publicznej wiadomości przyczyny śmierci księdza. Profesor Chróścielewski był autorem naukowej opinii o śmierci najmłodszego uczestnika wydarzeń poznańskich z 1956 r. – Romka Strzałkowskiego, unicestwiając tym samym fałszerstwa Urzędu Bezpieczeństwa (poprzednika SB).

I tak dochodzimy do aktu trzeciego. Następna rozmowa w MSW dotycząca zamordowania ks. Popiełuszki między Kiszczakiem a przedstawicielami hierarchii kościelnej – tym razem oprócz ks. Orszulika był nim abp Bronisław Dąbrowski, sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski – odbyła się 19 listopada 1984 r. Ksiądz Orszulik zanotował: „Jeśli chodzi o sprawców kierowniczych zabójstwa, to z tego, co pamiętam, Kiszczak mówił, że była to prowokacja, która miała zaszkodzić gen. Jaruzelskiemu. Mówił też jednak, że nie jest wykluczone, że ktoś stał za Grzegorzem Piotrowskim i Adamem Pietruszką".

Kiszczak zakomunikował obowiązującą wersję – do dzisiaj żywą i powielaną przez wiele osób i ośrodków opiniotwórczych. Otóż odpowiedzialność za zbrodnię zatrzyma się przed Wojciechem Jaruzelskim i, oczywiście, jego najbliższym współpracownikiem, czyli Czesławem Kiszczakiem, jako „ofiarami" spisku. Istotnie, tak się stało. Przed sądem stanęło jeszcze dwóch generałów: Władysław Ciastoń i Zenon Płatek. To była granica. Przed sądem w sprawie zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki nie stanęli ani Wojciech Jaruzelski, ani Czesław Kiszczak, ani żadna z osób, z którymi „zostało ustalone".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead

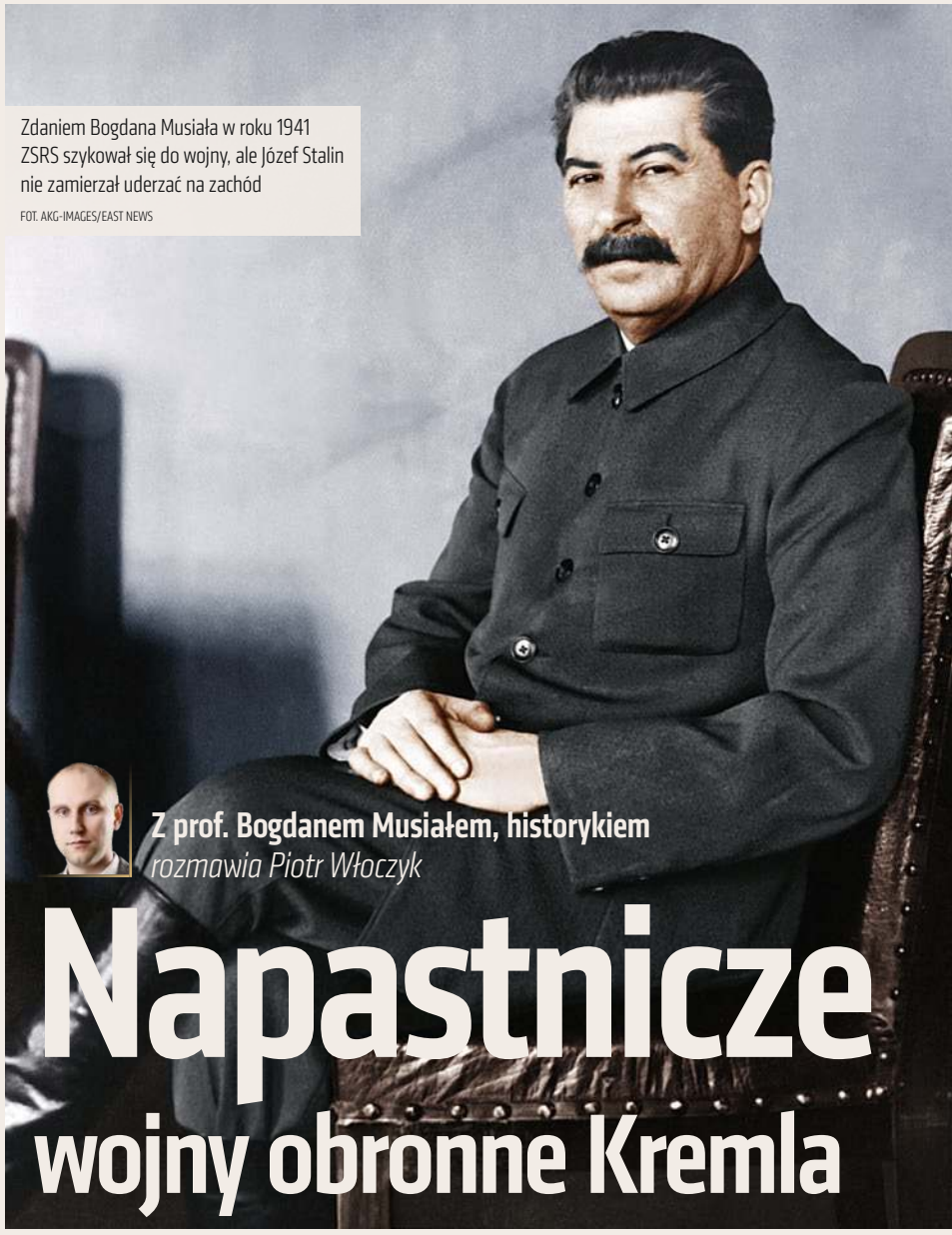

Zdaniem Bogdana Musiała w roku 1941 ZSRS szykował się do wojny, ale Józef Stalin nie zamierzał uderzać na zachód

FOT. AKG-IMAGES/EAST NEWS

Z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem
rozmawia Piotr Włoczyk

Napastnicze wojny obronne Kremla

PIOTR WŁOCZYK: Przy okazji szczytu Trump-Putin na Alasce dowiedzieliśmy się od Steve'a Witkoffa, że Rosja mogłaby się prawnie zobowiązać, iż nie zaatakuje nikogo w Europie. Ta wiadomość brzmiała dość zaskakująco, ale czy to faktycznie coś zupełnie nowego?

PROF. BOGDAN MUSIAŁ: To nic nowego, bo od ponad 100 lat Związek Sowiecki, a następnie Federacja Rosyjska, nikogo – przynajmniej według Kremla – nie zaatakował.

Rosja może podpisać każde zobowiązanie do nieatakowania innych państw, bo Kreml oficjalnie nigdy nie dokonuje agresji. Putin, jako rasowy kagebista, doskonale zna politykę informacyjną swojego państwa w kwestii wojny i wciąż stosuje te sprawdzone metody.

Ten długi rozdział agresywnych wojen obronnych Rosji zaczyna Polska. W 1920 r. to Polacy zaatakowali Rosję bolszewicką.

To akurat się zgadza – wiosną 1920 r. to Polacy zaatakowali bolszewików. Jednak to była klasyczna wojna prewencyjna, czyli atak mający pokrzyżować plany wroga, który sam szykował się do ofensywy.

Pod koniec 1919 r. wiadomo już było mniej więcej, że bolszewicy wygrają wojnę domową. Lenin udzielał wtedy zagranicznej prasie wywiadów, w których zapewniał Zachód, że o żadnej wojnie napastniczej nie ma mowy, że Rosja bolszewicka to już zupełnie inny kraj, którego zadaniem jest jedynie obrona interesów robotników i chłopów.

Polacy jednak doskonale wiedzieli, że nie można wierzyć bolszewikom, bo od początku 1920 r. widzieli na terenie Białorusi przygotowania do ofensywy. I wiosną 1920 r. Józef Piłsudski przeprowadził klasyczne uderzenie prewencyjne, by uniemożliwić bolszewikom dopięcie na „ostatni guzik" własnych przygotowań do wojny z Polską.

Jednak faktem jest, że to uderzenie prewencyjne ułatwiło Leninowi odpowiednie narracyjne „opakowanie" wojny – bolszewicy musieli się bronić przed polskim atakiem...

Tak, ale nie było innego wyjścia. Piłsudski stwierdził, że wobec dysproporcji sił obu armii jedyną szansą jest uderzenie prewencyjne na Ukrainie – na południowym skrzydle sił bolszewickich. I tak powstał plan, by zdobyć Kijów, zainstalować tam prowizoryczny rząd ukraiński, który stworzyłby armię ukraińską odciążającą polską armię.

Polakom udało się rozszyfrować bolszewickie kody. Dzięki temu mieliśmy wgląd w ruch wojsk Lenina. Dopiero na początku XXI w. historycy znaleźli w rosyjskich archiwach dokumenty potwierdzające to, że bolszewicy faktycznie szykowali się wtedy do ataku na Polskę. Gdy tylko o tym usłyszałem, pojechałem do Moskwy i zapoznałem się z tymi dokumentami. Potwierdziło się, że polski wywiad dysponował wtedy doskonałymi informacjami.

Znamy dalszy ciąg tej historii: po początkowych sukcesach polskiej ofensywy bolszewicy otrząsnęli się i zaczęli marsz w kierunku Warszawy, który zakończył się w połowie sierpnia. Trauma po przegranej z Polakami ciągnęła się wiele lat. Polska aż do 1939 r. była przedstawiana jako ciągłe zagrożenie wiszące nad sowiecką Białorusią i Ukrainą. I tym tłumaczone były potężne zbrojenia Stalina.

Z jakim hasłem bolszewicy szli w 1920 r. na zachód?

Nieoficjalnym, ale prawdziwym hasłem było wtedy: „Na Zachód po trupie Polski". To słowa Lwa Trockiego, który dowodził wówczas Armią Czerwoną. Natomiast w przekazie oficjalnym bolsze-

eprasa.pl 8e76e32ead

wicy twierdzili oczywiście, że bronią się przed agresywną Polską i przy okazji idą wyzwalać uciskaną klasę robotniczą.

Rosja bolszewicka ogłaszała, że jej celem jest pokój, ale od samego początku wszystko podporządkowane było agresji. Wtedy jeszcze, w latach 1919 i 1920, Lenin liczył na to, że na Zachodzie dojdzie do rewolucji, której bolszewicy „pomogą". Jednak w latach 20. Kreml zrozumiał, że na światową rewolucję nie ma już szans. I Stalin zaczął przygotowywać swoje państwo do klasycznej agresji, gdzie – w związku z brakiem perspektyw na rewolucję w napadniętym kraju – sprawę rozstrzygnąć miała goła siła Armii Czerwonej.

Atak na Polskę w 1939 r. był w tej optyce wyzwoleniem „bratnich" narodów – Białorusinów i Ukraińców – gnębionych przez „pańską" Polskę. Stalin dużo lepiej niż Hitler starał się dbać o pozory.

Rok później Związek Sowiecki anektował państwa bałtyckie.

Stworzono wtedy pretekst wyborczy. Oficjalnie to nie była żadna agresja, tylko wyjście naprzeciw woli narodów bałtyckich. Według przedstawionych – wziętych z sufitu – wyników wyborczych Litwini, Łotysze i Estończycy w swojej masie chcieli być narodami sowieckimi.

W tym czasie Stalin postanowił wchłonąć maleńką, pod względem populacji, Finlandię, i również w tym przypadku Kreml zadbał o pozory, by nie wyjść na agresora. Sowieci spreparowali zajście w granicznej wsi Mainila, gdzie sami siebie ostrzelali. Dzięki temu można było ogłosić całemu światu, że Finlandia strzela do państwa chłopów i robotników! Stalinowi wydawało się, że ma potężną armię. Faktem jest, że miał wtedy 20 tys. czołgów, co było liczbą zapierającą dech w piersiach. Okazało się jednak, że bolszewickie wojsko było kolosem na glinianych nogach i Finowie skutecznie stawiali opór przez cztery miesiące. W końcu jednak musieli pójść na kompromis, ponieważ byli już wyczerpani. Odstąpili część swoich ziem, ale uchronili się przed utratą niepodległości.

Wiktor Suworow spopularyzował w swojej książce „Lodołamacz" tezę, że w 1941 r. Hitler uprzedził uderzenie Stalina. Ta wizja wciąż ma wielu obrońców. Czy pan jest jednym z nich?

Nie, ponieważ jest ona nieprawdziwa. Piłsudski miał w 1920 r. wgląd w plany Lenina. Hitler natomiast w 1941 r. nie wiedział, co zrobią Sowieci. Wojna prewencyjna to atak wobec nadchodzącego uderzenia przeciwnika. Tymczasem Hitler w 1941 r. nie czuł się zagrożony. Związek Sowiecki przygotowywał się oczywiście do wojny, ale Stalin nie zamierzał wtedy uderzać na zachód. Piszę o tym szerzej w swojej książce „Wojna Stalina". Więcej – w czerwcu 1941 r. ZSRS kompletnie nie był gotowy do wojny. Od 1940 r. Sowieci prowadzili wielki projekt rozbudowy armii, który jednak dopiero za dwa–trzy lata miał pozwolić Stalinowi rozpocząć własną wojnę.

Pisząc pod koniec lat 80. swoją słynną książkę, Suworow nie miał dostępu do sowieckich archiwów, a tym samym wielu dokumentów, które wtedy jeszcze nie były dostępne.

Po drugiej wojnie światowej Sowieci przeprowadzili kilka interwencji i również wtedy sięgali po swoje sprawdzone narracje.

Węgry w 1956 r. i Czechosłowacja w 1968 r. to inwazje, które miały zdławić próby wyrwania się spod bezpośredniej zależności Moskwy. „Bratnia, socjalistyczna pomoc" to stała śpiewka Kremla w czasie zimnej wojny. Co ciekawe, oba te kraje były wyjątkami na mapie bloku wschodniego – nie stacjonowały tam wojska sowieckie, co pozwoliło na rozpalenie buntu. Z punktu widzenia Kremla był to ogromny błąd, który okazał się bardzo kosztowny pod względem wizerunkowym, bo trzeba było zorganizować inwazje.

Gdyby Sowieci interweniowali w Polsce na przełomie lat 1980 i 1981, to również byłoby to ubierane w kostium „bratniej pomocy". Wojciech Jaruzelski zresztą błagał Sowietów o pomoc. Kreml nalegał jednak, by „uporządkował" sytuację w PRL, zdając się na własne siły. Sowieci nie mogli sobie wtedy pozwolić na interwencję, m.in. z powodu utknięcia w Afganistanie. Oni wiedzieli, że „Polacy nie Szwejki" i w PRL nie powtórzy się sytuacja z Czechosłowacji. Sowieci obawiali się drugiego Afganistanu w Europie Środkowej. Moskwa obłożona była już potężnymi sankcjami i nie chciała narażać się na kolejne problemy.

Nawiasem mówiąc, atak na Afganistan w 1979 r. Sowieci tłumaczyli jako pomoc wysłaną na prośbę nowego rządu afgańskiego, by zabezpieczyć zdobycze socjalizmu. Robotników wówczas w Afganistanie praktycznie nie było, więc „teorię wyzwolenia" zastosowano wobec pasterzy.

W czasach carskich agresje na sąsiadów nie były chyba tak dobrze „opakowywane" propagandowo?

Przede wszystkim Rosjanie nie mieli takiego wsparcia na Zachodzie w lewicowych kręgach intelektualnych. Rosja grała wtedy kartą panslawizmu, twierdząc, że skupia wokół siebie wszystkich Słowian. A to przecież nie mogło rezonować gdzie indziej na świecie tak dobrze jak komunizm.

Putinowska Rosja już kilka razy pokazała, że jeżeli idzie na wojnę, to tylko w obronie własnej. Pierwszą ofiarą takiego PR była Czeczenia.

Jak doskonale już wiemy, Rosja była w stanie poświęcić wtedy kilkuset swoich obywateli, wysadzając bloki mieszkalne, by zyskać pretekst do zgniecenia Czeczenii. Innym mechanizmem narracyjnym jest „paszportyzacja", co było widać w przypadku Abchazji i Osetii, Krymu i Ukrainy Wschodniej. Wydawano ludziom zamieszkującym te tereny paszporty rosyjskie, by następnie móc ich „bronić". Niestety, podobny mechanizm może zostać wykorzystany w przypadku Łotwy i Estonii, gdzie Moskwa znów może zechcieć zadbać o „bezpieczeństwo" mieszkających tam Rosjan.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że zwalczaniu rosyjskiej narracji wojennej nie pomogli sami Amerykanie, przeprowadzając w 2003 r. – pod zmyślonym pretekstem – interwencję w Iraku, do której przyłączyli się sami Polacy...

I to był wielki błąd, który do dziś wykorzystuje Rosja. Podobnym błędem było zbombardowanie Serbii i oderwanie Kosowa od Serbii. Dzięki temu Kreml może dziś mówić, że Zachód jest pełen hipokryzji, krytykując Rosję za oderwanie Krymu i Donbasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Bogdan Musiał jest historykiem, znawcą XX-wiecznych dziejów Niemiec i Związku Sowieckiego, autorem książki „Wojna Stalina. 1939–1945: terror, grabież, demontaże".

eprasa.pl 8e76e32ead



Jacek Przybylski

Gilotyna nad



Ogłoszony 5 października francuski rząd przetrwał zaledwie 12 godzin. To piąty gabinet, który upadł w ciągu dwóch lat. Zdecydowana większość Francuzów o paraliż państwa oskarża więc samego prezydenta. Przybywa też polityków, którzy żądają nie tylko przedterminowych wyborów do Zgromadzenia Narodowego, lecz także głowy gospodarza Pałacu Elizejskiego

Gdy po ponad trzech tygodniach trudnych zakulisowych negocjacji premiera Sébastiena Lecornu w niedzielę 5 października ogłoszono wreszcie skład „nowego" francuskiego rządu, trudno było nie zauważyć, że gabinet nie różni się znacząco od tego, który nie uzyskał we wrześniu wotum zaufania francuskiego parlamentu. Aż 12 z 18 ministrów pełniło już bowiem funkcję w rządzie François Bayrou, który po druzgocącej porażce w Zgromadzeniu Narodowym złożył dymisję 9 września.

Exposé premiera Lecornu – który swą misję otrzymał od prezydenta 9 września – zaplanowano na wtorek 7 października. I chociaż liderzy opozycji wkrótce po ogłoszeniu składu gabinetu zapowiedzieli, że prędzej czy później poprą wniosek o wotum nieufności dla nowego rządu, to część komentatorów wyrażała nadzieję, że tym razem okaże się, iż „do pięciu razy sztuka" i że rząd Lecornu przetrwa choć kilka miesięcy. Wielu Francuzów ma bowiem dość politycznego chaosu i upadających jeden po drugim rządów, które doprowadziły do „stanu permanentnej niestabilności".

ŻAŁOSNY SPEKTAKL

Życie szybko i brutalnie zweryfikowało jednak optymistyczne prognozy frankofilów marzących o tym, by żałosny polityczny spektakl w Paryżu dobiegł wreszcie końca. Już w poniedziałkowy poranek, dokładnie o godz. 9.42, nowy premier Sébastien Lecornu złożył na ręce prezydenta Emmanuela Macrona dymisję powołanego nieco ponad 12 godzin wcześniej rządu. Tym samym 39-latek zapisał się na kartach historii V Republiki jako nowy rekordzista w coraz bardziej popularnej nad Sekwencją konkurencji: krótkotrwałości gabinetu. Jego rząd upadł dokładnie po zaledwie 836 minutach. Po raz ostatni francuski rząd upadł tak szybko w roku 1924, jeszcze w czasach III Republiki.

Sébastien Lecornu wyjaśniał, że podjął taką decyzję, gdyż po rozmowach nie tylko z politykami, lecz także z liderami związków zawodowych i organizacji społecznych doszedł do wniosku, że nie ma szans na przyjęcie proponowanego przez nowy rząd budżetu. Teoretycznie wszyscy francuscy politycy wiedzą, że należy zmniejszyć deficyt budżetowy. Partyjni liderzy nie potrafią jednak porozumieć się w sprawie tego, czy lepsze byłyby cięcia wydatków (na które nie zgadzają się lewicowi aktywiści) czy nowe podatki.

Prezydent Macron w poniedziałek przyjął dymisję Lecornu, po czym powierzył mu kolejną polityczną misję: przeprowadzenia rozmów „ostatniej szansy" i wypracowania do środowego wieczoru „płaszczyzny na rzecz stabilności kraju".

Kolejne zadanie z kategorii „mission impossible" nie przyniosło sukcesu na miarę hollywoodzkich produkcji. Sébastien

eprasa.pl 8e76e32ead



Macronem

Kolejne porażki prezydenta Emmanuela Macrona sprawiają, że traci on nawet najbliższych sojuszników FOT. RALF HIRSCHBERGER/AFP/EAST NEWS

Lecornu oznajmił jedynie, że prezydent Emmanuel Macron mianuje nowego premiera „w ciągu najbliższych 48 godzin". I tymczasowo wykluczył możliwość przyspieszonych wyborów. Według Lecornu w poniedziałek 13 października miałby zostać przedstawiony projekt budżetu na 2026 r. Gdy w piątek zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", nowy, szósty już premier w ciągu dwóch lat, wciąż nie został wyznaczony. Prezydent wezwał jednak do Pałacu Elizejskiego przywódców partii przed ogłoszeniem swojej decyzji.

SZANSA DLA LE PEN

Nad Sekwaną przybywa tymczasem zwolenników rozwiązania Zgromadzenia Narodowego i ogłoszenia przedterminowych wyborów. – Nie ma odwrotu, nie ma innej drogi. Konieczne jest rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego i rozpisanie nowych wyborów parlamentarnych. Inne działania można traktować jako irracjonalne – przekonuje Marine Le Pen. – Nie może być stabilności bez powrotu do urn – wtóruje jej jeden z liderów prawicowego Zjednoczenia Narodowego (RN) Jordan Bardella. Przywódcy partii przedstawianej od lat jako „skrajnie prawicowa" i „populistyczna" mają powody do zadowolenia. Ich zwolenników przybywa, gdyż ostrzeżenia przed tym, że „prawicowi populiści" pogrążą Francję w politycznych tarapatach, brzmią groteskowo w sytuacji, gdy wygłaszają je dojrzali „republikańscy" lub „demokratyczni" politycy, którzy sami zamienili parlament w kiepski polityczny cyrk.

W przyspieszonych wyborach Zjednoczenie Narodowe ma więc szansę na wyraźne zwycięstwo i zdobycie wraz z UDR 33–34 proc. głosów i ok. 240 mandatów w 577-osobowym Zgromadzeniu Narodowym (mniej więcej o 100 więcej niż obecnie). Według sondaży sojusz lewicy mógłby liczyć na 18–24 proc. głosów. Blok centrowy odnotowałby zaś kolejny poważny spadek liczby parlamentarzystów.

Emmanuel Macron z pewnością wolałby uniknąć takiego scenariusza. Obecny polityczny impas został w końcu wywołany jego decyzją o rozwiązaniu parlamentu wiosną roku 2024. Cel tego ryzykownego manewru był teoretycznie prosty: uzyskanie przez ludzi Macrona wyraźnej większości po dotkliwej porażce prezydenckiej partii Odrodzenie w wyborach do Parlamentu Europejskiego w czerwcu 2024 r. (historyczne zwycięstwo odniosło wówczas Zjednoczenie Narodowe, zdobywając ponad 7,7 mln głosów).

Prezydent jednak mocno przeszarżował. Po wyborach w roku 2022 obóz prezydencki dysponował względną większością głosów. Tymczasem w efekcie przedterminowych wyborów w czerwcu i w lipcu (II tura) 2024 r. blok centrowy utracił względną większość. Najwięcej mandatów uzyskała wówczas koalicja partii lewicowych – Nowy Front Ludowy (NFL). Koalicja, którą stworzyły skrajnie lewicowa Francja Nieujarzmiona (LFI), Partia Socjalistyczna (PS), Ekolodzy, Place publique i Partia Komunistyczna, osiągnęła jednak wynik znacznie poniżej prognoz sondażowych. Podczas wyborów żadna partia nie zdobyła zaś bezwzględnej większości. W wyniku błędnej kalkulacji prezydenta Macrona powstało więc Zgromadzenie Narodowe, w którym żaden lider nie ma wystarczająco dużo głosów, aby móc powołać w miarę stabilny rząd większościowy, a co dopiero mówić o sile na przeprowadzenie koniecznych bolesnych reform. Taki wynik wyborów był efektem działania tzw. frontu republikańskiego, czyli nieformalnej koalicji partii od lewicy do centrum – stworzonej w celu

eprasa.pl 8e76e32ead

pokonania kandydatów Zjednoczenia Narodowego (RN).

Podział parlamentu na trzy bloki o mniej więcej równych siłach skutecznie paraliżuje możliwość rządzenia Francją. Wszyscy partyjni liderzy zdają sobie sprawę, że nie mają obecnie szans na stworzenie stabilnego gabinetu, więc skupiają się na umacnianiu swej pozycji w sondażach przed wyborami prezydenckimi w 2027 r. Mimo ewidentnego paraliżu, gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", Pałac Elizejski nie ogłosił decyzji w sprawie rozwiązania parlamentu. Gdyby Zgromadzenie Narodowe miało jednak zostać rozwiązane, Francuzi musieliby pójść do urn w ciągu 40 dni. To zaś oznaczałoby, że głosowanie najprawdopodobniej odbyłoby się w drugiej połowie przyszłego miesiąca (zapewne 16 i 23 listopada).

OSAMOTNIONY PREZYDENT

Wiadomo na pewno, że dymisja kolejnego premiera Francji jeszcze bardziej osłabiła pozycję 47-letniego Emmanuela Macrona. W ciągu zaledwie jednego roku aż trzech polityków wyznaczonych przez prezydenta do piastowania funkcji szefa rządu podało się do dymisji. Pomijając rekordzistę Sébastiena Lecornu, który nie zdążył nawet wygłosić exposé i przedstawić parlamentarzystom własnego projektu budżetu na rok 2026, gabinety François Bayrou i Michela Barniera zdołały przetrwać odpowiednio dziewięć miesięcy (od grudnia 2024 r. do września 2025 r.) oraz trzy miesiące (od września do grudnia 2024 r.).

Trudno o lepszy dowód na nieudolność obecnego prezydenta, który ewidentnie nie potrafi znaleźć sposobu na wyjście z jednego z najtrudniejszych kryzysów politycznych w historii V Republiki. Gospodarz Pałacu Elizejskiego traci więc nawet najbliższych sojuszników. Gabriel Attal – przywódca centrowej partii Macrona Renaissance, który przez pół roku w 2024 r. sam stał na czele rządu w Paryżu – nawet nie próbuje bronić kolejnych posunięć Macrona. – Podobnie jak wielu Francuzów nie rozumiem już decyzji prezydenta – przyznał Attal w wywiadzie dla ogólnokrajowej telewizji TF1.

Według sondażu opublikowanego przez dziennik „Le Figaro" aż 87 proc. Francuzów uważa, że to prezydent ponosi „całkowitą" lub „częściową" winę za paraliż państwa. Przybywa również Francuzów, którzy żądają zatem nie tylko nowego rozdania w Zgromadzeniu Narodowym, lecz także głowy nieudolnego gospodarza Pałacu Elizejskiego, któremu do końca kadencji zostało jeszcze formalnie aż 18 miesięcy. Według sondaży już niemal trzy czwarte ankietowanych uważa, że prezydent powinien ustąpić jak najszybciej. Gdyby tak się stało, to największe szanse na przeprowadzkę do Pałacu Elizejskiego mieliby były premier Édouard Philippe (rządził krajem w latach 2018–2020) oraz kandydat RN.

Według sondażu opublikowanego przez dziennik „Le Figaro" aż 87 proc. Francuzów uważa, że to prezydent Emmanuel Macron ponosi „całkowitą" lub „częściową" winę za paraliż państwa

Sam Philippe w ubiegłym tygodniu wezwał Macrona do rozważenia przedterminowych wyborów prezydenckich po uchwaleniu budżetu na rok 2026 i podkreślił, że deklaracja urzędującego prezydenta, który obiecał wyborcom, że pozostanie w Pałacu Elizejskim do końca swojej kadencji, może być szkodliwa dla kraju.

Większość francuskich polityków i komentatorów zdaje się być przekonana do tego, że o wiele bardziej prawdopodobne jest, iż Emmanuel Macron rozwiąże parlament, niż to, że on sam poda się do dymisji. Niektórzy wzywają więc do usunięcia Macrona z urzędu przymusem jeszcze przed zaplanowanymi na rok 2027 wyborami prezydenckimi. – To Emmanuel Macron jest odpowiedzialny za chaos polityczny we Francji – grzmiał przywódca skrajnie lewicowej partii Francja Niepokorna (La France insoumise) Jean-Luc Mélenchon, apelując do innych polityków o poparcie wniosku o rozpoczęcie procedury impeachmentu prezydenta. Na razie taki scenariusz wydaje się jednak mało prawdopodobny, ponieważ Mélenchon w sprawie poparcia wniosku o impeachment Macrona może liczyć głównie na Zielonych, a do sukcesu tego pomysłu potrzeba akceptacji dwóch trzecich członków obu izb Zgromadzenia Narodowego.

AGONIA FRANCUSKICH FINANSÓW

Narastający kryzys polityczny znacząco osłabia pozycję Emmanuela Macrona na arenie międzynarodowej. Zagraża również stabilności ustrojowej kraju, a także tworzy ryzyko poważnej zapaści gospodarczej. Zaskakująca decyzja Lecornu wywołała gwałtowną wyprzedaż akcji na francuskiej giełdzie papierów wartościowych. Pogłębiła również obawy światowych inwestorów o stabilność polityczną i gospodarczą kraju, którego zadłużenie wciąż rośnie i który – aby sprzedawać kolejne serie obligacji – musi wypłacać coraz wyższą premię na ryzyko. Francuski dług publiczny już na początku roku przekroczył poziom 3,345 bln euro, czyli 114 proc. PKB. A wiele wskazuje na to, że już w przyszłym roku wzrośnie do 118 proc. PKB. To kolejny przykład porażki rządów prezydenta Emmanuela Macrona, gdyż na początku jego prezydentury w 2017 r. stosunek długu do produktu krajowego brutto stanowił „tylko" 101 proc. Kiepski polityczny spektakl przerodził się w największy polityczny kryzys we Francji od ponad sześciu dekad. I sprawił, że niestabilna Francja przez inwestorów jest już traktowana niczym Grecja czy Włochy (czytaj: musi płacić coraz więcej, aby znaleźć chętnych na swój dług).

Inwestorom trudno odmówić racji. We Francji już mówi się bowiem o zgodzie obozu prezydenckiego np. na zawieszenie reformy emerytalnej (z wielkim trudem uchwalonej w roku 2023), która stopniowo podwyższa wiek emerytalny (z 62 do 64 lat). Dla lewicowców cofnięcie tej reformy jest kluczowe. Zgoda Pałacu Elizejskiego na zawieszenie tej reformy byłaby więc zapewne konieczna do mianowania lewicowego premiera. Dzięki kohabitacji Macron miałby szansę przetrwać kolejne miesiące. Dla stanu francuskich finansów publicznych uleganie destrukcyjnej lewicy oznaczałoby jednak tylko przyspieszenie agonii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



„BUNT ŻELIGOWSKIEGO" – JAK POLACY ODZYSKALI WILNO

Wielka gra o Wileńszczyznę – Józef Piłsudski chciał stworzyć federację na ziemiach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wilno w polskich rękach miało być kartą przetargową

Miasto miłosierdzia – Cudowne wizerunki Jezusa i Matki Bożej przyciągają do Wilna tysiące wiernych. Dzieje powstania obu świętych dla Polaków obrazów pełne są zaskakujących wątków

Piastowski demon – Bolesław Rogatka okazał się jednym z największych łotrów i szubrawców tej wielkiej polskiej dynastii

Na ostatnim posterunku – Straceńcze boje to nie tylko polska specjalność. Często mimo braku militarnego sensu przynosiły one mniej lub bardziej dalekosiężne skutki i były również powodem do dumy dla przyszłych pokoleń

W kleszczach walk AK i UPA – Pod koniec wojny na Hrubieszowszczyźnie niemal każdy walczył z każdym. Polskie podziemie w bardzo brutalny sposób pacyfikowało ukraińskie wsie, starając się zastraszyć ukraińskich nacjonalistów

Pośpiech Anny Kamieńskiej – Po śmierci męża poetka stwierdziła: „Szukałam umarłego, a znalazłam Boga". Ksiądz Twardowski nie nawracał jej. Zrozpaczona po śmierci męża sama odnalazła Boga

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 8e76e32ead

Babiš przejmuje stery



FOT. PETR DAVID JOSEK/AP/EAST NEWS



Maciej Szymanowski

Przy rekordowo wysokiej frekwencji (69 proc.), z drugim najwyższym poparciem wyborców w ostatnim ćwierćwieczu (34 proc.), jasnym zwycięzcą wyborów parlamentarnych w Republice Czeskiej stała się partia ANO z jej liderem Andrejem Babišem. W ten sposób dobiegły końca czteroletnie rządy szerokiej prawicowo-liberalnej koalicji pod wodzą premiera Petra Fiali, której największym sukcesem okazało się to, że przetrwała pełne cztery lata

Zawiązane pod hasłem „anty-Babiš" porozumienie pięciu czeskich partii, które utworzyły rząd pod koniec 2021 r., działało jako koalicja w komfortowych warunkach posiadania wygodnej większości w izbie poselskiej i senacie, mogące od wiosny 2023 r. liczyć także na pełne wsparcie ze strony nowego prezydenta Petra Pavla. Pomimo to okazało się, że obietnice wyborcze pozostaną obietnicami, działania rządu są przypadkowe i reaktywne, a lider partii ODS Petr Fiala, w przeszłości popularny minister szkolnictwa, nie potrafi odnaleźć się w funkcji premiera. W ten sposób ostatnie cztery lata w Czechach to czas podwyższania, a nie obiecanej redukcji podatków. Stagnacji płac realnych. Znaczących podwyżek cen energii elektrycznej i podstawowych artykułów żywnościowych, co zaowocowało pojawieniem się „nowej tradycji", tj. masowej turystyki zakupowej w Polsce.

Flagowa obietnica z kampanii wyborczej 2021 r., to jest uzdrowienie finansów publicznych oraz eliminacja deficytu budżetowego, zakończyła się jedynie połowicznym sukcesem. Uszczelnienie systemu podatkowego okazało się fikcją, a deficyt budżetowy państwa zmalał co prawda o połowę, ale dalej pozostaje wielokrotnie wyższy niż w czasach przedcovidowych. To o tyle ważne, że czeski patriotyzm w dużej mierze – bardziej niż np. polski – oparty jest na potrzebie dumy z własnej gospodarki. Jednym z powodów popularności prawicy w Czechach w latach 90. i jej lidera Vaclava Klausa były – jakkolwiek dziwnie by to brzmiało w dzisiejszych czasach – budżety państwa niewykazujące nawet jednej korony deficytu.

METAMORFOZA PETRA FIALI

Największym zaskoczeniem, zwłaszcza dla konserwatywnego wyborcy, okazała się jednak chyba polityka rządu Fiali w kwestiach światopoglądowych. Przeforsowanie ustawowej akceptacji dla małżeństw jednopłciowych (choć bez prawa do adopcji), wprowadzenie do debaty publicznej dyskusji o legalizacji eutanazji (formalny postulat koalicyjnej partii Stan w obecnej kampanii) czy ingerencje podejmowane przez ministra szkolnictwa Mikulaša Beka na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Karola, którego dwaj kolejni dziekani zostali pozbawieni funkcji. Z jakiego powodu? Formalnie z powodu błędów popełnionych w zarządzaniu, a w rzeczywistości z uwagi na spór z najwyższymi władzami uniwersytetu o prawo do przekazywania wiedzy zgodnej z nauką Kościoła katolickiego. Na przykład poprzez możliwość rezygnacji z usług wykładowców tłumaczących studentom, że grzech to „mniejsze dobro", a nie świadome wykroczenie wymagające pokuty, a religie to „równe sobie różne języki opisujące tę samą rzeczywistość".

Metamorfoza Petra Fiali, publicznie odwołującego się do swojego katolicyzmu, dotyczyła także innych dziedzin życia publicznego. W książkach, które napisał, zanim jeszcze został premierem, a które wciąż można nabyć za pośrednictwem stron internetowych instytutu jego imienia, prof. Fiala piętnował multikulturalizm, przestrzegał przed konsekwencjami masowego napływu nielegalnych imigrantów spoza Europy do Unii Europejskiej, zżymał się na omnipotencję Komisji czy oderwanie od rzeczywistości Parlamentu Europejskiego. Fiala jako premier zaakceptował np. Pakt Migracyjny, a w kampanii wyborczej hojnie sięgał do najmodniejszej obecnie w Brukseli, skrajnie polaryzującej frazeologii, zgodnie z którą partie i politycy dzielą się na siły demokratyczne

eprasa.pl 8e76e32ead

oraz antydemokratyczne i jeśli ktoś za coś krytykuje głośno Unię, staje się z automatu populistą, ekstremistą i ogólnie agentem wpływu rosyjskiego reżimu.

POWYBORCZA UKŁADANKA

Jak się okazało, w dniach 3–4 października br., kiedy w Czechach odbywały się wybory parlamentarne, argumentacja taka trafiła do przekonania zbyt małej liczby obywateli, aby móc otrzymać od wyborców przedłużenie mandatu do rządzenia na kolejne cztery lata. Poza Pragą i Brnem partia ANO wygrała bowiem zdecydowanie, zapewniając sobie 80 mandatów w 200-osobowej izbie poselskiej. Tylko z powodu ordynacji wyborczej niepremiującej zwycięzcy, jak w Polsce, do sprawowania władzy będzie potrzebowała poparcia koalicyjnych partnerów. Ponieważ partie tworzące rząd Fiali zarówno w kampanii, jak i po jej zakończeniu odmawiają rozmów o jakiejkolwiek współpracy, najbardziej prawdopodobnymi partnerami ANO w rządzie wydają się w chwili obecnej SPD (15 mandatów) oraz AUTO (Zmotoryzowani, 13). Motorem popularności tej ostatniej stał się planowany zakaz korzystania z motorów spalinowych na terytorium UE, a jej ojcem duchowym jest już wspomniany były premier i prezydent Vaclav Klaus. Podobnie jak ma to miejsce w przypadku ANO, europoseł tej partii (Filip Turek) zasiada w konserwatywnej frakcji Patrioci dla Europy, wydaje się więc ona dość naturalną częścią przyszłego rządu.

Z bardziej skomplikowaną sytuacją mamy do czynienia w przypadku partii Wolność i Demokracja Bezpośrednia SPD, której liderem jest pochodzący z czesko-japońskiej rodziny Tomio Okamura. Tego odnotowanego w Księdze rekordów Guinnessa autora najdłuższego przemówienia parlamentarnego w dziejach świata (10 godz. 44 min non stop, bez żadnej przerwy) z urodzonym w Bratysławie Słowakiem Andrejem Babišem łączą daleko idący dystans do centralizacji Unii Europejskiej, ponadprzeciętne osobiste zaangażowanie i pracowitość, a także mocno impulsywny charakter. W Parlamencie Europejskim SPD zasiada we frakcji Europa Suwerennych Narodów (m.in. z AfD i częścią polskiej Konfederacji). W kontekście unijnym partia w kampanii podkreślała konieczność wypowiedzenia Green Dealu oraz przyjęcia ustawy umożliwiającej organizację referendum w sprawie dalszego członkostwa w UE (gdyby zaszła taka potrzeba). Ponadto postulowała odebranie wsparcia finansowego udzielanego ukraińskim uchodźcom wojennym w Czechach (ok. 450 tys. osób, proporcjonalnie najwięcej w państwach UE), a zarazem rozbudowanie programów socjalnych dla obywateli własnego kraju. SPD dała się poznać jako przeciwnik udzielania dalszej pomocy wojskowej Ukrainie, co – wbrew licznym doniesieniom w Polsce – wcale nie jest zdaniem podzielanym przez ANO.

ANO i jego lider Andrej Babiš mówi bowiem „nie" dla pomocy bezzwrotnej na rzecz Ukrainy. Nie ma nic przeciwko sprzedaży broni przez czeskie przedsiębiorstwa, co wielokrotnie podkreślał zarówno przed wyborami, jak i po nich. Należy więc zakładać, że czeskie zakłady zbrojeniowe będą dalej otrzymywać licencje eksportowe, a mówimy o handlu, który w latach 2023–2024 (nowszych danych brak) wzrósł o ok. 700 proc.

Nie do końca jasna jest za to polityka przyszłego czeskiego rządu dotycząca zakupów rosyjskich surowców energetycznych. W ubiegłym roku, jak ujawnił w marcu br. tygodnik „Echo24", Czechy zaczęły gwałtownie zwiększać zakupy rosyjskiego gazu (LNG) – notabene nie będąc w tym procederze odosobnione (Francja, Belgia, Hiszpania, Włochy). Także większość (58 proc.) zakupionej w ubiegłym roku ropy była pochodzenia rosyjskiego. Ropy w postaci ropy albo benzyny produkowanej z rosyjskiej ropy na Słowacji.

Co jest o tyle ciekawe, że jako powód zerwania z praktyką okresowych wspólnych posiedzeń czeskiego i słowackiego rządu i ogólnego ograniczenia kontaktów z Bratysławą oficjalnie zwykło się podawać w ostatnich latach uzależnienie Słowacji od Rosji. Zmiana rządu w Pradze raczej na pewno będzie oznaczać porzucenie tej dwulicowej polityki i powrotu do ponadstandardowych kontaktów. Prawdopodobnie pojawi się również rychło inicjatywa reaktywacji działalności Grupy Wyszehradzkiej. Andrej Babiš – podobnie jak Robert Fico i Viktor Orbán – jest bowiem wielkim zwolennikiem wyszehradzkiej współpracy jako „twardego jądra" szerszej kooperacji środkowoeuropejskiej oraz sprawnie wykorzystywanego przez lata – właśnie w czasie, gdy wspomniani piastowali w swoich krajach funkcję premiera – mechanizmu budowania sojuszy, mniejszości blokujących w UE (patrz: skuteczne odrzucenie przymusowej relokacji nielegalnych imigrantów w 2016 r. przez V4).

Z POLSKĄ CZY BEZ POLSKI

Pytaniem pozostaje tylko, czy ta reaktywacja Grupy Wyszehradzkiej odbędzie się z Polską czy bez niej, która nawet niedawną własną prezydencję w V4 (2024/2025) w zasadzie zbojkotowała. No i, oczywiście, pytanie nie mniej ważne, które się tutaj rodzi: Czy V4 bez Warszawy będzie oznaczać formalne zaproszenie do bliższej współpracy innych państw, takich jak Austria, Chorwacja, Słowenia (o co wspomniane kraje w przeszłości wielokrotnie zabiegały)?

W kontekście interesów Polski warto odnotować, że w kampanii Andrej Babiš nie wracał do sprawy konfliktu o kopalnię Turów. Podkreślał za to wielokrotnie, że „Warszawa zawsze będzie mogła liczyć na Pragę", co zapewne jest też echem słynnego zmanipulowania jego wypowiedzi z 2023 r. dotyczącej braku chęci pomocy Polsce zgodnie art. 5 paktu północnoatlantyckiego w przypadku ataku Rosji na nasz kraj (wyrażona wówczas opinia w rzeczywistości była odpowiedzią na pytanie, czy wsparłby Polskę, gdyby ta zaatakowała Rosję, a więc dotyczyła Polski jako agresora). Ponadto należy spodziewać się, że nowy czeski rząd dalej będzie popierać działania prezydenta Trumpa w kwestii zakończenia wojny na Ukrainie. I tak jak miało to miejsce do tej pory, dalej będzie prowadzić politykę proizraelską jak już mało które państwo UE.

Ze spraw nam nieco bliższych, na pewno warto będzie obserwować działania nowego czeskiego rządu w wiodących tematach unijnych. Jeśli tylko premier Babiš dotrzyma swojej wyborczej obietnicy, to już na pierwszym posiedzeniu nowego gabinetu ma zostać wypowiedziany Pakt Migracyjny UE oraz wyrażony formalny sprzeciw wobec ETS2, czyli kolejnego systemu ograniczeń emisji dwutlenku węgla, tym razem produkowanego przez gospodarstwa domowe i transport.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl 8e76e32ead

Czy Tony Blair odmieni los Strefy Gazy?



Na reputacji dawnego brytyjskiego premiera wciąż mocno ciąży udział Wielkiej Brytanii w inwazji na Irak w 2023 r. FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES



Teresa Stylińska

Były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair odszedł ze stanowiska wiosną 2007 r. W przeciwieństwie do wielu polityków nie trafił dotąd na polityczną emeryturę, której istotą jest objeżdżanie świata z dobrze płatnymi wykładami. Przez ostatnich 18 lat był i nadal jest aktywny jako wysłannik, doradca i twórca instytutu, który nosi jego imię

Teraz otwiera się przed nim perspektywa nowa i, jeżeli wierzyć wtajemniczonym, wręcz upragniona: ma wejść w skład planowanej przez Donalda Trumpa Rady Pokoju, której zadaniem ma być doprowadzenie do zakończenia wojny w Gazie, w dalszej perspektywie zaś – jeżeli tylko się da – do pokoju między Izraelem a Palestyńczykami.

Dlaczego wybór Trumpa padł na Blaira, skoro na świecie jest cała plejada polityków, którzy z ochotą wzięliby na siebie to zadanie? Rada Pokoju na razie wygląda dość enigmatycznie, z pewnością jednak być w gronie jej członków to nie lada prestiż. A jeśli rada osiągnie cel, to uczestnikom przyniesie to chlubę i chwałę i, kto wie, może nawet Pokojową Nagrodę Nobla.

Na decyzji prezydenta zaważyły, jak można sądzić, dwa elementy. Po pierwsze, od chwili odejścia z brytyjskiej polityki Tony Blair żyje sprawami Bliskiego Wschodu. Ci, którzy dobrze go znają, mówią, że na tym punkcie ambitny Blair ma wręcz obsesję. Po drugie, w rozwiązywaniu konfliktów ma on już doświadczenie, bo to za jego rządów i z jego udziałem doszło do zawarcia w kwietniu 1998 r. układu pokojowego, nazwanego porozumieniem wielkopiątkowym, które otworzyło drogę do pokoju w Irlandii Północnej. Blair – znów według dobrze znających jego aspiracje – marzy, by to powtórzyć na Bliskim Wschodzie. A że zadanie bliskowschodnie jest niepomiernie trudniejsze, tym większy byłby sukces.

INNA SKALA, INNE PROBLEMY

Czy porozumienie wielkopiątkowe może stanowić rekomendację dla Blaira? Czy daje mu pożądany certyfikat „peacemakera" człowieka, który jest w stanie zaprowadzić pokój? Tylko częściowo. Nie on zainicjował północnoirlandzki proces pokojowy, nie brał też udziału w bieżących rozmowach. Pierwsze przymiarki zaczęły się parę lat wcześniej, za rządów konserwatystów i premiera Johna Majora. Na rządy laburzystów przypada niespełna rok rozmów, były to jednak kluczowe ostatnie miesiące.

Blairowi przypisuje się za to umiejętność nie do przecenienia podczas negocjacji, zwłaszcza tak trudnych: potrafi skłonić przeciwników, by pozostali przy stole rozmów nawet wtedy, gdy są o krok od ich zerwania. Ma zatem, jak to ktoś określił, umiejętność przerzucania mostów czy też gaszenia nagłych pożarów.

Nie sposób też dzisiaj przewidzieć, jak od strony organizacyjnej może wyglądać bliskowschodni proces pokojowy – miejsca, uczestnicy, harmonogram – bo wszystko jest jeszcze w bardzo wstępnej fazie. Nie wiadomo więc również, na jaką rolę może liczyć Blair. Nie potwierdziły się pierwsze doniesienia, według których to on miał stanąć na czele Board of Peace, a ze stwierdzenia Trumpa, według którego Blair to „very good man", nic konkretnego nie wynika. Trudno zresztą dociec, co konkretnie prezydent USA miał na myśli: charakter Blaira czy też jego doświadczenie i talenty. Niektórzy obserwatorzy sądzą, że przypadnie mu

eprasa.pl 8e76e32ead

kierowanie sprawami na miejscu. Fakt, że Tony Blair Institute for Global Change, jak brzmi jego pełna nazwa, ma tam placówki i wielu ludzi, mógłby za tym przemawiać.

A czy – są i takie opinie – proces pokojowy i ewentualne porozumienie mogą czerpać z treści porozumienia z Belfastu? Nie sądzę. Inna jest skala, inne problemy. W Ulsterze, poza jawną dyskryminacją katolików, na pierwszym planie znalazła się – jakżeby inaczej? – kwestia zjednoczenia Irlandii. Na Bliskim Wschodzie w grę wchodziłoby nie zjednoczenie, lecz podział, bo do tego sprowadza się powstanie państwa palestyńskiego. I tu, i tam ważnym elementem było rozbrojenie bojowników czy też, jak kto woli, terrorystów. Złożenie broni to element wspólny. Ale co dalej? Ludzie Hamasu, zgodnie z planem Trumpa, mają opuścić kraj, członkom północnoirlandzkich grup paramilitarnych takich wymogów nigdy nie stawiano.

Między sytuacją w Ulsterze i konfliktem izraelsko-palestyńskim trudno doszukać się podobieństw, poza faktem najbardziej oczywistym: obie strony konfliktu dzieli trudna przeszłość i nienawiść, którą w imię przyszłości należy przezwyciężyć. Trudno zatem ocenić, czy w Gazie i Izraelu północnoirlandzkie doświadczenia Tony'ego Blaira okażą się przydatne.

NOWA PARTIA, NOWY PREMIER

Pokój na Bliskim Wschodzie jest bez wątpienia zadaniem na miarę ambicji Blaira. I bez tego jednak ma on bogaty życiorys polityczny. Był liderem opozycji, jako szef Partii Pracy, zreformował ją i w 1997 r. doprowadził do wielkiego zwycięstwa, trzykrotnie wygrał wybory i przez 10 lat był premierem. Jego trwałe dokonania są przy tym nie do przeniesienia na inny grunt. Z jednej bowiem strony dotyczą Partii Pracy, która przeszła gruntowną metamorfozę, stając się partią centrolewicową, z drugiej kształtu – Wielkiej Brytanii, która przestała być państwem unitarnym.

W epoce Margaret Thatcher, która swą polityką gospodarczą wydobyła Wielką Brytanię z zastoju, Partia Pracy aż 18 lat (!) pozostawała w opozycji. Cztery razy z rzędu przegrała wybory i uchodziła za, jak to określano, partię „niewybieralną". Tę beznadziejną sytuację zmieniło dopiero przestawienie jej na nowe tory w duchu „trzeciej drogi", łączącej kapitalizm z socjalizmem, rezygnacja ze świętego celu, jakim była nacjonalizacja gospodarki, plus ograniczenie wpływów potężnych związków zawodowych. Nic dziwnego, że po zwycięstwie w wyborach z 1997 r. Blaira traktowano nieledwie jak zbawcę. Miał 44 lata i był najmłodszym premierem od 1812 r., gdy szefem rządu został 42-letni Robert Jenkinson, lord Liverpool.

Za rządów Blaira przeprowadzono także tzw. dewolucję, tworząc trzy autonomiczne regiony: Szkocję, Walię i Irlandię Północną, każdy z własnym parlamentem i rządem, choć o różnym zakresie uprawnień. Idea dewolucji nie zrodziła się wprawdzie za rządów Partii Pracy, tak się jednak złożyło, że to laburzyści wprowadzili ją w życie.

DUCH NOWYCH CZASÓW

Tony Blair, urodzony w 1953 r. w Edynburgu (choć nie jest Szkotem, lecz Anglikiem), był pierwszym przedstawicielem nowego, powojennego pokolenia na szczytach władzy. Zapewne dlatego lepiej rozumiał nowe oczekiwania i ducha nowych czasów. To właśnie on, premier od zaledwie kilku miesięcy, ocalił reputację monarchii, rodziny królewskiej i samej królowej Elżbiety podczas kryzysu, który wynikł po śmierci wielbionej przez naród księżnej Diany. Blair rozumiał, że jeśli monarchia ma przetrwać, to rodzina królewska nie może pozwolić sobie na zlekceważenie nastrojów społecznych, i to on miał przekonać królową, by wyszła do ludzi, którzy oczekiwali od niej okazania choć odrobiny żalu. Co ciekawe, jego żona Cherie, zdeklarowana antymonarchistka, z której zdaniem podobno zawsze bardzo się liczył, w tej akurat sprawie nie miała na niego wpływu.

Legendarna wypowiedź jednego z blairowskich ministrów, który kiedyś zauważył, że „rząd nie zajmuje się Bogiem", Blaira prywatnie na pewno nie dotyczy. Nigdy nie krył, że jest człowiekiem wierzącym. Jego żona Cherie jest praktykującą katoliczką, w wierze katolickiej wychowane zostały dzieci – trzech synów i córka – on sam zaś, choć anglikanin, regularnie towarzyszył rodzinie w kościele. Dlatego, gdy po ustąpieniu ze stanowiska premiera przeszedł na katolicyzm, nie było to specjalnym zaskoczeniem, tym bardziej że państwo Blairowie zawsze uchodzili za wzorowe małżeństwo; nigdy nie dotknął ich nawet cień skandalu. Dodajmy, że oboje są prawnikami, a Blair, zanim zajął się polityką, prowadził praktykę adwokacką.

W CIENIU INWAZJI NA IRAK

Tony Blair nie doświadczył tego, co jest udziałem bardzo wielu polityków: pustki po odejściu z urzędu, połączonej z szukaniem sobie nowego miejsca i nowych zadań. Tego samego dnia, gdy przestał być premierem, został wysłannikiem na Bliski Wschód. Reprezentował tam tzw. Kwartet – USA, Rosję, ONZ i Unię Europejską. W tej roli koncentrował się na aspektach gospodarczych i nie było to, jak się zdaje, zadanie na miarę jego ambicji, choć wypełniał je przez osiem długich lat. Przez kolejne lata zajmował się pracą swego instytutu.

Udział w Radzie Pokoju to zupełnie inna sprawa. Otwiera perspektywy, stwarza możliwości. Niejeden znawca tematu uważa, że Tony Blair jest do tego wprost stworzony. Ma wszystko, czego potrzeba: wiedzę, pozycję, wielkie doświadczenie i szerokie kontakty.

A jednak... „Ale" jest tylko jedno, za to na tyle poważne, że może nawet, w niesprzyjających warunkach, przekreślić plany i ambicje Blaira. Chodzi o inwazję na Irak, przeprowadzoną na początku 2003 r. przez Stany Zjednoczone za pomocą grona sojuszników, w tym Wielkiej Brytanii. Irak pod rządami Saddama Husajna miał być w posiadaniu broni masowego rażenia i akcja była konieczna, by zapobiec jej użyciu. Rzecz w tym, że takiej broni nigdy nie znaleziono.

Cała sprawa, choć odległa w czasie, jeszcze dzisiaj fatalnie ciąży na reputacji ówczesnego brytyjskiego premiera. Jedni zarzucają mu niefrasobliwość w działaniu, podejmowanie ważkich decyzji bez należytego rozeznania. Inni obawiają się, że Blairowi bliżej jest do Izraela niż do Palestyńczyków czy arabskich państw regionu. Jeszcze inni – rzecz o wiele poważniejsza – wątpią, by polityk, który zaakceptował atak na jedno z państw regionu, jest w stanie zachować dystans i obiektywizm dziś, gdy sytuacja jest tak trudna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead

Szorstka miłość Cichanouskich



Maciej Pieczyński

Łukaszenka może otwierać szampana. Siarhiej Cichanouski na wolności na razie zdaje się bardziej szkodzić białoruskiej opozycji niż władzom w Mińsku. Mąż niedoszłej pani prezydent publicznie krytykuje własną żonę i innych emigracyjnych działaczy. Podziały wśród przeciwników „Baćki" tylko się pogłębiają



Siarhiej i Swiatłana Cichanouscy w Warszawie, 26 czerwca 2025 r.
FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

Przy okazji wrześniowych obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku Siarhiej i Swiatłana Cichanouscy spotkali się z mieszkającymi w Stanach Zjednoczonych rodakami. Wiec zakończył się skandalem. Doszło do gorszącej kłótni między małżonkami. Liderzy opozycji, zamiast pokazać jedność, publicznie zademonstrowali dzielące ich różnice.

Spotkanie było transmitowane na żywo za pośrednictwem kanału na YouTube „Strana dla żyzni" (ros. Kraj dla życia). To jedno z ważniejszych opozycyjnych mediów Cichanouski założył w 2019 r. Właśnie „Strana dla żyzni" uczyniła go najpopularniejszym i najbardziej nieprzejednanym przeciwnikiem Łukaszenki. Po wyjściu na wolność Cichanouski znów stał się youtuberem. Podczas spotkania z Białorusinami z mikrofonem w ręku zadawał ostre pytania, tyle że tym razem swojej własnej żonie. Co ciekawe, mówił po rosyjsku, podczas gdy Swiatłana – po białorusku. Czyli w języku, którego przed rozpoczęciem politycznej kariery na emigracji praktycznie nie używała.

Rozmowę, bez znajomości kontekstu, można opisać następująco: dociekliwy, bezkompromisowy dziennikarz dociskał działaczkę polityczną, znaną z dyplomatycznego, obłego języka, pełnego frazesów i ubogiego w konkrety. Gdy liderka opozycji wyraziła nadzieję, że administracja Trumpa doprowadzi do uwolnienia kolejnych białoruskich więźniów politycznych, jej mąż dopytywał: „Ale kiedy dokładnie to się stanie? I co pani biuro robi, aby wszyscy Białorusini wrócili do domu?". Gdy zniecierpliwiona Cichanouska zauważyła, że to spotkanie z ludźmi, a nie wywiad, Cichanouski ripostował: „Ale tych ludzi bardzo interesuje odpowiedź na moje pytanie". Po tym jednak demonstracyjnie objął żonę, zapewniając z uśmiechem, że bardzo ją kocha i tworzą „bardzo silną rodzinę".

Przewodnicząca Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego Białorusi opowiadała wiele o tym, jak stara się utrzymywać zainteresowanie Zachodu problemami swojego kraju. „Tworzymy proeuropejską alternatywę dla rosyjskiego świata" – zapewniała. Pytana o konkretną strategię mówiła o umacnianiu społeczeństwa obywatelskiego, krzewieniu tożsamości narodowej i naciskach na reżim. „No to naciskamy, naciskamy, (a Łukaszenka) wypuszcza niektórych więźniów, i to go tylko legitymizuje, Trump nazywa go prezydentem i silnym liderem. Zaraz zaczną znosić sankcje. I co dalej?" – wtrącił Siarhiej, na co żona odpowiedziała, że „Trump prowadzi transakcyjną politykę. Powinniśmy to wykorzystać i uwolnić jak najwięcej ludzi". „A to my ich uwalniamy czy Trump?" – zareagował Cichanouski. Cichanouska, na moment zbita z tropu, chwilę później przekonywała, że gdyby nie jej działalność, Waszyngton nigdy by się Białorusią nie zainteresował.

Pytania padały też ze strony zgromadzonej na spotkaniu białoruskiej diaspory. Jedno z nich można streścić następująco: „Co z tego, że Łukaszenka wypuszcza więźniów politycznych, skoro zaraz potem wsadza kolejnych?". Tu Cichanouski nieoczekiwanie zmienił retorykę, broniąc żony i zapewniając, że robi wszystko, co w jej mocy.

ZA DUŻO EMOCJI

W pewnym momencie okazało się, że Cichanouscy są umówieni na wywiad w CNN. W związku z tym współpracownicy liderki opozycji naciskali na zakończenie spotkania. Zdecydowanie przeciwko wystąpił Siarhiej. Apelował, aby żona została i kontynuowała spotkanie ze

eprasa.pl 8e76e32ead

zwykłymi Białorusinami (które i tak było kilka razy przekładane), zamiast iść do telewizji, której Trump i tak nie tylko nie ogląda, lecz także wręcz nie lubi, a zatem taki występ mógłby nawet zaszkodzić sprawie białoruskiej. Zaatakował najbliższego współpracownika i doradcę swojej żony, Franaka Wiaczorkę. „To wszystko robi obywatel Franak. On potrzebuje więcej wywiadów, więcej eventów itd." – mówił Cichanouski, pokazując palcem na Wiaczorkę. I wprost przyznał, że zadawał żonie ostre pytania, gdyż był oburzony zachowaniem jej współpracowników, którzy jakoby lekceważą zwykłych Białorusinów. Gdy Wiaczorka zapewnił, że zaraz po wywiadzie wrócą na spotkanie, Cichanouski rzucił: „On was okłamuje, w Nowym Jorku są takie korki, że nie dadzą rady (wrócić)". Stosował też szantaż moralny, dając do zrozumienia, że jeśli Cichanouska udzieli wywiadu CNN, to Trump przestanie pomagać białoruskiej opozycji. Ostatecznie uległa presji, choć była wyraźnie niezadowolona. Cichanouski ironicznie sugerował, że Cichanouska udziela setek wywiadów, które nic nie dają, zamiast częściej spotykać się ze swoimi rodakami.

W białoruskim Internecie popularny jest taki oto żart: „Swiatłana Cichanouska gotowa jest uznać Łukaszenkę za prezydenta, jeśli wsadzi jej męża z powrotem do więzienia"

Bloger najwyraźniej zrozumiał, że medialny show mógł zaszkodzić jego żonie politycznie. Na drugi dzień opublikował więc na swoim kanale na Telegramie list otwarty „w związku z zaistniałą sytuacją". Podkreślił w nim, że „bardzo szanuje" swoją żonę. „Moja wczorajsza szorstkość przejawiała się nie tyle w treści, ile w tonie. Wiem, że to moja wada. Ta sama bezpośrednia intonacja była moim głównym narzędziem politycznym w 2020 r. Fakt, że jestem niewyspany, spięty i podenerwowany, nie usprawiedliwia mojego zachowania" – napisał. Tłumaczył, że o wywiadzie dla CNN dowiedział się chwilę przed spotkaniem z Białorusinami. Potwierdził też, że „zbyt często nie zgadza się z otoczeniem Swiatłany". Z kolei Franak Wiaczorka na antenie Biełsatu przekonywał, że nie ma żadnego konfliktu z Siarhiejem. Natomiast Swiatłana w wywiadzie dla „Politico" tłumaczyła zachowanie męża tym, że spędził pięć lat w więzieniu – „cały jego świat przewrócił się do góry nogami", on zaś „znalazł się w 2025 r., ale mentalnie pozostał w 2020 r.".

JAK OGIEŃ I WODA

Z pewnością na stan psychiczny Cichanouskiego w znaczącym stopniu wpłynęły nie tylko całe lata spędzone za kratami, lecz także rozłąka z żoną. Media nie rozpisują się na temat osobistych relacji Siarhieja i Swiatłany. Spekulacje nie mają większego sensu. Można jednak podejrzewać, że w grę wchodzą zarówno damsko-męska zazdrość, jak i reakcja Siarhieja na sytuację, w której jego żona nieoczekiwanie osiągnęła dokładnie to, do czego dążył on. Czyli została faktyczną liderką białoruskiej opozycji.

Kłótnię Cichanouskich trafnie skomentowała Sasza Romanowa z rosyjskojęzycznej redakcji portalu Deutsche Welle. Białoruska dziennikarka tak opisała swoje wrażenia po obejrzeniu nagrania na „Stranie dla żyzni": „Siarhiej […] stęsknił się za żoną. Ona zaś z jakiegoś powodu przyjechała nie do niego, tylko do pracy. I nawet na spotkanie z mieszkającymi w USA Białorusinami nie poszła zgodnie z planem […]. On jest zazdrosny, stęsknił się, nie poświęcają mu uwagi. Wygląda jak trudne dziecko, które emocjonalnie jeszcze nie jest na tyle dojrzałe, by zespołowo omawiać cele i strategie".

Romanowa dostrzega nie tylko psychologiczny, lecz także zawodowy kontekst konfliktu. Jej zdaniem Cichanouski zachował się jak profesjonalny bloger, który wie, że pokazując rodzinną awanturę ze swoim udziałem, może zdobyć więcej wyświetleń, polubień i subskrypcji. Wykorzystał więc własną żonę do popularyzacji kanału na YouTube. To może być o tyle celna diagnoza, że Cichanouski ma większe szanse na kontynuację kariery głośnego, ostrego blogera niż na karierę polityczną, która wymaga dyplomacji i obalenia własnej żony lub jej otoczenia. Romanowa zauważa też, że w pewnym momencie nagrania Siarhiejowi wymsknęła się ledwie skrywana pretensja do żony: „Białorusini kochają ciebie bardziej (niż mnie)".

Dziennikarka nie przesądza, że Cichanouskich czeka rozwód. Przekonuje natomiast, że cele obojga są wzajemnie ze sobą sprzeczne. Swiatłana musi podtrzymywać dobre stosunki z zachodnimi politykami, prowadzić salonowe życie, a „dyplomacja lubi ciszę". Siarhiej natomiast potrzebuje skandalu, rozgłosu, żeby podbijać YouTube. Jedno drugie wyklucza. Według Romanowej Cichaouski jest wyraźnie zafascynowany Trumpem. Po pierwsze, zawdzięcza mu wolność. Po drugie, stara się naśladować styl amerykańskiego prezydenta – bezpośredni, ostry i bezkompromisowy.

To przyniesie mu popularność, ale politycznie może zaszkodzić żonie. Cichanouska bowiem albo będzie musiała publicznie wykłócać się z agresywnym retorycznie mężem, albo – jak w sprawie CNN – ulegać mu. W tym drugim wypadku są dwie możliwe reakcje. Albo współczucie dla „ofiary przemocy" (tego typu komentarzy pojawiło się mnóstwo), albo politowanie dla słabej kobiety. Łukaszenkowska propaganda może kpić, że wystarczyło wypuścić męża na wolność, a Cichanouska znów stała się tym, kim była w narracji „Baćki" przed wyborami 2020 r., czyli cichą kurą domową.

Sasza Romanowa widzi to jeszcze inaczej. Jej zdaniem publiczna kłótnia z mężem może Cichanouskiej pomóc. Wielu Białorusinów, którzy przez ostatnie lata krytykowali ją za „turystykę polityczną", czyli tournée po zachodnich salonach nieprzynoszące wymiernych efektów, mogło dostrzec, że na tle nerwowego, rozhisteryzowanego Siarhieja wypadła spokojnie, profesjonalnie i poważnie.

Tak czy inaczej, Łukaszenka zapewne otwiera szampana, widząc, ile zamieszania wprowadził, wypuszczając Cichanouskiego na wolność. I to wcale nie oznacza, że bloger jest agentem Mińska – takich teorii spiskowych nikt na poważnie nie formułuje, bo też brak poszlak, nie mówiąc o dowodach. Ale ambicje i emocje Siarhieja mogą jeszcze wiele szkody wyrządzić Swiatłanie. Stąd nietrudno się dziwić, że w białoruskim Internecie popularny jest taki oto żart: „Swiatłana Cichanouska gotowa jest uznać Łukaszenkę za prezydenta, jeśli wsadzi jej męża z powrotem do więzienia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



RYS. QBA

LIBACJA NA CMENTARZU

Władze Namibii zaapelowały do mieszkańców tego kraju, aby nie organizowali imprez na cmentarzach. To odpowiedź na suto zakrapiane przyjęcie, które się odbyło na jednym z grobów w stolicy państwa – Windhuku. Uczestnicy spotkania wzięli ze sobą nie tylko żywność i alkohol, lecz także chłodziarki turystyczne. Jeden ze świadków tego wydarzenia określił je jako „haniebne". Teren wokół mogiły zaśmiecono, imprezowicze zostawili po sobie mnóstwo puszek i butelek.

LEKARSKIE BAZGROŁY

Sąd Najwyższy Pendżabu i Haryany (Indie) przypomniał o tym, jak ważne jest, żeby tekst odręcznie pisany był czytelny. A stało się to w związku ze sprawą o gwałt, oszustwo i fałszerstwo. Rozpatrujący ją sędzia miał problem ze zrozumieniem dotyczącego jej raportu medycznego. Stwierdził, że to, co w tym dokumencie zostało napisane, jest nieczytelne. Sąd więc zwrócił się do rządu z prośbą o włączenie nauki pisania odręcznego do programu studiów medycznych.

HANDEL ŁOŻYSKAMI

Przy sprzątaczce ze szpitala w Mpumalanga (RPA) znaleziono plastikową torbę z ludzkimi łożyskami. 39-letnia kobieta rzekomo poszukiwała ich nabywców. Została zatrzymana przez policję po anonimowym zgłoszeniu. Nie poinformowano, czy łożyska były w jakiś sposób wykorzystywane. Znaleziony materiał został przekazany do analizy kryminalistycznej, a kobiecie postawiono zarzut nielegalnego posiadania ludzkich tkanek. Sprawa ma wrócić do sądu.

NIE REAGOWALI

W centrum Edynburga doszło do zuchwałej kradzieży rowerów elektrycznych w biały dzień. Grupa sześciu zamaskowanych mężczyzn użyła elektronarzędzi – prawdopodobnie szlifierki kątowej – żeby przeciąć blokady dwukołowych pojazdów. Policja dotarła na miejsce 15 minut po tym, jak przestępcy się ulotnili. Świadkowie incydentu patrzyli na to, co się działo, i nie reagowali.

MASOWE CYBEROSZUSTWO

Interpol przeprowadził wielką operację, w wyniku której zatrzymano 260 osób podejrzanych o cyberoszustwa w 14 krajach Afryki. Przestępcy wyłudzali pieniądze poprzez fałszywe randkowanie oraz tzw. sextortion (szantażowanie ujawnianiem szczegółów życia intymnego). Zidentyfikowano ponad 1,4 tys. ofiar, które straciły łącznie 2,8 mln dol. Policja przejęła setki urządzeń, fałszywe dokumenty i zlikwidowała 81 grup przestępczych. ©℗ ***Filip Memches***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nie tylko złoto na złe czasy

Ceny złota w szybkim tempie biją kolejne historyczne rekordy. W ubiegłym tygodniu padła psychologiczna bariera 4 tys. dol. za malutką uncję królewskiego metalu.

Banki centralne wciąż dokupują bowiem złotego kruszcu. Robią to też zarządzający „złotymi" funduszami, a także inwestorzy indywidualni z całego świata, którzy poszukują bezpiecznych przystani do lokowania swoich pieniędzy w coraz bardziej niepewnych czasach – w których wartości papierowego pieniądza zagrażają nie tylko wojny czy pandemie, lecz także politycy, którzy zaciągają coraz to nowe długi i nakazują dodruk pieniędzy.

Trudne czasy przywracają rozsądek. Widmo kolejnych kryzysów pokazuje, jak naiwne i groźne były recepty zwolenników zamiany papierowych banknotów i monet wyłącznie na płatności elektroniczne i emitowane przez banki centralne pieniądze cyfrowe.

W czasach wojen (zimnych, gorących i hybrydowych), cyberataków i blackoutów eksperci radzą wprost: trzymajcie w domach gotówkę. W ubiegłym tygodniu duński bank centralny ogłosił oficjalnie, że każda osoba powinna mieć na wypadek kryzysu minimum 250 duńskich koron (równowartość 140 zł) w monetach i banknotach o niskich nominałach.

Wcześniej podobne apele wystosowali przedstawiciele banków centralnych Holandii (radzący trzymanie w domu 200–500 euro, czyli od 850 zł do 2100 zł) oraz Szwecji. Tak! Ci sami Szwedzi, którzy najpóźniej w marcu 2023 r. planowali uśmiercić gotówkę, od kilkunastu miesięcy radzą obywatelom, aby znów mieli w domach w gotówce co najmniej taką kwotę, która pozwoli im na zakup tygodniowych zapasów żywności, leków i paliwa...

eprasa.pl 8e76e32ead

REPUBLIKA

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie dyskutuje z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.

MICHAŁ
#RACHOŃ

OD PONIEDZIAŁKU
DO PIĄTKU

8:00

w Republice



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 8e76e32ead



Z Piotrem Mazurkiem, ekspertem Konfederacji Lewiatan do spraw gospodarki obiegu zamkniętego
rozmawia Tomasz Cukiernik

Opakowaniowa komuna

TOMASZ CUKIERNIK: Co nie podoba się panu w tak chwalonym na stronach rządowych projekcie ustawy o opakowaniach i odpadach opakowaniowych wprowadzającym system rozszerzonej odpowiedzialności producentów?

PIOTR MAZUREK: Przedsiębiorcy zrzeszeni w Konfederacji Lewiatan od samego początku, czyli od momentu ukazania się założeń do tego projektu UC100, wdrażającego nowy, rewolucyjny model Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta (ROP) na opakowania, alarmowali, że projekt jest nie do przyjęcia. Jest niebezpieczny z punktu widzenia zarówno przedsiębiorców, jak i konsumentów oraz celów środowiskowych. Największe zastrzeżenia budzi sposób, w jaki resort klimatu podszedł do konstrukcji systemu. Zamiast oprzeć go na rynkowej konkurencji i aktywnym zaangażowaniu producentów, wybrał drogę centralizacji i faktycznego upaństwowienia.

Poważnym zagrożeniem jest to, że za zarządzanie systemem odpowiadać ma centralny państwowy operator – Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Jest to instytucja administracyjna, która nie ma doświadczenia w codziennym zarządzaniu strumieniami odpadów ani w praktycznym organizowaniu recyklingu. Tymczasem przez ponad 20 lat w Polsce wykształcił się cały sektor wyspecjalizowanych podmiotów, organizacji odzysku opakowań, które zdobyły know-how, wypracowały relacje z przedsiębiorcami i recyklerami. Dzięki temu efektywnie zarządzały środkami przekazywanymi przez wprowadzających. Marginalizowanie ich roli w imię centralizacji oznacza marnowanie istniejącego potencjału sektora prywatnego i de facto „wylewanie dziecka z kąpielą".

Ponadto wielokrotnie informowaliśmy decydentów o tym, jak wyglądają poziomy zbiórki, jak wygląda efektywność takich systemów w krajach, w których działa bądź działał model państwowy. Takie kraje są na szarym końcu zestawień. Najlepiej widać to na przykładzie Węgier, gdzie wprowadzenie państwowego modelu spowodowało bardzo poważny spadek poziomów zbiórki i recyklingu odpadów opakowaniowych. Według danych Eurostatu Węgry w 2023 r. osiągnęły jedynie 46,5 proc. recyklingu swoich odpadów opakowaniowych, przy średniej unijnej wynoszącej 67 proc. Jest to spowodowane głównie tym, że w systemach państwowych nie ma konkurencji, co może doprowadzić do monopolu, nie ma przejrzystości ani transparentności, jeżeli chodzi o opłacanie usług. I właśnie to powoduje, że tak zaprojektowany system nie jest efektywny i skuteczny, co oznacza wysokie koszty dla przedsiębiorców, które mogą być przerzucone na konsumentów, a poziomy recyklingu będą bardzo niskie.

Warto też zaznaczyć, że z doświadczeń innych krajów widzimy, iż najniższe koszty systemu i najwyższe wskaźniki recyklingu osiągane są w krajach, gdzie funkcjonuje model zarządzany przez prywatne organizacje reprezentujące producentów, takie jak Belgia, Czechy, Niemcy czy Francja.

eprasa.pl 8e76e32ead

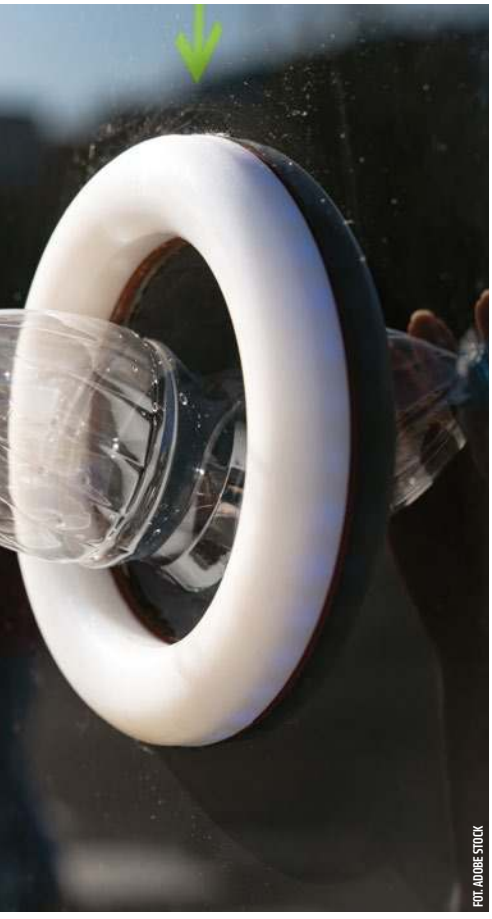
FOT. ADOBE STOCK

Kolejnym mankamentem jest konstrukcja finansowa projektu. Zamiast wdrożenia systemu ekomodulacji, czyli zróżnicowanych opłat zależnych od wpływu opakowań na środowisko i ich recyklingowalności, zaproponowano prosty mechanizm parapodatkowy, w którym wprowadzający produkt na rynek mają jedynie płacić opłatę, ustalaną z góry przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska w drodze rozporządzenia. A co najgorsze, nie mają potem żadnego wpływu na cały system, jak i na to, co się stanie z ich odpadami. Zamiast efektywności, innowacyjności i współodpowiedzialności producentów mamy do czynienia z projektem, który przypomina nową formę parapodatku i monopolistycznego zarządzania centralnego i który przywodzi na myśl czasy słusznie minione.

Zgadza się pan z wiceminister klimatu Anitą Sowińską, że w dłuższej perspektywie system rozszerzonej odpowiedzialności producentów przyczyni się do ustabilizowania, a nawet obniżenia realnych opłat za wywóz odpadów?

Niestety, obawiam się, że może to spowodować odwrotny skutek. Z analiz naszych ekspertów wynika, że aby system działał dobrze i przede wszystkim był efektywny, centralizacja nie jest dobrym rozwiązaniem. To konkurencja i transparentność opłat oraz procedur mogą doprowadzić do tego, że jakość będzie wzrastać, a ceny będą spadać. W tym momencie opłaty będą ustalane w drodze rozporządzenia. Oczywiście resort mówi, że będą one konsultowane z branżą i z przemysłem, natomiast my widzimy ryzyko, że to państwo może podejmować ostateczną decyzję i to ono będzie narzucało stawki dla przedsiębiorców, nie patrząc na ekologię, tylko na finanse.

Rozumiem, że ta monopolizacja i upaństwowienie branży odzysku opakowań nie wynikają z unijnej legislacji, tylko to jest nasz krajowy pomysł?

Dokładnie, to rozwiązanie jest wyłącznie propozycją krajową, niewynikającą z prawa UE. Co więcej, w niektórych przepisach UE, m.in. w rozporządzeniu PPWR oraz przede wszystkim w dyrektywie odpadowej, jest wyraźnie mowa o udziale prywatnych organizacji odpowiedzialności producenta w systemie ROP. Ponadto nasza organizacja w ramach partnerstwa ogólnoeuropejskiego rozmawia z innymi organizacjami, które zajmują się tematem odpadów i opakowań. Już dwukrotnie – raz na etapie opublikowania założeń do projektu tego szkodliwego dla Polski modelu ROP oraz teraz, po publikacji pełnej jego treści – Konfederacja Lewiatan wspólnie z kilkudziesięcioma branżowymi organizacjami europejskimi przygotowała wspólne pismo do Komisji Europejskiej oraz do naszego rządu z apelem o wycofanie się z tych szkodliwych zapisów. Cała Europa mówi nam: „Polacy, nie idźcie drogą monopolizacji, nie idźcie drogą państwowej organizacji odpowiedzialności producenta, ponieważ jest to droga donikąd". Może to jedynie doprowadzić do niższych poziomów recyklingu i do wyższych kosztów.

W Europie bardziej kładzie się nacisk na to, żeby coś było skuteczne i efektywne, a najlepszą drogą dojścia do tego celu jest konkurencja. Unia nie nakazuje nam wprost jednego modelu, natomiast uważna lektura artykułu 8a dyrektywy odpadowej doprowadza nas do wniosku, że skoro ma to być odpowiedzialność producentów, to organizacje muszą być przez nich reprezentowane, więc NFOŚiGW, czyli organ państwowy, nie spełnia tych kryteriów. Taki system może nie być zgodny z przepisami Unii Europejskiej.

To dlaczego ministerstwo, rząd upiera się przy takim modelu?

Nie możemy zrozumieć, dlaczego jest aż tak duży upór ministerstwa, pomimo tylu głosów sprzeciwu i konstruktywnej krytyki, która pokazuje inne bardziej skuteczne i efektywne rozwiązania. Głównymi beneficjentami tego modelu nie są ani producenci, ani konsumenci, a na pewno nie środowisko, ale przede wszystkim państwo i instytucje publiczne – w szczególności NFOŚiGW jako wszechwładny operator decyduje prawie o wszystkim. Zyskuje on pełną kontrolę nad miliardowymi środkami pochodzącymi z opłat w ramach Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta. Zamiast tworzyć konkurencyjny, transparentny i rynkowy system, w którym producenci odpowiadają za zagospodarowanie opakowań, projekt zakłada centralizację środków finansowych i decyzyjności. W praktyce oznacza to, że NFOŚiGW staje się nie tylko dysponentem, lecz także arbitrem, decydującym o tym, ile pieniędzy gdzie trafi. Dużo prostsze i bardziej efektywne byłyby poprawa i reforma systemu istniejącego obecnie.

Czyli zasady rynkowe.

Dokładnie tak. W tym momencie to naprawdę przypomina czasy słusznie minione, kiedy to gospodarka była centralnie planowana, kiedy jednym nakazem ustanawiało się, kto ma kontrolować konkretny sektor. Liczymy na to, że ministerstwo się obudzi i zmieni tę koncepcję na bardziej efektywną i skuteczną, czyli opartą na konkurencji.

W projekcie jest jeszcze kwestia opłaty opakowaniowej, która w tej chwili już istnieje.

Tak, obecnie przedsiębiorcy ponoszą już koszty wynikające z zagospodarowania odpadów powstających ze swoich produktów, właśnie w tym pomagają im konkurujące ze sobą organizacje odzysku opakowań. Niestety, koszty te są

eprasa.pl 8e76e32ead

zbyt niskie i przedsiębiorcy zdają sobie z tego sprawę i wiedzą, że będą płacić więcej. Natomiast chcą mieć wpływ na kształt całego systemu i wysokość tych opłat, a ten projekt im tego nie umożliwia.

Czyli to jest nowy unijny podatek?

Nie użyłbym tu słowa „unijny", ponieważ to my, Polska, decydujemy o kształcie tego systemu i opłaty z niego wynikającej. Przepisy dyrektywy odpadowej jedynie określają ramy rozszerzonej odpowiedzialności producenta, a państwa członkowskie decydują o ich ostatecznym kształcie. Ta opłata musi być związana z kosztem netto, czyli musi uwzględniać również przychody ze sprzedaży surowców wtórnych. Dlatego wydaje się, że opłata czy też – jak niektórzy mówią – podatek, który proponuje ministerstwo w swoim projekcie, to coś zupełnie innego niż rekomenduje Unia Europejska. Polska idzie dużo dalej, niż zakładają przepisy przygotowane przez Komisję Europejską. Pomysł wprowadzenia tej odgórnej opłaty opakowaniowej jest naszą krajową decyzją i nie wynika bezpośrednio z tego, co wskazuje nam Bruksela.

Czy w innych krajach członkowskich nie będzie tej opłaty?

We wszystkich krajach opłata występuje, ale sposób jej naliczania jest różny. Wiele krajów ustala ją w taki sposób, aby przedsiębiorca wprowadzający opakowania, które w prosty sposób można wysegregować i poddać recyklingowi, płacił mniej. Doskonałym przykładem jest tu Francja, gdzie system ekomodulacji tych opłat jest chyba najbardziej rozwinięty. Producent, czyli wprowadzający, płaci podstawową stawkę opłaty opakowaniowej, która następnie jest korygowana w górę lub w dół w zależności od właściwości opakowania. Opakowania łatwe do recyklingu, monomateriałowe (czyli np. wykonane tylko z jednego rodzaju tworzyw sztucznych) czy zawierające określony udział recyklatu (surowca z recyklingu) mogą korzystać z obniżek, czyli tzw. bonusów. Z kolei na opakowania trudne do recyklingu, zawierające niepotrzebne elementy (np. czarne barwniki, elementy wykonane z innych materiałów), nakładane są podwyżki, czyli tzw. malusy. Przypomnę tylko, że we Francji poziom recyklingu odpadów opakowaniowych to 69 proc. Pytanie, dlaczego nasz kraj, widząc dobre przykłady z innych państw, na siłę chcę wdrożyć system państwowy, polegający na odgórnym wyliczaniu opłat poprzez rozporządzenie, którego efektem są bardzo niskie poziomy recyklingu.

Nie ma w tym modelu ani korzyści dla producentów, ani dla konsumentów. Nie skorzysta też środowisko

Czy zgadza się pan ze stanowiskiem rządowym, że konsumenci nie odczują wpływu opłaty na cenę produktów?

Zdecydowanie nie, ponieważ bardzo dużo tych opakowań dotyczy żywności czy produktów pierwszej potrzeby. Codziennie kupujemy mleko, serki, jogurty czy wędliny w opakowaniach, więc każda, nawet minimalna opłata spowoduje wzrost cen produktów, które przecież kupujemy codziennie. Na początku będzie to kilka groszy, ale – jeżeli system nie będzie efektywny, jeżeli urzędnicy nie będą chcieli optymalizować kosztów – istnieje uzasadnione ryzyko, że będą podwyższać te opłaty dla producentów, którzy to będą zmuszeni przenosić je na konsumentów. A przykłady innych krajów pokazują, że systemy monopolistyczne, scentralizowane, są bardzo kosztowne i nie są efektywne, więc opłaty dla konsumentów również mogą być dużo wyższe.

Jakie mogą być koszty dla gospodarki?

Ministerstwo planuje, że od 2028 r., kiedy ten system będzie już działał w 100 proc., zastrzyk od wprowadzających do NFOŚiGW wyniesie ok. 5 mld zł. Skądś te pieniądze będą musiały się wziąć. Dla przedsiębiorców oznacza to znaczny wzrost obciążeń finansowych, ponieważ w systemie scentralizowanym nie będzie mechanizmów konkurencji i presji na efektywność, a firmy, mimo że zapłacą, stracą realny wpływ na organizację recyklingu. Dojdą do tego dodatkowe koszty administracyjne związane z raportowaniem i kontrolą do centralnego operatora, które niekoniecznie przełożą się na wyższe poziomy recyklingu. W praktyce koszty te zostaną przerzucone na konsumentów, co oznacza droższe produkty i wyższe rachunki za codzienne zakupy. Pojawi się też ryzyko destabilizacji rynku odpadów, centralizacja środków w NFOŚiGW sprawi, że ich redystrybucja będzie zależeć bardziej od decyzji politycznych niż od realnych potrzeb branży, co może zniechęcać do prywatnych inwestycji w instalacje recyklingowe.

W szerszej perspektywie oznacza to także koszt makroekonomiczny, ponieważ kilka miliardów złotych rocznie będzie wyjętych z rynku i poddanych centralnej redystrybucji zamiast inwestycji w innowacje i modernizację. Wszystko to razem prowadzi do wniosku, że proponowany model podniesie ceny dla konsumentów, zwiększy obciążenia dla biznesu, osłabi presję na efektywność i ograniczy konkurencyjność polskiej gospodarki na tle innych państw UE. Dlatego sprzeciwiamy się takiemu państwowemu modelowi i apelujemy do ministerstwa o powrót do rozmów nad rynkowym, czyli efektywnym modelem ROP.

Kto zyskuje na takim rozwiązaniu?

Wydaje się, że na tym państwowym modelu forsowanym przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska realnie zyskują jedynie instytucje publiczne, a w szczególności Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który w praktyce staje się jedynym i wszechwładnym operatorem systemu. To właśnie on przejmuje pełną kontrolę nad strumieniem miliardowych środków pochodzących z opłat ROP. Resort zapowiada i obiecuje, że będą to pieniądze „znaczone", z przeznaczeniem tylko na zagospodarowanie odpadów opakowaniowych, my jednak obawiamy się, że może być inaczej. Tak skonstruowany system daje administracji państwowej władzę nie tylko nad finansami, lecz także nad decyzjami operacyjnymi, eliminując dotychczasowy pluralizm organizacji odzysku i mechanizmy konkurencji.

Nie ma w tym modelu realnych korzyści dla producentów, którzy ponoszą koszty bez wpływu na sposób ich wykorzystania, ani dla konsumentów, którzy zapłacą więcej za produkty. Na pewno też nie skorzysta środowisko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8e76e32ead



PROSTO ZYGZAKIEM

Tani befsztyk z Mercosur?

PIOTR GABRYEL

W związku z groźbą podpisania umowy UE-Mercosur jesteśmy straszeni żywnością z Mercosur tak mocno, jak tylko się da. Z Mercosur, czyli z państw Ameryki Południowej – m.in. z Brazylii i Argentyny.

A straszy się nas niespełnianiem przez nią „unijnych standardów", cokolwiek to oznacza, a także jej „taniością", która w pierwszej kolejności może doprowadzić do pogorszenia sytuacji rolników europejskich, w tym polskich, a z czasem – do wyparcia ich z części rynków UE, w tym z naszego – polskiego. A jeszcze później być może do utraty kluczowej z przyczyn strategicznych – faktycznej dziś samowystarczalności żywnościowej Polski.

Ale to oczywiście jedna strona medalu – bardzo ważna, może i najważniejsza, ale tylko jedna. Bo jest też druga – jak to zwykle bywa. Otóż z tańszą żywnością importowaną z Mercosur do UE zapewne może być (będzie?) tak samo, jak z importowanymi dziś na potęgę z Chin do UE tanimi (na razie?) autami, które cudownie obniżają ceny wszystkich aut oferowanych w państwach UE, w tym w Polsce; także tych wytwarzanych w UE, w tym niemieckich. A obniżka nieziemsko wysokich cen żywności w państwach UE, w tym szczególnie w Polsce, gdzie jej ceny w ostatnich latach wprost wystrzeliły w kosmos, bardzo by się nam – konsumentom – przydała. Oczywiście obniżka w odpowiedniej skali, czyli taka, która nie zrujnowałaby rolników.

Tyle tylko, że przeprowadzenie takiej operacji – „kontrolowanej" obniżki cen żywności oferowanej w UE za pomocą importu odpowiedniej ilości tańszej żywności z Mercosur – wydaje się obciążone sporym ryzykiem niepowodzenia. I to pomimo że – jak podkreślają zwolennicy umowy UE-Mercosur (głównie Niemcy, mocno zainteresowani eksportem do Mercosur swoich wyrobów przemysłowych, w tym aut) – bezcłowy kontyngent z Mercosur miałby dotyczyć mikroskopijnej ilości żywności, np. wołowiny – 1,5 proc., drobiu – 1,3 proc., a wieprzowiny – 0,1 proc. całej produkcji UE. Albowiem – jak uczy życie – takie procesy, raz zainicjowane, trudno potem zastopować.

No, chyba że jednocześnie z unijnego, w tym z polskiego rolnictwa zdjęto by te wszystkie idiotyczne unijne ograniczenia, wynikające ze „zrównoważonego rozwoju", Zielonego Ładu i tym podobne aberracje, i pozwolono mu konkurować na rynkach UE (i poza nimi) z rolnictwem Mercosur na równych prawach. Z pożytkiem dla klientów w UE, którzy wreszcie mogliby się cieszyć tańszą żywnością. Ale na to w żadnym razie się nie zanosi, bo zafiksowana na swej „zielonej rewolucji" Komisja Europejska prędzej wyzionie ducha, niż pozwoli nam się z tej samobójczej drogi wycofać. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

PIP-a wie lepiej

ŁUKASZ WARZECHA

Władzuchna wie lepiej, czego chce każdy z nas. Władzuchna wie na ten przykład, że prawie wszyscy pracujący na umowach cywilnoprawnych marzą tylko o jednym: aby móc te umowy zamienić na umowy o pracę i dzięki temu zarabiać na rękę znacznie mniej niż dotąd. Jednak źli janusze biznesu, ciemiężcy ludu pracującego miast i wsi, chcą nadal bezkarnie wyzyskiwać ów lud i dlatego w roli Robin Hoodów trzeba obsadzić inspektorów PIP-y (przepraszam, ale taki jest skrót od Państwowej Inspekcja Pracy).

Tego typu ustawy bez żadnej refleksji zwykł podpisywać Andrzej Duda. Można mieć pewną nadzieję, że jego następca będzie bardziej wstrzemięźliwy

Tworzona w rządzie nowelizacja Ustawy o PIP-ie zakłada, że taki inspektor będzie mógł odwiedzić zakład pracy i decyzją zmieniać umowy cywilnoprawne na umowy o pracę, ot tak, na pstryknięcie. Teraz PIP-a może czegoś takiego próbować, ale musi złożyć wniosek do sądu pracy. Niestety – jak skarżą się jej przedstawiciele – osoby, którym te umowy mają być zamienione, nie chcą w sądach współpracować; najwyraźniej nie wiedzą, co jest dla nich najlepsze, i dlatego trzeba procedurę odwrócić. Najpierw zamiana umowy, a potem ewentualnie można się wozić w sądzie.

Za tymi genialnymi pomysłami stoi minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Ta sama, która wymyśliła sobie, że przedsiębiorcy bez problemu mogą za cztery dni pracy zapłacić tyle samo co za pięć. Nie muszę chyba nic więcej pisać.

Tego typu ustawy bez żadnej refleksji i namysłu zwykł był podpisywać były już na szczęście prezydent Andrzej Duda. Można mieć pewną nadzieję, że jego następca będzie bardziej wstrzemięźliwy. Gdyby jednak PIP-a nowe kompetencje dostała – któż broni następnego dnia po przymusowym przekształceniu umowy w umowę o pracę rozwiązać tęże za porozumieniem stron i ponownie zawrzeć umowę cywilnoprawną? Chyba że władzuchna będzie chciała zmusić nas do pracy na etacie, zabraniając zwalniania się. Powiedzą państwo, żeby nie podpowiadać. Ale czy naprawdę trzeba? Oni tak przecież sami z siebie! ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Finowie kontra husaria

Kieś, czyli łotewski Cesis albo niemiecki Wenden na Łotwie, położony ok. 90 km na północny wschód od Rygi, to miejsce pierwszego starcia naszej husarii ze Szwedami. Miało ono miejsce 7 stycznia 1601 r. w czasie wojny o Inflanty pomiędzy Rzecząpospolitą, którą władał Zygmunt III Waza, a jego stryjem, Karolem Sudermańskim, który zdobył tron Szwecji.

Początek kampanii nie był pomyślny dla Polaków i Litwinów. Szwedzi zdobyli Narwę, Parnawę i Fellin, a na początku stycznia – Dorpat. Wówczas dowódca Hans Bengtsson, rozzuchwalony powodzeniem, postanowił rozbić oddziały polskie rozlokowane pod Kiesią. W tym celu zebrał siedem chorągwi fińskiej kawalerii, która uważana była za najlepszą w Szwecji, pięć rot pieszych i sześć dział. Razem miał pod rozkazami ok. 3 tys. żołnierzy.



RYS. OBA

Nasze siły liczyły ok. 700, w dodatku przy wojsku nie było hetmana, dowodził nim Maciej Dembiński, a później Jerzy Farensbach, hetman szlachty inflanckiej, którego wszakże na początku bitwy nie było w obozie.

Wojska szwedzkie dotarły pod Kieś ok. godz. 12–13, zaskakując Polaków w trakcie obiadu. Kolumna wroga wyszła z lasu na północny zachód od obecnego zamku i skierowała się w stronę fortecy; część wojsk być może – jak pisze Stanisław Herbst – zabrała się do plądrowania zabudowań miasteczka. Wykorzystali to nasi żołnierze; natychmiast zebrały się dwie roty – Wejhera i Tyszkiewicza, po czym wypadły z twierdzy i szarżowały na straż przednią Szwedów, spychając ją na piechotę. Wkrótce zostały rozproszone ogniem z arkebuzów.

Dembiński jednak rozpoczął zbieranie pozostałych oddziałów jazdy, a Bengtsson – rozstawianie własnej piechoty wychodzącej z lasu, tuż za płynącym w jarze strumieniem na północny zachód od Kiesi. Na prawym skrzydle ustawił armaty i część pikinierów. W centrum piechotę formującą tertio – czyli duży czworobok pikinierów i arkebuzerów. Na lewe skrzydło skierował resztę jazdy – ok. 1 tys. koni. Naprzeciwko niego uformowali się Polacy, dziś nie wiadomo dokładnie w jakim szyku.

Dembiński rozpoczął bitwę natarciem jazdy – rzucając na fińską kawalerię Szwedów roty husarskie Wojny i Tyszkiewicza – czyli ok. 300 husarzy. Wejher miał próbować oskrzydlić przeciwnika. Na szwedzkie centrum nacierać miały roty Rudominy, Łuczylińskiego i własny poczet dowódcy. Naprzeciwko armat wystawił rotę Dorohostajskiego; pozostałe stanowiły odwód.

I tutaj właśnie, na lewym skrzydle Szwedów, na które uderzyli husarze, doszło do pierwszego starcia, które tworzyć miało legendę skrzydlatej jazdy. Fińska kawaleria przyjęła walkę w miejscu – rozwijając się do tzw. karakolu, a więc taktyki polegającej na prowadzeniu ognia z pistoletów przez kolejne szeregi kawalerzystów. Tak właśnie walczyła wówczas jazda na zachodzie Europy, niemogąca już od dziesięcioleci przełamać szyków piechoty. Tymczasem, ku zaskoczeniu Finów, husarze przeszli przez jar i od razu ruszyli z kopiami do morderczej szarży galopem. W okamgnieniu rozbili trzykrotnie silniejszą jazdę przeciwnika, bezbronną z pistoletami i rapierami wobec husarskich drzewek, jak wówczas nazywano kopie. Szwedzka kawaleria rzuciła się do ucieczki na północny zachód – w stronę zakrętu rzeki Gawii. W pościg ruszyły za nią kolejne roty polskie. Rajtarzy wpadli w panice na lód, który załamał się pod setkami koni tłoczących się na środku rzeki i spychanych przez kolejnych uciekinierów do zimnej otchłani. Z pogromu miało ocaleć zaledwie ok. 300 kawalerzystów, reszta utopiła się w rzece albo padła pod polskimi kopiami i szablami. Ponoć niedobitki uciekały w panice aż do Karksi w dzisiejszej Estonii, ponad 100 km na północ od Kiesi.

W tej właśnie chwili na pole bitwy powrócił Jerzy Farensbach, który razem z pozostałymi rotami polskimi zajął się osamotnioną piechotą szwedzką. Okrążono ją i rozbito, a wobec zaciętego oporu wycięto do nogi. Jak podaje Herbst, z bitwy ocalało zaledwie ok. 1 tys. Szwedów, co wydaje się jednak liczbą zaniżoną. Straty polskie były praktycznie żadne – 10 zabitych i ok. 60 rannych. Wzięto 100 jeńców, 11 chorągwi szwedzkich i wszystkie sześć dział przeciwnika.

Bitwa była szokiem dla szwedzkich dowódców, przerażonych przede wszystkim zaskakującą szarżą husarii. Dziwne, gdyż Kieś nie była pierwszym starciem naszej jazdy z formacjami zachodnioeuropejskiej kawalerii i piechoty. Szarże husarii rozbiły już armię Gdańszczan w bitwie pod Lubiszewem w 1577 r. i wojska arcyksięcia Maksymiliana pod Byczyną w 1588 r., więc jakieś informacje o naszej zdobywającej sławę formacji powinny przedostać się do Szwecji. Niestety, zwycięstwo jak zwykle nie zostało wykorzystane – wojsko było nieopłacane i buntowało się, nie chcąc słuchać dowódców. Jak zwykle, prawie jak co dzień w naszych wojnach XVII stulecia. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead

MG ZS HYBRID+



FOT. JAP

Druga generacja kompaktowego SUV-a marki będącej przez lata ikoną brytyjskiej motoryzacji (i należącej do potężnego chińskiego koncernu SAIC) jest istotnie większa od poprzedniej. Auto mierzy już 443 cm długości i 181,8 cm szerokości. Wyraźnie też „dorosło". Chiński producent poprawił wiele błędów pierwszej generacji. Inżynierowie poprawili nie tylko wygląd modelu ZS, lecz także wyposażyli go w nowy napęd hybrydowy, łączący 1,5-litrowy silnik benzynowy (102 KM) z elektrycznym (136 KM/250 Nm). Łączna moc układu wynosi 197 KM.

I chociaż ZS drugiej generacji jest większy i sprawniejszy niż poprzednik, to Chińczycy w tym modelu pozostawili szokująco niską cenę. Wersja standard – wyposażona już m.in. w 10,25-calowy kolorowy ekran dotykowy – kosztuje 98,9 tys. zł. Za najwyższy wariant Exclusive trzeba zaś zapłacić 118,9 tys. zł (auto zachodniego producenta o tej samej wielkości jest droższe o kilkadziesiąt tysięcy).

Przetestowaliśmy najbogatszy wariant w kolorze Emerald Green (czytaj: zielonym). Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 8,7 s. Jazda ZS Hybrid+ po mieście przypomina podróż samochodem elektrycznym: auto przyspiesza błyskawicznie i bezgłośnie. Na trasie przy mocniejszym wciśnięciu pedału gazu dźwięki dochodzące z silnika spalinowego słychać wyraźnie, zwłaszcza jeśli bateria jest już mocno rozładowana. Zawieszenie jest sztywne, ale auto całkiem nieźle radzi sobie z tłumieniem nierówności. Przy spokojnej jeździe średnie spalanie w cyklu mieszanym wynosi 5,9 l/100 km.

Kabina wygląda dużo lepiej, niż można by się spodziewać, patrząc na cenę. Chińczycy zastosowali miękkie w dotyku tworzywa sztuczne. Są też liczne elementy ozdobne oraz imitacja skórzanych przeszyć. 12,3-calowy ekran dotykowy został zmyślnie wkomponowany w deskę rozdzielczą. Działa płynnie i intuicyjnie, choć podczas testu nie udało mi się połączyć systemu z Android Auto.

Miejsca z przodu jest sporo, a fotele (z opcją podgrzewania) zapewniają komfortową podróż nawet w dłuższej trasie. Z tyłu na nogi przydałoby się więcej przestrzeni. Nie brakuje jednak udogodnień, które nie są wcale standardem w tej półce cenowej: jak osobne nawiewy czy port USB dla pasażerów z tyłu.

Na pokładzie znalazły się też podgrzewana kierownica, system kamer o polu widzenia 360 stopni oraz cyfrowi asystenci ostrzegający przed innymi autami w martwym polu lusterek.

Brakuje możliwości wygodnego dostosowania pod siebie kierownicy, ale w tej półce cenowej nie ma się co tego czepiać. Bagażnik o pojemności 443 l można łatwo powiększyć dzięki składanym na płasko tylnym siedzeniom.

Podsumowując: chociaż MG ZS Hybrid+ przyciąga uwagę głównie niską ceną, to szybko okazuje się, że jest to tylko jedna z wielu zalet. Ten model może więc popsuć krew zachodnim konkurentom.

PROJEKTOR EPSON EF-62



Kompaktowe rozmiary, dobra jakość obrazu, świetny dźwięk, zintegrowany system Google TV i bajecznie prosta obsługa – to największe zalety najnowszego inteligentnego projektora japońskiej marki Epson.

Liczba produktów przeznaczonych dla miłośników kina domowego rośnie szybciej niż grzyby po deszczu. Pod koniec września dużą rodzinę nowych projektorów z serii Lifestudio zaprezentowali Japończycy. Sam miałem zaś okazję testować jeden z modeli jeszcze przed oficjalną premierą.

Rezultaty? Model EF-62 to elegancki, niewielki (199 × 190 × 75 mm) i lekki (1,6 kg) mobilny projektor, który umożliwia wyświetlanie treści na wielkim ekranie (rozmiar obrazu wynosi od 30 do 150 cali). Urządzenie jest przy tym bardzo proste w obsłudze. Wystarczy podłączyć je do prądu i po szybkiej konfiguracji za pomocą pilota lub smartfona można od razu przejść do oglądania treści z ulubionych aplikacji streamingowych. Chromecast pozwala zaś na łatwe wyświetlanie zdjęć lub filmów ze smartfona.

Automatyczna korekcja geometrii obrazu (w pionie i poziomie) oraz ostrości działa szybko i bezbłędnie. Laserowy projektor wykorzystuje technologię 3LCD firmy Epson, opartą na procesorze Triple Core Engine, który według Japończyków zapewnia trzy razy jaśniejszy obraz od porównywalnych projektorów DLP z jednym procesorem. Są tu też wsparcie dla HDR10 i kilka trybów (Dynamiczny, Naturalny, Kino, Vivid). Kolory wyglądają naturalnie, czerń jest naprawdę czarna, a jakość obrazu dobra (do 120 cali mógłbym nawet stwierdzić, że bardzo dobra). Ogromną zaletą testowanego modelu jest świetny dźwięk od Bose. Projektor obsługuje również Dolby Audio oraz łączność Bluetooth (dzięki któremu może służyć tylko do odtwarzania muzyki).

Graczy ucieszy tryb AALM (Auto Low Latency Mode), którego zadaniem jest zmniejszenie opóźnień, co wpływa na zwiększenie płynności gier. Plusem projektora jest też laserowe źródło światła (gwarancja obejmuje pięć lat działania lub 12 tys. godzin pracy).

Wady? Bardzo ograniczona liczba złączy. Na pokładzie są tylko USB 2.0-A, gniazdo wtykowe wyjściowe oraz HDMI ARC/eARC, które umożliwia proste podłączenie soundbaru. Brakuje USB-C oraz choćby jednego dodatkowego złącza HDMI. Osoby, które używają projektora nie tylko do wieczornych seansów, lecz także do pochłaniania treści w nasłonecznionym salonie w ciągu dnia, może też nieco irytować zbyt niska jasność (700 lumenów). Ostatni minus: projektor nie należy do najtańszych.

Cena: 4084,45 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 8e76e32ead



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Lepsze ciasto niż wyrób

Gdyby ktokolwiek zapytał nas, z jakim ciastem najbardziej kojarzy się nam nasz dom rodzinny, to oprócz wyjątkowego tortu orzechowego, który zawsze był na stole z okazji najważniejszych uroczystości, mama piekła także biszkopt z owocami.

To wyjątkowo łatwe do przygotowania ciasto gościło na naszym rodzinnym stole właściwie zawsze. Mama mawiała, że lepiej zjeść domowe ciasto, niż objadać się wyrobami czekoladopodobnymi, bo tylko takie w owym czasie były dostępne. Jesienią piekła je ze śliwkami lub jabłkami i dodawała odrobinę cynamonu, wtedy cały dom pięknie pachniał. Robi się je bardzo szybko, jest nieskomplikowane i nie potrzeba do niego zbyt wielu składników. Nawet bez dodatku proszku do pieczenia ciasto jest wyjątkowo puszyste i lekkie, smakuje wyśmienicie i może zaskakiwać swoim tradycyjnym charakterem.

FOT. ADOBESTOCK



Owoce układamy na wierzchu – nie zatopią się i będą stanowić wyjątkową ozdobę ciasta. Z wierzchu warto posypać je cukrem pudrem. Zapewniamy, że po tym deserze nie pozostanie ani jeden okruszek.

Pamiętajmy tylko, aby nie układać owoców zbyt gęsto, tak aby była przestrzeń dla wyrośnięcia ciasta. Oczywiście ciasto biszkoptowe możemy zrobić także z innymi owocami (choćby z morelami), ale raczej ze świeżymi, nie mrożonymi, ponieważ wilgoć z mrożonek może spowodować, że zrobi się nam zakalec. Ciasto jest idealne na deszczowe, długie jesienne popołudnia.

Ciasto biszkoptowe ze śliwkami

• tortownica 26–28 cm • 5 jaj • 130 g cukru (dajemy trochę mniej) • półtorej szklanki mąki pszennej lub orkiszowej jasnej • 2 łyżki mąki ziemniaczanej • szczypta soli • 2 łyżki soku z cytryny • cukier waniliowy i odrobina cynamonu • 3 łyżki oleju roślinnego • ok. 500–500 g śliwek (waga po wypestkowaniu) • cukier puder do posypania

Śliwki opłukać i osuszyć, wypestkować. Mąkę przesiać przez sitko, razem pszenną lub orkiszową i ziemniaczaną. Oddzielić żółtka od białek, białka ubić na sztywną pianę, na koniec dodać sok z cytryny, cukier, cukier waniliowy, cynamon, nadal ubijać, dodać po jednym żółtku, delikatnie wymieszać z przesianą mąką, dodać oliwę. Nagrzać piekarnik do 180 st. C, formę do pieczenia wyłożyć papierem do pieczenia, przełożyć ciasto na wierzchu, ułożyć śliwki dość luźno i głęboko. Piec 40 min. Gdy ciasto pięknie wyrośnie, posypać cukrem pudrem. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

AI zadzwoni do mamy

Dobra wiadomość dla młodzieży w wieku 40 minus. Nie będziecie musieli już dzwonić do mamusi/babć/dziadziusiów i wysłuchiwać ich nudnych opowieści o kolejce do internisty. Świat idzie do przodu. Zrobi to za was AI, która – jak wiadomo – coraz więcej rzeczy robi za istoty dwunożne, choć z różnym skutkiem. Tym razem AI podejmuje się jednej z trudniejszych funkcji w życiu człowieka. Funkcji opiekuńczej.

Oto za jedyne 29,90 euro nowa aplikacja o przesympatycznej nazwie inTouch wykona za ciebie obowiązkowe telefony rodzinne. Które czasem, nie ma co ukrywać, bywają mało porywające. Na przykład, gdy starsze panie zaczynają rozwlekle opowiadać o swoich mało ciekawych problemach zdrowotnych, o tym, jak w autobusie na skutek gwałtownego hamowania rozsypała się siatka z cytrynami, o tym, jak zaginął ulubiony kot Mruczek, ale szczęśliwie się odnalazł. I takie inne podobne temu historie.

AI nie jest głupia. Przeszła odpowiednie przygotowanie merytoryczne i wie, o czym z mamusią pogadać. Została przeszkolona, w szczegółowej ankiecie otrzymała zestaw informacji rodzinnych. Anegdoty, wspomnienia, przyzwyczajenia. Dodatkowo fachowymi radami służą jej specjaliści od geriatrii kognitywnej (!) i psychologowie, którzy tak ustawią maszynkę, żeby zachowywała się jak żywa: zadawała pytania, podtrzymywała rozmowę, sypała anegdotami. Urządzenie jest proste, nie ma żadnych skomplikowanych przycisków, nie wymaga umiejętności technicznych. Potrafi także wysyłać wiadomości tekstowe. Na stronie internetowej zachęcanka:

„Żyjesz 100 na godzinę? Nie masz czasu zadzwonić do rodziców codziennie? My możemy! InTouch to nie tylko telefon, to stymulująca rozmowa z twoimi rodzicami. Dzięki tym rozmowom rodzice otworzą się, rozweselą i wyślą wiadomość tobie".

Francuscy dziennikarze wypróbowali działanie inTouch. Osoba o imieniu Marie zadzwoniła do starszej osoby, pytając o miniony dzień, o zajęcia, pogodę. Wszystko niby przebiegło dobrze, poza jednym: po każdej odpowiedzi następowała (cybernetyczna) 10-, 15-minutowa cisza, a dopiero po niej maszyna odpowiadała. Nawet urządzenie bez duszy musi mieć chwilę, żeby się zastanowić.

Przypomina mi się jedna z najfajniejszych reklam telewizyjnych w ciągu ostatnich iluś tam lat. To „Dezyderata" sieci Era – nie tylko ja ją zapamiętałam, w powszechnej ocenie była to jedna z najlepszych reklam ever. O zasadach życiowych i potrzebie kontaktu ludzkiego mówili tam różni ludzie, starzy i młodzi, lekarz, pływaczka, dziecko. Starszy facet z dużą siwą brodą podsumowywał: zadzwoń do mamy.

Mamy AI, więc to już nieaktualne. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



DEKAMERONKI

Koalicja chętnych do czego?

JERZY KARWELIS

W powieści „Faraon" Bolesława Prusa jest taki fragment, w którym Fenicjanie, którzy chcą zarobić na wojnie Egiptu z Asyrią, naradzają się, jak doprowadzić do konfliktu. Obiektem ich manipulacji ma być młody następca egipskiego tronu. Padają wtedy słowa, że aby tego dokonać, należy sprawić, żeby wszyscy wokół następcy mówili o wojnie: fryzjer, pokojówka, kochanki. Tak, by kropla drążyła skałę.

Coś mi się widzi, że my tu ostatnio robimy za następcę tronu, za Fenicjan zaś tzw. kolektywny (choć o kolektywności trudno tu mówić) Zachód. Polacy jak zwykle są na przodzie, występują w roli harcowników. Harce wykonuje nasza elita polityczna, która eskaluje nawet i tak już prowojenne deklaracje zachodnich partnerów. Czemu mamy do czynienia z podżeganiem? Jest na to kilka wytłumaczeń – niektóre z nich są gradacją jątrzenia, niektóre występują osobno, wszystkie zaś prowadzą na krawędź pokoju. Z punktu widzenia Europy – można na tym zarobić, na co wskazuje to, gdzie (do Niemiec i Francji) przekierowane są pieniądze z kolejnej megapożyczki, którą – jak z KPO – zaciągną kraje, a wydawać będzie Komisja Europejska. W końcu ewentualny konflikt rozegra się na naszym terenie „ziem skrwawionych", a więc – tak jak z Ukrainą – Zachód może poprzestać na zagrzewaniu do boju innych nacji.

Odbywają się jakieś dziwne prowokacje o zmiennych źródłach pochodzenia. Latają jakieś drony, ministerstwa eskalują panikę dezinformacją, zatrzymuje się jakieś statki Rosjanom: jedziemy po bandzie. W końcu Rosja się odwinie i to… nam. Raz, że zawsze mamy pecha w takich sytuacjach, dwa – nasza klasa polityczna jeszcze podkręca zachodnią narrację, choć – jako żywo – Polacy nie mają żadnego interesu w wojnie. USA się nie dadzą wciągnąć, a więc zostaniemy znowu sami z wyrazami poparcia napisanymi kredką na zachodnioeuropejskim asfalcie.

Najgorsze jest wytłumaczenie ostateczne wynikające z historii. A ta uczy, że konflikty wojenne są zasadniczo wszczynane, kiedy państwa i całe regiony chcą uciec od konsekwencji swego bankructwa. Wtedy zbija się termometr, by lud nie zobaczył, jakąż to mieliśmy gorączkę, bo by się jeszcze spytał: Dlaczego i kto zawinił? A tak wszystko pójdzie na odwiecznych wrogów, rachunki się zamażą w popiołach banków i nikt już nie będzie pamiętał, jak to się stało. Wojna kasuje bowiem długoterminowy ciąg przyczynowo-skutkowy. Kiedy się już zacznie, pamiętamy, kto komu spalił dom czy zbombardował miasto. Nikt nie pamięta o największych grzesznikach – tych, o których pisał Orwell – ludziach, którzy doprowadzili do sytuacji, w której pokój stał się już niemożliwy. ©℗



#WARTO

Kreatywna bezczelność

JAN POSPIESZALSKI

Po twardych wystąpieniach prezydenta Karola Nawrockiego w kwestii reparacji niemieckie elity zmieniają narrację wobec żądań zadośćuczynienia za drugą wojnę światową. Niedawno na łamach „Financial Times" niemiecka ekspertka Constanze Stelzenmüller napisała, że w grę może wchodzić 1 mld euro, potem 4 października, podczas konferencji w Senacie RP, o tej samej kwocie wspomniał były poseł SPD Markus Meckel. Przypomnę: raport z 2022 r. wycenia straty zadane Polsce przez Niemcy, na 6 bln 220 mld 609 mln zł (1,3 bln euro). W tej kwocie są straty osobowe, materialne, bankowe i ubezpieczeniowe, straty Skarbu Państwa oraz zniszczenia i rabunek dóbr kultury. Strat ludzkich, w tym wymordowania polskich elit, które zginęły w toku precyzyjnie zaplanowanej eksterminacji, nie da się wycenić.

Niemiecka agresja i okupacyjny terror kosztowały życie ponad 5 mln Polaków, ale wyrwa demograficzna jest o wiele znaczniejsza. Wliczając tych, którzy pozostali na utraconych terenach i emigrantów, Polska straciła ok. 11,2 mln obywateli. Zważywszy procentowo straty osobowe i materialne, żaden kraj nie wyszedł z wojny tak straszliwie poszkodowany. Niemieccy politycy, a za nimi premier Tusk, do niedawna powtarzali jak mantrę: „Sprawa reparacji została zamknięta w porozumieniach między PRL a RFN". Ale nawet najbardziej uparcie trzymający się tej tezy nie potrafią przywołać na to żadnego dokumentu. Na pytanie, ile zatem Niemcy wypłaciły Polsce i jaką konkretną kwotę, ile marek, ile fenigów, jest zaś tylko jedna odpowiedź: zero!

Po zwycięstwie koalicji Tuska minister Sikorski w styczniu 2024 r. rozmawiał w Berlinie na temat powstania w tym mieście Domu Niemiecko-Polskiego jako miejsca upamiętniającego polskie ofiary i zwrócił się do strony niemieckiej, by w kreatywny sposób pomyśleć nad znalezieniem formy rekompensaty strat wojennych. Na kreatywność Niemców trzeba było czekać pół roku. W lipcu 2024 r. kanclerz Olaf Scholz zaoferował 200 mln euro dla żyjących ofiar niemieckiej okupacji. Tusk, na szczęście, odrzucił tę jakże kreatywną ofertę, proponując mgliście, by tym razem Niemcy dozbroiły polską armię, i powtórzył oczekiwanie budowy Domu. I znów po ponad pół roku kreatywność niemiecka wyraziła się w formie „głazu pamięci".

Teraz pojawiają się wprawdzie na razie publicystyczne sygnały o gotowości wypłaty 1 mld euro. Skoro od lipca 2024 do października 2025 r. (w 16 miesięcy) kwota wzrosła o 800 mln (50 mln miesięcznie), to wygląda na to, że na uznanie przez Niemców polskiego zadośćuczynienia w wysokości 1,3 bln euro przyjdzie nam czekać ok. 2160 lat. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



ĆWIERKOT

Końskie nerwy

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Na początek nieco o światach równoległych, o rzeczywistości alternatywnej, o faktach, które na pierwszy rzut oka wydają się faktyczne, jednak po wysłuchaniu bezpośredniego Romana zdarzenia okazują się wielce iluzoryczne. Stop. Narrację tę nazwaliśmy „Światem według Romana", bo jesteśmy przekonani, że ma potencjał. Stop. Otóż Giertych Roman, syn Macieja, wnuk Jędrzeja, znany też opinii publicznej jako… (to pomińmy, bo procesowe), udzielił wywiadu, w którym rzekł był: „Ja jestem spokojny o wynik następnych wyborów. Przez najbliższe sześć lat ci panowie niech nie liczą, że wrócą do jakiejkolwiek władzy albo że się zmieni władza. Sądzę, że sukcesy gospodarcze ekipy Donalda Tuska są tak oczywiste dla każdego i ich sukcesy międzynarodowe, pozycja Polski, pozycja w G20 czy budowanie potężnej armii. Jesteśmy na pełnej ścieżce, żeby wygrać pełne wybory parlamentarne". Stop. Według sondażu dla Onetu zdecydowanie źle i raczej źle ocenia Tuska 54,7 proc. Polaków. Administracja Donalda Trumpa i sam Trump Tuska nie cierpią i traktują jak brzydko pachnące powietrze, nasz deficyt, czyli tegoroczne zadłużenie, jest rekordowy i wynosi prawie 300 mld zł, a nasz Roman spokojny. Końskie nerwy...

Żurek (chodzi nie o zupę z kiełbaską, najbardziej lubię z białą, delikatnie podsmażoną) powiedział publicznie, że polskie sądy zostały „zainfekowane" neosędziami. Stop. Czyli ten Żurek 3 tys. sędziów od lat ciężko pracujących w polskich sądach porównał do wirusów, bakterii, pasożytów i grzybów, bo to one wywołują infekcje. Następnym etapem może być akcja plakatowa Ministerstwa Sprawiedliwości np. z Żurkiem i chmurką obok niego: „Neosędzia to infekcja. Wskaż go odpowiednim służbom!". Stop.

Za mało znana jest Anna Sobolak, taka posłanka z Platformy Obywatelskiej. Stop. 46-latka postanowiła szlachetnie zabłysnąć akcją przeciw językowi nienawiści, czyli hejtowi. Stop. Wystąpiła więc publicznie z przekazem umoralniającym: „Hejt nie jest opinią. Hejt nie jest żartem. Hejt nie może być normą. Tylko razem, tylko reagując, możemy to zatrzymać. HejTY, reaguj". Akcja okazała się fantastyczna, nośna, angażująca i internauci zareagowali natychmiast. Przypomnieli mianowicie całej tej pani Sobolak jej wpis w mediach społecznościowych, w zasadzie dokładnie sprzed roku. Stop. Oto on: „Och, jak dobrze słyszeć kwik prawicy po zastosowaniu »J.bać PiS« na Campus. Zorganizowana Grupa Przestępcza z PiS, by śpiewała kościelne pieśni i kradła. My tego nie robimy. Uśmiechnij się, Polsko".

Pani Sobolak, mamy nadzieję, że zareaguje pani na hejt, żeby nie powiedzieć chamstwo pani Sobolak i doleje jej choć kilka kropel oleju do głowy... ©℗



SPODE ŁBA

Dzieci gotują „żołędziówkę"

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Zaskakujące atrakcje proponuje odwiedzającym Muzeum Powstania Warszawskiego. Będą oni mieli okazję „odkryć smaki (i zapachy) okupacyjnej codzienności podczas wyjątkowych warsztatów" organizowanych w Muzeum. Zapowiedź brzmi nie tylko atrakcyjnie, lecz także smakowicie. „Z czego robiono okupacyjną marmoladę? Jak smakowała powstańcza kawa z żołędzi?". Odpowiedzi na te pytania poznać mogą uczestnicy „warsztatów edukacyjnych", dostępnych w dla rodzin z dziećmi już od ósmego roku życia. Warsztaty reklamowane są jako „wydarzenie dla dzieci". „Podczas zajęć porozmawiamy m.in. o kulinarnych wyzwaniach, które czyhały na mieszkańców okupowanej Polski, a także wspólnie przygotujemy słynną żołędziówkę" – zapowiadają organizatorzy.

Głód był podczas okupacji jedną z metod eksterminacji Polaków. Stosowali ją, w celu wyniszczenia ludności cywilnej, zarówno Niemcy, jak i Sowieci. Ludzie, którzy przeżyli okupacyjny koszmar, wspominali, że jedzono wtedy łapane gołębie i wrony, a z ulic powstańczej Warszawy zniknęły także psy i koty. Wegetariańskie sposoby sprostania „kulinarnym wyzwaniom", doświadczanym przez Polaków podczas drugiej wojny światowej, obejmowały – obok „słynnej żołędziówki" – nie mniej słynną zupę z brukwi i ziemniaczanych obierek, pokrzywy, perz, koniczynę i korę brzozową, a w wypadkach „wyzwań" szczególnie naglących – także gazety (najpierw miejsca niezadrukowane, później i te pokryte farbą). „Muszę nawet powiedzieć, że najlepsze to były koty, jak cielęcinka" – wspominała uczestniczka powstania. Odpowiednio przygotowane żołędzie potrafiły zastąpić niemal wszystko. Można z nich było zrobić mąkę, kawę, a nawet jeść je jak ziemniaki. Z mąki żołędziowej da się upiec chleb czy podpłomyki, a po upaleniu i zaparzeniu z powodzeniem zastępowały małą czarną – relacjonowali głodujący cywile.

Czy przedstawianie „słynnej żołędziówki" i „okupacyjnej marmolady" jako atrakcji edukacyjnej dla ośmiolatków nie jest dowodem braku elementarnej wrażliwości historycznej? Organizowane w przestrzeni publicznej wydarzenia upamiętniające powstanie warszawskie coraz częściej przybierają charakter rodzinnego śpiewania raźnych piosenek i celebrowane są w atmosferze świątecznego festynu. Podobną do powstania, heroiczną ofiarą całopalną jest dla Izraelczyków los obrońców Masady. Trudno mi wyobrazić sobie urządzanie w Masadzie warsztatów uczących dzieci rozwiązywania „wyzwań kulinarnych" stojących przed obrońcami, a może i ostatniego, samobójczego „wyzwania" organizacyjnego. ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead



KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Prześniona rocznica

Warszawskocentryczność naszych mediów pozostaje legendarna. Jestem przekonany, że to z tego właśnie powodu istnieje rocznica, skojarzona nierozerwalnie z datą zakończenia wojny, która od lat przechodzi niezauważona, mimo iż dotyczy bezpośrednio… kilkunastu milionów Polaków.

O co chodzi? O tym za chwilę. Wcześniej zapraszam na niedługą podróż w moją osobistą biografię. Otóż jedno z pierwszych wspomnień, które przychodzi mi na myśl, gdy sięgam pamięcią do lat dzieciństwa, stanowi głaz. Kamień o wysokości… mnie z tamtego dnia, a więc przeciętnego dziewięciolatka. Był rok 1995. Patrzyłem jak wryty w głaz obok jednej z ważnych ulic mojego miasta, gdyż otaczały go biało-czerwone flagi.

Na ogromnym kamieniu wyryto napis: „50 lat temu powróciła tu Polska". Pamiętam jak dziś, wpatrywałem się weń zdumiony, zszokowany, zamyślony. Jeszcze wtedy, tuż obok, centrum mojego miasta „zdobiło" mauzoleum żołnierzy Armii Czerwonej. Kilkanaście grobów, pomniki czarne, litery złote, alfabet obcy. Rok później już ich nie było.

Wróćmy do kamienia. Napis o powrocie Polski „tu" zlał się w mej pamięci z innym napisem, umieszczonym na budynku poczty po drugiej stronie parku Chrobrego – tak, Chrobrego, bo w naszych stronach parki, główne ulice i inne miejsca nosiły (i wciąż noszą) głównie imiona Piastów. A napis na poczcie brzmiał: „1945–1955. Dziesięciolecie powrotu Ziemi Stargardzkiej do Macierzy".

Miałem dziewięć lat, nie do końca wiedziałem, co to macierz, zwłaszcza pisana wielką literą. Tata zajmował się trochę elektroniką, więc to słowo gdzieś obiło mi się o uszy. Ale jak mogła ziemia wrócić do macierzy? Wkrótce potem rzecz jasna dowiedziałem się, o co w tym wszystkim chodzi.

W domu mało mówiło się o tym, kto tu i kiedy, i skąd przyjechał te pięć czy cztery dekady wcześniej. Nie było o czym mówić? Pewnie, że było – wszak mieliśmy do czynienia z jedną z największych operacji tego typu w dziejach świata, gdy kilka milionów ludzi przerzucono z jednego miejsca do drugiego, gdzie zajęli cudze domy w piastowskiej „Macierzy", gdzie „wróciła Polska".

Po latach wyjechałem do Krakowa i okazało się, że niemal każdy potrafił tam wskazać palcem wioskę, ulicę i dom, w których urodzili się i umierali jego pradziadkowie, rodzice tych pradziadków itd. Nas tego pozbawiono.

Dopiero w późnej dorosłości dowiedziałem się, że tamto niemówienie – o trudnych czasach, o przesiedleniu, o zajmowaniu poniemieckich lokali, o porzuceniu własnych domostw, o zaorywaniu zastanych w nowym miejscu cmentarzy i dziesiątkach innych rzeczy – że owo niemówienie nie jest tylko domeną mojej rodziny, mojego domu, ale jest w moich stronach powszechne. I nie tylko w moich stronach – choć stargardzian z wrocławianami czy olsztynianami dzieli spora odległość, to jednak łączy przecież wspólnota losów.

Dlatego z dużym szacunkiem, radością i podziwem witam wysyp książek o tamtym wielkim eksperymencie przesiedleń i przyłączenia poniemieckich ziem do Polski. Co ważne i symptomatyczne – autorzy zdecydowanej większości z nich to wnukowie przesiedleńców. Nie ma wśród badaczy tamtych historii ludzi ze stolicy, z Krakowa, z Lublina itp.

Nie ma wzmianek o przesiedleniach i tamtej niezwykłej dziejowej traumie oraz wyzwaniu w największych telewizjach, choćby przy okazji okrągłych rocznic zakończenia drugiej wojny światowej. Są oczywiście jeszcze „Sami swoi", którzy jeszcze coś o tym wszystkim komuś mówią. Ale tym, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej, zrozumieć inną część Polski, inną część swego własnego narodu, polecam wybrane publikacje: „Niedopolska. Nowe spojrzenie na Ziemie Odzyskane" – Sławomir Sochaj; „Ziemie" – Karolina Ćwiek-Rogalska; „1945. Wojna i pokój" – Magdalena Grzebałkowska; „Odrzania" – Zbigniew Rokita; „Ziemie Odzyskane. Jak zdobywano polski Dziki Zachód" – Andrzej Kozicki; „Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków (1944–1946)" – Grzegorz Hryciuk; „Poniemieckie" – Karolina Kuszyk. „Repatrland" – Tomasz Bonek.

Serio, lepsze niż reportaże z dżungli i innych odległych części świata. ©℗

Z dużym szacunkiem, radością i podziwem witam wysyp książek o wielkim eksperymencie przesiedleń i przyłączenia poniemieckich ziem do Polski

eprasa.pl 8e76e32ead

WOJNA



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W USA władza wykonawcza jest jednoosobowa – rządzi prezydent. Ponieważ wszystkiego sam nie ogarnie, utworzono departamenty (po polsku można by tłumaczyć „departament" na „ministerstwo"). Prezydent mianuje szefów departamentów, czyli dobiera sobie współpracowników. Trump zdecydował, że Departament Edukacji jest niepotrzebny, bo sprawami szkolnymi mogą się doskonale zajmować na swoim terenie poszczególne stany. Departament edukacji postawiono w stan likwidacji, władza centralna przestaje się wtrącać w nauczanie, amerykańskie Barbary Nowackie idą precz.

***

Trump przywrócił też pierwotną nazwę Departamentu Obrony. Na początku był to Departament Wojny. Nazwa ze słowem WOJNA obowiązywała w latach 1789–1947.

Słowo WOJNA w nazwie pokazuje siłę, wolę, by wygrywać, a nie tylko bronić się przed atakami. Słowo WOJNA jest ofensywne jak pięść wystawiona w kierunku wroga. Słowo „obrona" sugeruje uniki, słabość i bierne oczekiwanie na ruchy przeciwnika.

***

Poza zmianą nazwy zmieniło się też wiele innych rzeczy. Wrócił zdrowy rozsądek, a zboczonych generałów poprzebieranych za kobiety wywalono z roboty, bo osłabiali morale amerykańskiego wojska. Oto fragmenty przemówienia, które wygłosił sekretarz wojny USA, Pete Hegseth.

„Każdego dnia musimy być przygotowani do wojny, a nie do obrony. Wojsko musi się szkolić do wojny, a nie do obrony. Szkolimy wojowników, nie obrońców. Bierzemy udział w wojnach, aby je wygrać, nie by się bronić".

„Wojnę prowadzi się na swoich warunkach, obronę na cudzych. Gdy prowadzisz obronę, cele są niejasne, a twoje działanie zależy od posunięć wroga".

„Nasi wojskowi muszą mieć swobodę działania w taki sposób, aby wroga sprowadzić do defensywy, zniszczyć, upolować i zabić. Żadnych głupich zasad wojny politycznie poprawnej. Na wojnie stosujemy zasady zdrowego rozsądku i chodzi o to, by zabić jak największą liczbę żołnierzy przeciwnika".

„Czym się zajmują wojskowi? Nasza praca zawodowa polega na zabijaniu i niszczeniu. Zabijamy nie dlatego, że nienawidzimy tego, kto stoi przed nami, ale dlatego, że kochamy tych, którzy zostali za naszymi plecami".

„Pacyfizm jest naiwny i niebezpieczny. Ignoruje naturę ludzką i historię ludzkości. Albo chronisz swój lud i swoją suwerenność, albo będziesz podporządkowany czemuś lub komuś. Od tej chwili jedyną misją świeżo przywróconego Departamentu Wojny jest prowadzenie wojny, przygotowywanie się do wojny i do zwycięstwa".

„Wojsko zostało zmuszone przez głupich i lekkomyślnych polityków do skupienia się na niewłaściwych rzeczach. Zbyt długo awansowaliśmy dowódców z niewłaściwych powodów – opierając się na ich rasie, na parytetach płci… Koniec z miesiącami tożsamości i facetami w sukienkach. Koniec z kultem zmian klimatycznych. Koniec z urojeniami dotyczącymi płci. Jak już mówiłem i powtórzę raz jeszcze, mamy dość tego gówna".

„Nowa zasada Departamentu Wojny brzmi następująco: postępuj wobec swojej jednostki tak, jak postępowałbyś wobec jednostki, w której służy twój syn. Czy chciałbyś, aby służył z grubymi, niesprawnymi lub niedostatecznie wyszkolonymi żołnierzami? Nie chcę, aby mój syn służył razem z żołnierzami, którzy są w kiepskiej formie. Ani w jednostce bojowej z kobietami, które nie spełniają tych samych standardów sprawności fizycznej co mężczyźni. Standardy muszą być jednakowe bez względu na płeć. Jeśli kobiety dają radę, to świetnie. Jeśli nie, to trudno. Wojna to nie jest praca dla każdego. Wojna to kwestia życia i śmierci. Nie chodzi tu o uniemożliwianie kobietom służby. Aby walczyć skutecznie, musisz ufać, że żołnierz, który stoi z tobą, jest w pełni sprawny i fizycznie. Musisz być pewien, że gdybyś został ranny, da radę wynieść cię na plecach z pola walki. To oznacza, że słabsi mężczyźni również nie będą się nadawać".

„Nakazuję również, aby żołnierze pełniący służbę bojową zaliczali test sprawnościowy zgodnie z neutralnym pod względem płci, znormalizowanym pod względem wieku, męskim standardem, z wynikiem powyżej 70 proc. Wszystko zaczyna się od sprawności fizycznej i wyglądu. Skoro sekretarz wojny może regularnie i intensywnie ćwiczyć, to każdy członek naszych sił zbrojnych też może".

„Szczerze mówiąc, to fatalne, kiedy się patrzy na formacje bojowe i widzi otyłych żołnierzy. Tak samo całkowicie niedopuszczalny jest widok otyłych generałów i admirałów w korytarzach Pentagonu. To źle wygląda. Więc niezależnie od tego, czy jesteś spadochroniarzem czy siedzisz przy biurku, czy jesteś świeżo upieczonym szeregowym czy generałem czterogwiazdkowej rangi, musisz mieć określony wzrost i wagę oraz zdać test sprawności fizycznej. To oznacza również standardy, jeśli chodzi o aparycję. Koniec z brodami, długimi włosami i indywidualnym wyrażaniem siebie poprzez wygląd. Tu jest wojsko! Będziemy ścinać włosy, golić brody i przestrzegać standardów. Jeśli chcesz mieć brodę, to możesz wstąpić do sił specjalnych. Jeśli nie – to musisz się ogolić. Armia to nie jest banda wikingów. Mówiąc wprost, jeśli nie spełniasz męskich standardów fizycznych wymaganych na stanowiskach bojowych, nie możesz zdać testu sprawności fizycznej lub nie chcesz się golić i wyglądać profesjonalnie, to czas zmienić zawód".

***

Amerykanie się wzięli za siebie. Ochotników do służby mają więcej, niż wojsko jest w stanie przyjąć. Po zapisaniu się w punkcie poborowym trzeba czekać do przyszłego roku, zanim się zwolni miejsce w koszarach. Amerykanie absolutnie nie chcą żadnej nowej wojny i cenią Trumpa za to, że wygasił siedem, a żadnej nie zaczął. Jednocześnie popularność zyskują piosenki country z następującym przesłaniem: „Spróbujcie tylko, a nakopiemy wam do dup". ©℗

eprasa.pl 8e76e32ead

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

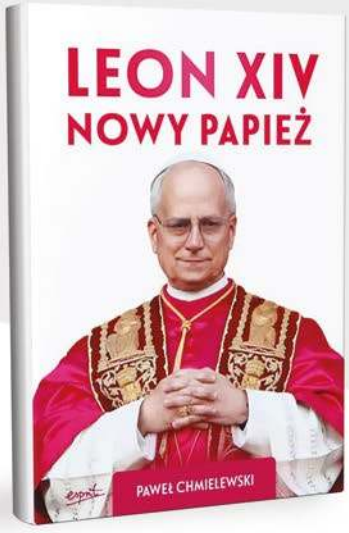

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI: „LEON XIV. NOWY PAPIEŻ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~786 ZŁ~~

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 495 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8e76e32ead

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 8e76e32ead